

**J A M E S
PATTERSON
MAXINE PAETRO
BIKINI**

PLAŻA JUŻ NIGDY NIE WYDA CI SIĘ BEZPIECZNYM MIEJSCEM...





JAMES PATTERSON

Niezwykłe płodny James Patterson (40 tytułów w dorobku!) jest obecnie najchętniej czytany pisarzem Ameryki. Sławę przyniósł mu thriller *W sieci pająka*, w którym po raz pierwszy pojawia się czarnoskóry policjant i psycholog Alex Cross, specjalizujący się w tropieniu seryjnych zabójców (w postać tę dwukrotnie wcielił się na dużym ekranie Morgan Freeman). Kolejne powieści – wciągające mieszanki nieoczekiwanych zwrotów akcji, oszalełającego tempa narracji i niesłabnącego ani na chwilę napięcia – umocniły pozycję Pattersona na ciele światowych rankingów sprzedaży.

Zachwycająco piękna modelka Kim McDaniels znika podczas sesji zdjęciowej na Karaibach. Obawiając się najgorszego, rodzice dziewczyny przylatują na wyspę Maui, by wszcząć prywatne śledztwo. Własne dochodzenie prowadzi też Ben Hawkins, były oficer policji, obecnie reporter działu kryminalnego „Los Angeles Times”. Dla trojki poszukujących Kim osób pobyt na Hawajach okaże się koszmarem nie do wyobrażenia. Jej poczynania kontroluje psychopatyczny zabójca Henri Benoit, działający na zlecenie tajemniczych moodawców. Benoit buwersuje opinię publiczną kolejnymi okrutnymi mordami, które wydają się nie mieć żadnego logicznego sensu. Ale czy rzeczywiście to sam morderca pociąga za wszystkie sznurki?

ISBN 978-83-7359-945-1



9 788373 599451

J A M E S
PATTERSON
MAXINE PAETRO
BIKINI

Z angielskiego przełożyła
ELŻBIETA PIOTROWSKA

Tytuł oryginału: SWIMSUIT

Copyright © James Patterson 2009 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2009

Polish translation copyright © Elżbieta Piotrowska 2009

Redakcja: Beata Słama

Ilustracja na okładce: Getty Images/Flash Press Media

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-013-4

(oprawa twarda)

ISBN 978-83-7359-945-1

(oprawa miękka)

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

www.olesieiu.k.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl

www.empik.com

www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2009. Wydanie I/op. miękka Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

Dla domowej drużyny:

Suzie i Johna, Brendana i Jacka

Podziękowania

Autorzy są także ogromnie wdzięczni znakomitym profesjonalistom, którzy służyli czasem i wiedzą, a wśród nich byli: dr Humphrey Germaniuk, kpt. Richard Conklin, Clint van Zandt, dr David Smith, dr Maria Paige i Allison Adato.

Bezcenne informacje zbierali dla nas: Rebecca DiLiberto, Ellie Shurtleff, Kai McBride, Sage Hyman, Alan Grason, Nick Dragash i Lynn Colomello.

Na specjalne podziękowania zasługują: Michael Hampton, Jim i Dorian Morleyowie, Sue i Ben Emdinowie oraz Mary Jordan, dzięki której to wszystko przybiera realne kształty.

Prolog

Oto fakty

1

Wiem o rzeczach, o których wolałbym nie wiedzieć.

Morderca psychopata nie ma nic wspólnego z pospolitym przestępcą, zakradającym się do waszego ogrodu. Ani z włamywaczem, który spanikowany ładuje serię z pistoletu w pierś nieszczęsnego ekspedienta w sklepie monopolowym. Ani ze zdesperowanym facetem, który wpada do biura maklerskiego i strzela w głowę rzekomemu winowajcy. Ani też z zazdrosnym mężem, który dusi żonę za faktyczną lub wyimaginowaną zdradę.

Motywacją psychopatów nie jest miłość, strach, wściekłość czy nienawiść. Nie znają takich uczuć.

Psychopaci w ogóle nie mają żadnych uczuć. Możecie mi wierzyć.

Gacy, Bundy, Dahmer czy Ryder, znany jako BTK, i wszystkie inne supergwiazdy z wynaturzonej ligi zabójców byli działającymi na zimno mordercami, popychanymi do zbrodni poszukiwaniem seksualnego zaspokojenia i dreszczem przyjemności czerpanym z aktu zabijania. Jeśli wydawało wam się, że dostrzeżliście cień skruchy w oczach Teda Bundy'ego, gdy przyznawał się do zabicia trzydziestu młodych kobiet, to była to tylko wasza wyobraźnia, ponieważ psychopata tym różni się

od wszystkich innych zabójców, że jemu na niczym nie zależy. W swojej ofierze nie widzi żywego człowieka, więc jej śmierć nie stanowi dla niego problemu.

Psychopaci potrafią jednak udawać. Przybierają ludzką twarz i w takiej masce krążą wśród nas, próbując zwabić kolejną zdobycz. Są coraz bliżej i bliżej ofiary. A gdy zabijają, szukają nowej i jeszcze większego deszczyku emocji. Nie powstrzymują ich zakazy, nie znają tabu, wszystkie chwytły są dozwolone.

Mówi się, że apetyt bywa nienasycony, i tak jest w przypadku psychopatów. Nakręcają się.

I czasami popełniają błędy.

Pamiętacie pewnie przypadek modelki Kim McDaniels, która wiosną 2007 roku została uprowadzona z malowniczej plaży na Hawajach w trakcie sesji zdjęciowej. Nigdy nie zażądano okupu. Zadużeni w sobie miejscowi gliniarze działali niemrawo, bez koncepcji, a przy tym nie pojawili się żadni świadkowie czy informatorzy, mogący przysłużyć się jakąkolwiek wskazówką sugerującą, kto mógł porwać tę piękną i nieprzeciętną młodą kobietę.

Byłem w tym czasie ekspolicjantem, który przerzucił się na pisanie powieści kryminalnych, ale ponieważ nakład mojej ostatniej książki nie znalazł amatorów — nierozpakowane egzemplarze podległy przecenie i wyprzedzący — musiałem zająć się czymś trochę mniej ambitnym niż produkowanie szmatławych czytań.

Dostałem pracę w dziale kryminalnym „Los Angeles Timesa”, co właściwie nie było takie złe, zważywszy na to, że z tej pozycji startował do sławy i pieniędzy znany powieściopisarz Michael Connelly.

Był piątkowy wieczór, dwadzieścia cztery godziny po zaginięciu Kim. Siedziałem przy biurku, płodząc rutynowy reportaż o kolejnym incydencie ostrzeliwania z jadącego samochodu, kiedy mój szef, Daniel Aronstein, wsunął głowę do boksu, zawołał „łap!” i rzucił mi bilet na Maui.

Zbliżałem się do czterdziestki, popadałem w otępienie od opisywania krwawych zbrodni, choć wmawiałem sobie, że to dobry punkt wyjścia i że wreszcie wpadnie mi do głowy pomysł na nową książkę, dzięki której nastąpi kolejna odmiana w moim życiu. Karmiłem się tą złudą, pielęgnowałem ją w sobie, czepiałem się resztek nadziei na pomyślniejszą przyszłość.

Dziwne było to, że gdy wielka szansa zapukała do moich drzwi, nie zorientowałem się, że właśnie nadeszła.

Bilet od Aronsteina na Hawaje potraktowałem jako okazję do rozrywkowej przerwy w monotonii codzienności. Zapachniał mi pięciogwiazdkowy luksus, bary otwarte na ocean i półnagie dziewczyny. Widziałem siebie staczającego zwycięskie boje z konkurencją — a wszystko na rachunek „Los Angeles Timesa”.

Złapałem bilet i poleciałem na spotkanie największej przygody mojego życia.

Porwanie Kim McDaniels było medialną bombą, gorącym newsem, ale niekoniecznie historią na bestseller. Tak to wtedy widziałem. Gdy dołączałem do stada reporterów oblegających hotel Wailea Princess, otoczony kordonem policjantów, najświeższe wiadomości przesyłane były do wszystkich mediów na naszej planecie.

Początkowo przypuszczałem, jak wszystkie inne dziennikarskie wygi, że Zaginiona Piękność utrzyma się w czołówkach serwisów informacyjnych przez tydzień, może przez miesiąc, póki nie zostanie wyparta z pierwszych stron gazet przez jakiś skandal w kręgu gwiazd lub w Departamencie Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Mimo wszystko jednak drzemała we mnie nadzieja na coś niezwykłego, wsparta nielimitowanymi wydatkami, więc jak młody byczek parłem do przodu, nie wiedząc jeszcze, że znajdę się w samym sercu fascynującego i potwornego zbrodniczego serialu.

Nieświadomie i nie planując tego, pozwoliłem się wybrać psychopatycznemu mordercy, pielęgnującemu własne iluzje, na ważną postać tego serialu.

Książka, którą macie w ręku, jest prawdziwą historią przebiegłego, nieuchwytnego i można by rzec „pierwszej klasy” mordercy, który przedstawiał się jako Henri Benoit. Jak powiedział mi sam Henri, „nawet w umyśle Kuby Rozpruwacza nie zaległy się równie wyrafinowane zbrodnie”.

Od miesiący siedzę w odludnym miejscu i spisuję historię „Henriego”. Z uwagi na częste tu spadki napięcia w sieci nie polegam jedynie na komputerze, lecz mam również pod ręką maszynę do pisania.

Okazuje się, że nie muszę otwierać przeglądarki Google, ponieważ wszystko to, czego nie ma na moich taśmach, w moich notatkach i zebranych wycinkach prasowych, jest na trwałe wyryte w moim mózgu.

Książka *Bikini* opowiada o bezprecedensowych zbrodniach seryjnego mordercy, który podniósł poprzeczkę tak wysoko, iż żaden inny zabójca nie mógłby mu dorównać. Dokumentując jego historię, pozwalam sobie momentami zastosować *licentia poetica*, ponieważ nie wiem dokładnie, co Henri i jego ofiary myślały w takim czy innym momencie.

To bez znaczenia, ponieważ wszystko, co opowiadał mi Henri własnymi słowami, znalazło potwierdzenie w faktach.

To fakty stanowią o prawdzie.

A ta prawda wami wstrząśnie tak, jak wstrząsnęła mną.

Benjamin Hawkins

Maj 2009

Część pierwsza

Kamera ją kocha

Rozdział 1

Kim McDaniels była na bosaka, miała na sobie sukienkę Juicy Couture, mini w biało-niebieskie pasy. Obudziła się, poczuwszy silne uderzenie w biodro. Zaboląło. Otworzyła w ciemności oczy i gdy wróciła jej świadomość, natychmiast zadała sobie oczywiste pytania: Gdzie jestem? Co się, do diabła, dzieje?

Walczyła przez chwilę z kocem omotanym wokół głowy, a gdy odsłoniła twarz, dotarły do niej nowe fakty: ma związane ręce i nogi i jest zamknięta w jakimś ciasnym schowku.

Jej ciałem targnął kolejny wstrząs i tym razem krzyknęła.

Krzyk był daremny, stłumiony zamkniętą przestrzenią i wibracją silnika. Zdała sobie sprawę, że znajduje się w bagażniku jakiegoś samochodu. Ale to nie miało najmniejszego sensu! Więc chyba jeszcze śni.

Niestety, była przytomna, o czym przypominało bolesne obijanie się o blachy bagażnika. Zaczęła wykręcać nadgarstki, próbując uwolnić ręce z więzów. Nie zdołała ich poluzować. Przekręciła się na plecy, podciągnęła nogi pod brodę, po czym gwałtownym ruchem wyrzuciła je do przodu. Bum! Uderzyła w pokrywę bagażnika, ale ta nie uniosła się nawet o centymetr.

Spróbowała jeszcze raz i jeszcze raz, w wyniku czego poczuła silny ból w nogach, promieniujący od pięt po uda. Nadal pozostawała w zamknięciu, tylko cierpiała coraz bardziej. Ogarnęła ją panika.

Któs ją złapał. Znalazła się w pułapce. Nie wiedziała, jak i dlaczego to się stało, ale pocieszała się myślą, że żyje i nie jest ranna. Więc jakoś wyjdzie z tej opresji.

Posługując się związanymi rękami jak kleszczami, Kim zaczęła obmacywać podłogę bagażnika w poszukiwaniu pudła z narzędziami, lewarka czy jakiegoś łomu, ale na nic nie natrafiła, a tymczasem od jej przyspieszonego oddechu powietrze gęstniało i zrobiło się duszno.

Dlaczego znalazła się w takiej sytuacji?

Próbowała sobie przypomnieć ostatnie wydarzenia, ale jej umysł pracował wolno, jakby mózg także opatulono w koc. Mogła się tylko domyślać, że podano jej jakiś narkotyk. Któs wrzucił jej do szklanki pigułką gwałtu. Ale kto? Kiedy?

— Pomooooocy! Wypuście mnie! — krzyczała, kopiąc w pokrywę bagażnika i uderzając głową o blachy. Do oczu napłynęły jej łzy, ogarniała ją wściekłość, nakładająca się na odbierający rozum strach.

Przez łzy zauważyła nad głową połyskujący kilkunastocentymetrowy pręt. To musi być dźwigenka zwalniająca zamek bagażnika.

— Dzięki Ci, Boże — szepnęła.

Rozdział 2

Kim uniosła do góry związane ręce i rozwierając je jak szpony, drżącymi palcami chwyciła dźwigienkę i pociągnęła ją w dół. Poszło zbyt łatwo, nie wyczuła niestety żadnego oporu — pokrywa bagażnika nie odskoczyła.

Choć zdrowy rozsądek podpowiadał, że mechanizm został świadomie zepsuty przez przecięcie kabla, Kim gorączkowo ponawiała próby, póki nie zorientowała się, że samochód zjechał z asfaltu. Zwolnił, przestał podskakiwać na nierównościach i Kim domyśliła się, że brną przez piasek.

Jadą wprost do oceanu?

Czy utonie zamknięta w tym bagażniku?

Znowu zaczęła wrzeszczeć. Z jej gardła wydobywał się głośny krzyk bez słów, który przeszedł w modlitewny jęk.

— Boże mój, pozwól mi ujść z życiem, a przyrzekam...

Urwała, usłyszawszy dochodzącą zza swojej głowy muzykę. Kobięcy głos śpiewał coś w rodzaju bluesa, nie rozpoznawała piosenkarki ani piosenki.

Kto prowadzi ten samochód? Kto jej to zrobił? Z jakiego powodu?

W tym momencie zaczęło rozjaśniać jej się w głowie, przewijały się migawki zdarzeń z ostatnich godzin. Powracała pamięć. Wstała tego

dnia o trzeciej w nocy. Makijaż nakładano jej o czwartej. O piątej była na plaży. Wraz z nią Julia i Daria, i Monika, i jeszcze ta wspaniała, choć trochę dziwna dziewczyna, Ayla. Gils, fotograf, pił kawę z zespołem, a wokół gromadzili się mężczyźni, chłopcy hotelowi i poranni biegacze, podnieceni widokiem dziewcząt w skąpych kostiumach bikini, zachwyceni, że trafiła im się taka gratka jak podziwianie sesji zdjęciowej dla „Sporting Life”.

Stała jej przed oczami Gils. Pozowała z Julią, a on pokrzykiwał do nich:

— Mniej uśmiechu, Julio! Właśnie tak! Znakomicie. Pięknie, Kim. Dobra dziewczynka. Patrz na mnie. Wspaniale!

Przypomniała sobie, że później wciąż dzwonił jej telefon, podczas śniadania, i jeszcze potem, właściwie przez cały dzień, dopóki go nie wyłączyła.

To dzwonił Douglas, zaklinał ją i nękał, doprowadzał do szału. A więc to Doug!

Przyszło wspomnienie wieczoru po kolacji. Siedziała w hotelowym barze z dyrektorem artystycznym, Delem Swannem, który miał za zadanie nie tylko doglądać przebiegu sesji, ale także pełnić wobec dziewczyn rolę przyzwoitki, lecz w pewnym momencie poszedł do toalety, a wraz z nim zniknął także Gils, fotograf. Pamiętała, że obydwoj byli rozświergotani jak ptaszki.

Próbowała wtedy nawiązać kontakt wzrokowy z Julią, która rozmawiała przy barze z jakimś facetem, a gdy ta nie wykazała zainteresowania, Kim postanowiła wyjść i przejść się po plaży... I tu film jej się urywał.

Była jednak pewna, że gdy wychodziła na plażę, przypięła do paska komórkę, ale jej nie włączyła. Miała dość telefonów od Douga. Być może to go rozwścieczyło. Łatwo wpadał w szal. Postanowił chyba dać jej nauczkę. Niewykluczone, że przekupił kelnera i ten wsypał coś do jej drinka.

Wszystko zaczynało układać się w logiczną całość. Jej umysł nadra-
biał zaległości.

Krzyknęła:

— Douglas?! Dougie?!

W tym momencie Bóg chyba wysłuchał wreszcie jej próśb, ponie-
waż w bagażniku zadzwoniła komórka.

Rozdział 3

Kim wstrzymała oddech.

To nie był jednak sygnał jej telefonu, nie były to cztery takty *Beverley Hills* w wykonaniu grupy Weezer, tylko niskie terkotliwe dźwięki, ale tak czy owak mogła przypuszczać, że jak w większości komórek po trzech sygnałach włączy się poczta głosowa.

Nie może do tego dopuścić!

Gdzie jest ten przeklęty telefon?

Gdy szarpała się z kocem, więzy boleśnie wrzynały się w nadgarstki. Rozpaczliwie orała palcami o wykładzinę i wreszcie wymacała zgrubienie na styku z blachą, nieporadnymi, związanymi rękami sięgnęła pod wykładzinę... o, nie!

Umilkł drugi sygnał, a po chwili usłyszała trzeci. Serce łomotało jej w piersi jak oszalałe, gdy drżącymi, spoconymi rękami chwyciła ciężką komórkę — najwyraźniej był to jakiś stary model.

Zobaczyła wyświetlony numer, nie rozpoznała go, a nazwiska na ekraniku nie było.

Nie miało jednak znaczenia, kto dzwoni. Każdy może być zbawcą.

Nacisnęła przycisk odbioru, przyłożyła komórkę do ucha i chrapliwym głosem wyrzuciła z siebie:

— Halo! Kto mówi?

Zamiast odpowiedzi usłyszała głos Whitney Houston śpiewającej *I'll always love you-ou-ou*, głośny, wyraźny, dobiegający z samochodowego stereo.

Dzwonił do niej z siedzenia kierowcy! W uszach trzęsącej ze strachu, spętanej jak zwierzę i złanej potem Kim głos Whitney zabrzmiał jak szyderstwo.

— Doug! Co ty sobie wyobrażasz?! — wrzasnęła.

W tej sekundzie wszystko zrozumiała. Chce jej pokazać, co to znaczy być ignorowanym, dać jej bolesną lekcję. Ale nie wygra. Są przecież na wyspie. Nie zawiezie jej w siną dal.

Umysł Kim, napędzany gniewem, pracował na wysokich obrotach. Zastanawiała się, jak wykołować Douga. Podejście z nim grę, nawet go przeprosi, wyjaśni ze słodką miną, że nie było w tym jej winy. Układała w głowie zdania.

„Widzisz, Dougie, zakazano nam odbierać telefony. W kontrakcie mam zapisane, że nie wolno mi informować nikogo, gdzie robią zdjęcia. Bałam się, że mnie wyrzucą. Chyba potrafisz to zrozumieć?”

Postara się go udobruchać i przekonać, że łączy ich uczucie, choć ze sobą zerwali, a ona nie czuje do niego żalu, mimo tego szaleńczego porwania, które właściwie jest przestępstwem.

Zaplanowała jednocześnie, że przy pierwszej nadarzającej się okazji walnie go kolanami w jaja albo da mu kopa w rzepki. Trenowała dżudo i miała nadzieję, że go obezwładni, chociaż jest sporym osiłkiem, i rzuci się do ucieczki. A ostatecznie rozprawią się z nim gliny!

— Dougie?! — krzyknęła do telefonu. — Odezwij się, proszę. Dobrze? To przestaje być zabawne.

Nagle muzyka ucichła.

Kim znowu wstrzymała oddech i nasłuchiwała w ciemności, ale przez moment jej uszy wypełniało tylko walące jak młot tętno. I nagle usłyszała głos, głos mężczyzny, ciepły, niemal pieszczotliwy.

— Tak naprawdę to jest zabawne, Kim, i na dodatek bardzo romantyczne.

Nie rozpoznawała tego głosu.

Ponieważ to nie był Doug.

Rozdział 4

Zesztywniała ze strachu, oblał ją lodowaty pot, była bliska zemdlenia. Musiała jednak być przytomna, więc zebrała się w sobie, ścisnęła kolana aż do bólu, ugryzła się nawet w rękę. Wróciła do pełnej świadomości. Odtworzyła w głowie usłyszane słowa, jakby puszczała do tyłu taśmę magnetofonową.

„To jest zabawne, Kim, i na dodatek bardzo romantyczne”.

Nie знаła tego głosu, nigdy przedtem go nie słyszała.

Wszystko, co przed chwilą kotłowało się w jej głowie — twarz Douga, problemy z tym zadurzonym w niej chłopakiem, próby kontrolowania jego impulsywnego zachowania trwające przez cały rok — przestało być aktualne.

Prawda okazała się zupełnie nieoczekiwana.

To jakiś zupełnie obcy facet skrępował ją sznurami i wrzucił do bagażnika samochodu. Została porwana. Dlaczego? Jej rodzice nie są bogaci! Co on zamierza z nią zrobić? Jak zdoła uspić jego czujność i uciec? Musi znaleźć jakiś sposób. Ale jaki?

Kim odczekała chwilę, zanim zapytała:

— Kto mówi?

Mężczyzna odezwał się znowu miękkim, łagodnym, spokojnym głosem:

— Przepraszam, że potraktowałem cię nieelegancko, Kim.

Za minutę, dwie, trzy poznasz mnie. To już nie potrwa długo. I nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

Rozłączył się.

Trzymając przy uchu martwy telefon, Kim sama poczuła się jak martwa. Przez jakiś czas jej mózg był wyłączony. Dopiero po dobrej chwili znowu zaczęła myśleć. Zapewnienia tego obcego faceta pocieszyły ją, natchnęły nadzieją. Uczepiła się tego. Prowadzi jakąś grę, ale stara się być miły. Przecież powiedział: „Wszystko będzie dobrze”.

Samochód ostro skręcił w lewo, Kim siłą bezwładu przetoczyła się w bagażniku, ale potem zapałała się stopami o blachę. Uświadomiła sobie, że nie wypuściła z rąk komórki, tylko nadal kurczowo ścisła ją w dłoni.

Zbliżyła klawiaturę do twarzy. Nie była w stanie odczytywać w ciemności cyfr, ale jakoś udało się jej prawidłowo wystukać 911.

Po czwartym sygnale odezwał się głos operatorki:

- Tu dziewięćset jedenaście. Przyjmuję zgłoszenie, słucham.
- Nazywam się Kim McDaniels, zostałam...
- Nie dosłyszałam nazwiska, proszę przeliterować.

Nie mogła, bo znowu nią rzuciło, gdyż samochód nagle się zatrzymał. Trzasnęły drzwi od strony kierowcy i usłyszała, że do zamka bagażnika wkładany jest klucz.

Mocniej przycisnęła telefon do ucha w obawie, że zdradzi ją dobitny głos operatorki, ale bardziej przerażało ją to, że może stracić połączenie z policją i nadzieję na ratunek.

Słyszała o systemie GPS, dzięki któremu policja potrafi z łatwością zlokalizować miejsce, skąd nadchodzi zgłoszenie. Więc chyba ją odnajdą.

- Jestem w rękach porywacza — wyszeptwała.

Kluczyk obrócił się w lewo i w prawo, zamek nie puścił od razu i przez te kilkanaście sekund Kim gorączkowo przeanalizowała sytuację.

Nie jest tak źle. Załóżmy, że facet będzie chciał ją zgwałcić. To da się przeżyć, ale musi być sprytna, nie zrazić go, zapamiętać wszystko, żeby zdać policji szczegółową relację.

Pokrywa bagażnika uniosła się i jej nogi zalało światło księżyca.

W jednej chwili zapomniała o planie uwodzenia porywacza. Podkurczyła kolana i wyrzuciła je do przodu, celując w krocze mężczyzny. Odskoczył, unikając ciosu, i zanim zdążyła zobaczyć jego twarz, narzucił jej koc na głowę, jednocześnie wyrywając komórkę z ręki.

Potem poczuła na nodze ukłucie igły.

Gdy głowa opadała jej bezwładnie, usłyszała głos porywacza:

— Nie ma sensu walczyć ze mną, Kim. Tu nie chodzi o mnie i o ciebie. To znacznie poważniejsza sprawa, uwierz mi. Ale właściwie dlaczego miałabyś mi wierzyć?

Rozdział 5

Kim powoli odzyskiwała przytomność.

Leżała na wznak na łóżku, w pokoju o jaskrawożółtych ścianach. Ręce miała skrępowane, wyciągnięte i przymocowane gdzieś nad głową. Widziała swoje nogi — i jedna, i druga przywiązana była linką do metalowej ramy łóżka. Przykryta została białym satynowym prześcieradłem, którego jeden brzeg zwijał się pod jej podbródkiem, a drugi został udrapowany między nogami. Nie mogła być w stu procentach pewna, ale wydawało jej się, że pod prześcieradłem jest naga.

Szarpała za linkę przytrzymującą ręce, a przez głowę przemykały jej przerażające wizje tego, co ją może za chwilę spotkać wbrew zapewnieniom prześladowcy, że „wszystko będzie dobrze”. Dotarły do niej dziwne jęki i jakby kwik, wydobywające się z jej własnej krtani, dźwięki, jakich nigdy dotąd nie wydawała.

Na nic zdały się wysiłki poluzowania więzów, podniosła więc głowę na tyle, na ile mogła, i rozejrzała się po pokoju. Z pewnością nie wyglądała normalnie, raczej jak teatralna dekoracja.

Po prawej stronie znajdowały się dwa okna zasłonięte zwiewnymi firankami. Na stoliku pod oknem paliły się świece różnych kolorów i

wysokości, a w wazonach pyszniły się egzotyczne hawajskie kwiaty.

Z ogromnego wazonu stojącego tuż koło łóżka strzelały w górę strelacie i kwiaty imbiru — kojarzone z męskością.

Kim kolejnym spojrzeniem ogarnęła dwie kamery z obydwu stron łóżka — profesjonalne, każda osadzona na trójnogu.

Na stojakach umieszczono reflektory, a nad głową dostrzegła mikrofon.

Docierał do jej uszu szum oceanu tak głośny, jakby fale rozbijały się o ściany domu. A w centrum tego wszystkiego znajdowała się ona, unieruchomiona jak motyl na szpilce.

Zaczerpnęła powietrza i krzyknęła na całe gardło:

— Ratunkuuuu!

Gdy jej krzyk się urwał, gdzieś z tyłu usłyszała męski głos:

— Daj spokój, Kim, tu nikt cię nie usłyszy.

Przekręciła głowę w lewo, z najwyższym trudem wyciągając szyję, i zobaczyła siedzącego na krześle mężczyznę. Właśnie zdjął z uszu słuchawki.

Po raz pierwszy zobaczyła człowieka, który ją uprowadził.

Nie znała go.

Miał ciemnoblonde włosy, ani krótkie, ani długie, wyglądał na faceta zbliżającego się do czterdziestki. Z twarzą o regularnych, choć niezbyt wyrazistych rysach mógł uchodzić za przystojnego, szczególnie że pod dobrze skrojonym, niewątpliwie drogim garniturem prężył się muskularny tors. Na rękę miał zegarek, znany jej z reklam w „Vanity Fair”, firmy Patek Philippe. Jej prześladowca przypominał Daniela Craiga, ostatniego Jamesa Bonda.

Załóżył słuchawki na uszy, zamknął oczy i skupił się na słuchaniu muzyki. Kim miała wrażenie, że ją ignoruje.

— Hej, czy pan mnie słyszy?! Mówię do pana! — krzyknęła.

— Powinnaś tego posłuchać — odezwał się. Podał nazwisko kompozytora, powiedział, że go zna i że jest to najnowsze nagranie studyjne.

Wstał, podszedł ze słuchawkami do łóżka i przyłożył jej jedną do ucha.

— Znakomite, nieprawdaż?

Tego plan Kim nie przewidywał. Traciła szansę na przechytrzenie faceta. Jak ma go podejść? Pomyślała, że cokolwiek będzie chciał z nią zrobić, nic go nie powstrzyma. Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko błagać go o litość. I udawać gotowość do seksu, niech ma frajdę. Czula jednak jeszcze działanie narkotyku, była trochę zamroczona i zbyt słaba, żeby się poruszać.

Wbiła wzrok w szaroniebieskie oczy mężczyzny, a on odwzajemnił się ciepłym, niemal miłosnym spojrzeniem. Może ma jakieś słabe stroiny? Powinna spróbować to wykorzystać.

— Proszę mnie wysłuchać. Na pewno wszyscy już się zorientowali, że zaginęłam. Jestem ubezpieczona w Life Incorporated. To potężna firma. Chyba pan wie, że modelki podczas sesji muszą wracać o określonej porze. Policja na pewno już mnie szuka...

— Na twoim miejscu nie liczyłbym na policję, Kim — odpowiedział „James Blond”. — Byłem bardzo ostrożny. — Usiadł przy niej na łóżku, i pogładził ją czule po policzku. A potem naciągnął na ręce lateksowe rękawiczki.

Zwróciła uwagę na to, że są niebieskie. Zdjął coś z haka na ścianie. To była maska, a gdy ją założył, jego rysy uległy zniekształceniu. Teraz wyglądał demonicznie.

— Co chcesz zrobić? Co ze mną zrobisz? — krzyknęła przerażona.

Jej rozpaczliwe wołanie odbiło się echem od ścian pokoju i zawirowało w jej uszach. A potem usłyszała głos pełen aprobaty:

— To było znakomite, Kim. Podoba mi się twój krzyk. Czy jesteś gotowa?

Podszedł kolejno do każdej z dwóch kamer, nastawił obiektywy pod odpowiednim kątem. Rozbłysły światła lamp.

Kim podążała wzrokiem za niebieskimi rękawiczkami, które zsuwały z jej ciała satynowe prześcieradło. W pokoju było chłodno, ale na jej skórze natychmiast pojawiły się kropelki potu. Wiedziała, co teraz będzie.

Teraz ją zgwałci.

— Nie musisz tego robić — powiedziała.

— Muszę.

Kim zaczęła skamleć. Po chwili jej zawrodozenie przeszło w niemilkający krzyk. Przekręciła głowę na bok, w stronę zamkniętych okien, usłyszała, jak o podłogę brzęknął pasek od spodni. Rozszlochała się, poczuwszy dotyk lateksu na swoich piersiach. Dreszcze przeszły jej po lędźwiach, gdy ją otwierał, wcisnąwszy głowę między jej uda. Przy pierwszym dźgnięciu, naprężyła mięśnie, żeby w nią nie wszedł.

Na twarzy czuła jego oddech. Wyszeptał jej do ucha:

— Nie opieraj się, Kim. Bądź grzeczna. Przepraszam, ale robię to za duże pieniądze. Ludzie, którzy będą nas oglądali, to klub twoich fanów. Wczuj się w sytuację.

— Chcę umrzeć — jęknęła. Ugryzła go w rękę aż do krwi, a wtedy on z całej siły wymierzył jej policzek, potem drugi. Poczowała piekący ból od uderzeń i zasychających łez.

Chciała zapaść się w niebyt, ale wciąż była przytomna i czuła na sobie ciężar jego ciała, słyszała stękanie i jęki rozkoszy. Starła się odciąć od tego i wsłuchując się w szum wzburzonego oceanu, obmyślała, jak zemści się na prześladowcy, gdy wymknie się z jego rąk.

Rozdział 6

Kim obudziła się, siedząc w wannie w ciepłej kąpeli, z głową opartą o pochylą krawędź. Ręce wciąż miała związane, skrywała je warstwa piany.

Nieznajomy blondyn siedział obok na stołku i obmywał jej ciało gąbką sprawnymi, leniwymi ruchami, jakby robił to nie po raz pierwszy.

Żołądek podszedł jej do gardła i zwymiotowała do wanny żółcią. W jednej sekundzie nieznajomy wyciągnął ją z wody i postawił na nogi, pomagając sobie żeglarskim zawołaniem „ahooj!”. Jest bardzo silny, pomyślała, a jednocześnie po raz pierwszy dotarło do niej, że facet mówi z lekkim obcym akcentem. Rosyjskim? A może czeskim albo niemieckim?

Pociągnął za łańcuszek od zatyczki i odkręcił prysznic. Kim zaczęła się słaniać pod ostrymi strumieniami natrysku, więc ją podtrzymał, a gdy się rozkrzyczała i próbowała bić go pięściami, a nawet kopać, tracąc przy tym równowagę, złapał ją i śmiejąc się, wykrzyknął:

— Dzielna dziewczynka, nie lada kąsek dla smakoszy!

Opatulił ją potem miękkim białym prześcieradłem kąpielowym, delikatnie, jakby była niemowlęciem. Gdy posadził ją na klapie sedesu, wyciągnął do niej rękę ze szklanką jakiegoś płynu.

— Wypij to — polecił. — Pomoże ci. Mówię uczciwie.

Pokręciła głową.

— Kto ty jesteś? Dlaczego mi to robisz? — zapytała.

— Czy chcesz zapamiętać tę noc, Kim?

— Chyba żartujesz, pieprzony perwersie.

— No właśnie, ten drink pozwoli ci zapomnieć. Chcę, żebyś spała, gdy będę wioził cię do domu.

— Kiedy odstawisz mnie do domu?

— Zbliżamy się do końca, Kim — zapewnił.

Wyciągnęła do niego ręce i w tym momencie zauważyła, że są inaczej skrępowane. Linka jest ciemnoniebieska, jedwabista w dotyku, a węzeł kunsztownie spleciony. Wzięła szklanekę do ręki i wypila jej zawartość do dna.

Porywacz poprosił, żeby pochyliła głowę, a gdy to zrobiła, wytarł jej włosy ręcznikiem. Potem je rozczesał, następnie ułożył w loki, zwijając kosmyki na palcach. Z jednej z szuflad szafki pod umywalką wyjął zestaw kosmetyków. Wprawna ręką nakładał makijaż na policzki, usta i oczy Kim, zaczynając od zatuszowania korektorem zadrapania pod lewym okiem. Szczoteczki zwilżał językiem i wcierając podkład, zapewniał:

— Nie martw się, mam w tym dużą wprawę.

Kiedy skończył, jedną ręką objął Kim pod pachami, drugą pod kolanami, i owinięta ręcznikiem, ze zwisającą bezwładnie głową, zaniósł do pokoju.

Delikatnie ułożył dziewczynę na łóżku i zaczął ją ubierać w kostium kąpielowy. Nie pomagała mu ani nie usztywniała ciała, gdy naciągał na jej uda dół bikini i wiązał na plecach stanik.

Kim wydawało się, że to kostium od Vittadini, który miała na sobie pod koniec sesji. Połyskliwy i czerwony. Chyba wymamrotała nawet „Vittadini”, ale „James Blond” wyprowadził ją z błędu:

— To lepsza marka. Kupiłem go, gdy byłem w Saint-Tropez. Wybierałem go z myślą o tobie.

— Nie znasz mnie — słowa wypłynęły z kącików jej wykrzywionych ust.

— Wszyscy cię znają, skarbie. Kimberley McDaniels. Piękne imię i nazwisko. — Odgarnął jej włosy na bok i przednie troczki stanika związał w staranną kokardkę na karku. Popatrzył z satysfakcją na swoje dzieło.

Kim otworzyła usta, ale zapomniała, co chciała powiedzieć. Była odrętwiała. Nie mogła się poruszyć. Nie mogła krzyczeć. Przez opadające powieki patrzyła w szaroniebieskie oczy, które obdarzały ją niemałą pieśszczotą.

— Wyglądasz olśniewająco — powiedział. — To będzie przepiękne ostatnie ujęcie.

Chciała soczyście bluznąć, ale język jej się plątał i przekleństwo wypłynęło z jej ust jak jękliwa skarga:

— Skurrrrrr...

Rozdział 7

Na drugim końcu świata mężczyzna o imieniu Horst rozsiadł się wygodnie w miękkim skórzanym fotelu w swojej prywatnej bibliotece. W kominku żarzyły się polana, ale on patrzył na wielki ekran HD powyżej.

— Erotyzm niebieskich rąk — powiedział do swojego przyjaciela Jana, który wstrząsał drinkiem z lodem w szklance z grubego szkła. Horst wziął do ręki pilota i podwyższył natężenie dźwięku.

— Tak, wyrafinowany dotyk — przyznał Jan. — I ten kostium, karnacja tej dziewczyny, wszystko apetyczne jak amerykański *apple pie*. Masz pewność, że jesteśmy zabezpieczeni przed podglądem w sieci?

— To chyba oczywiste. Patrz teraz — powiedział Horst. — Patrz, jak ucisza swoje zwierzątko.

Kim leżała na brzuchu. Była perfekcyjnie spętana. Ręce odgięte na plecy miała połączone linką ze zgiętymi w kolanach nogami. Z czerwonym kostiumem efektownie współgrały szpilki lakierki na kilkunastocentymetrowym obcasie z połyskliwą czerwoną podeszwą. To były pantofle z najnowszej kolekcji Christiana Louboutina, niezwykle ekskluzywne. Horstowi przemknęło przez głowę, że nadają się raczej do sklepu z zabawkami, a nie do noszenia.

Kim błagała o litość mężczyznę, którego Horst i Jan znali jako „Henriego”. Pochlipywała cicho.

— Proszę, błagam, rozwiąż mnie. Odegram swoją rolę i zrobię, co każesz. Tak będzie ci nawet przyjemniej. I nic nikomu nie powiem.

Horst się zaśmiał.

— To pewne. Ona nigdy nic nikomu nie powie.

Jan odstawił szklanke i wyraźnie rozochocony, krzyknął z niecierpliwością w głosie:

— To mi się podoba, Horst, powtórz ostatnie ujęcie, proszę.

Na ekranie Kim znowu pochlipywała.

— Nic nikomu nie powiem.

— Grzeczna dziewczynka. To będzie nasz sekret, czy tak, Kim?

Twarz Henriego była zniekształcona pod plastikową maską, a głos cyfrowo zmieniony, ale świetne aktorstwo robiło wrażenie na widowni przed ekranem. Obydwaj mężczyźni pochylili się w fotelach, patrząc z błyskiem w oczach, jak Henri gładzi dziewczynę po plecach i szepcze jej coś do ucha. Jej zawodzenie ucichło. Wydawało się, że zapada w sen.

A wtedy Henri usiadł na niej okrakiem i owinał sobie wokół dłoni splety jej lekko wilgotnych blond włosów.

Gwałtownym szarpnięciem uniósł jej głowę z materaca, aż ciało dziewczyny wygięło się w łuk. To było bolesne i z jej ust wyrwał się krzyk. Być może zauważyła, że prawą ręką sięgnął po nóż i trzyma go w górze.

— Kim, zaraz się obudzisz — powiedział. — I jeśli zapamiętasz, co się za chwilę stanie, wyda ci się to tylko koszmarnym snem.

Piękna kobieta leżała zadziwiająco spokojnie, gdy robił pierwsze głębokie cięcia na jej szyi. Dopiero pod wpływem straszliwego bólu, który wyrwał ją z odrętwienia, otworzyła szeroko oczy i z otwartych

usminkowanych ust wyrwał się przeraźliwy krzyk. Ciałem wstrząsały konwulsje, gdy Henry przecinał mięśnie i kości, używając noża jak piły. I nagle krzyk zamarł, przez moment pobrzmiwało tylko jego echo. Henri dokończył dzieła, trzema zdecydowanymi pociągnięciami noża odcinając głowę od ciała.

Krew trysnęła na żółte ściany, zabarwiła czerwienią białe satynowe prześcieradło, ściekała strużkami po rękach i nogach klęczącego nad martwym ciałem mężczyzny.

Gdy w następnym ujęciu Henri zbliżył się do kamery z głową Kim, która lekko się kołysała, gdy trzymał ją za włosy, pod plastikową maską widać było jego szeroki uśmiech. A na pięknej twarzy Kim zastygł grymas rozpacz.

Zniekształcony elektronicznie głos zabójcy miał nienaturalne, mechaniczne brzmienie, ale współgrał ze scenerią, co Horst potrafił docenić.

— Mam nadzieję, że wszyscy są szczęśliwi — powiedział Henri.

Jeszcze przez dłuższą chwilę kamera pokazywała twarz Kim, a potem ekran pociemniał, choć dwaj widzowie chcieliby zobaczyć więcej.

Część druga

Na skrzydłach nocy

Rozdział 8

Pod piętrzącym się malowniczym urwiskiem zastygłej lawy na wschodnim wybrzeżu Maui stał mężczyzna, wpatrując się w dal, gdzie w nadchodzącym świetle nad czarną powierzchnią oceanu zaczynały lekko różowieć skrywające jeszcze niebo chmury.

Nazywał się Henri Benoit, ale nie było to jego prawdziwe nazwisko. Był dobrze po trzydziestce, miał półdługie blond włosy, szaroniebieskie oczy, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Nie miał na nogach butów, palce jego stóp zanurzały się w piasku. Biała koszula wypuszczona była swobodnie na płóciennie szare spodnie.

Jego uwaga skupiła się przez chwilę na podskakujących na falach i wrzeszczących mewach. Pomyślał, że nawoływania tych ptaków mogą zapowiadać początek kolejnego nieskazitelnego dnia w tym rajku na ziemi, w jakim się znalazł. Niestety, wkrótce miało się okazać, że zanim dzień rozpoczął się na dobre, coś zaczęło się psuć.

Odwrócił się tyłem do oceanu, wsunął głębiej palmtopa do kieszeni spodni i zaczął się wspinać po stromym zboczu, a wiatr wiejący mu w plecy wydymał jego koszulę na podobieństwo żagla.

Henri dotarł wkrótce do swojego bungalowu. Energicznie otworzył wahadłowe drzwi, przeszedł przez nieprzeszkłone *lanai*, i przemierzywszy jasny parkiet, znalazł się w kuchni, gdzie nalał sobie filiżankę hawajskiej kawy *kona*. Wrócił na werandę i usadowił się na szezlongu obok wanny z gorącą wodą. Miał do przemyślenia kilka spraw.

To miejsce, hotel Hana Beach, znajdowało się na czele jego listy A: dyskretne, ekskluzywne, komfortowe, bez telewizji, a nawet telefonu. Otoczone kilkoma tysiącami akrów lasu, usytuowane nad brzegiem oceanu. Nierzucające się w oczy skupisko luksusowych bungalowów, rajska oaza spokoju dla bogaczy.

Przebywanie tutaj stwarzało człowiekowi szansę na pełny relaks, bycie sobą, zanurzenie się w prawdziwą istotę własnej natury.

Niestety, nastrój odprężenia zakłócił telefon ze wschodniej Europy. Rozmowa była krótka, praktycznie jednostronny komunikat. Horst przekazywał dobre i złe wiadomości tonem, który niczym nóż przecinający tętnicę zabił u Henriego poczucie, że jest panem swojego losu.

Horst powiedział, że wykonana przez Henriego praca została dobrze przyjęta, ale są pewne zastrzeżenia.

Czy wybrał, właściwą ofiarę? Dlaczego o okrutnej śmierci Kim McDaniels nikt nie wie? To jak klaskanie jedną ręką, nie było bowiem żadnego oddźwięku. Prasa nie ma się czym żywić. Czy Horst i pozostali nie dostają zbyt mało, zważywszy na to, jak hojnie wynagradzają Henriego?

— Przesłałem wam kawał znakomitej roboty — odciął się Henri. — Nie możesz temu zaprzeczyć.

— Uważaj, co mówisz, Henri. Chcemy pozostać przyjaciółmi, czy tak?

Przyjaciele? Są powiązani umową handlową, zgodnie z którą tylko jedna strona dyktuje warunki. I nie jest to on, lecz jego potężni *amigos*,

którzy mają pieniądze. A teraz Horst narzeka, że jego kumple nie są usatysfakcjonowani. Chcą więcej. Więcej napięcia. Więcej akcji. I pragną dzielić wrażenia z szerszą widownią.

— Puść wodze fantazji, Henri. Masz nas zadziwić.

Byli oczywiście gotowi płacić więcej za dodatkowo zakontraktowane usługi i ta perspektywa złagodziła ostatecznie wściekłość Henriego, ale nie zmniejszyła jego pogardy dla podglądaczy.

Chcą więcej?

Będą mieli.

Zanim skończył drugą filiżankę kawy, opracował nowy plan. Wyjął z kieszeni bezprzewodowy telefon i zaczął dzwonić.

Rozdział 9

Tej nocy w Cascade, zalesionym przedmieściu Grand Rapids w stanie Michigan, padał śnieg. Pokrył delikatną warstwą dach ceglanego domu z trzema sypialniami, należącego do Levona i Barbary McDanielsów. W komfortowym przytulnym wnętrzu dwaj chłopcy spali w dziecinnym pokoju zdrowym głębokim snem.

Levon i Barbara leżeli w sypialni na obszernym łożu firmy Sleep Number Bed, odwróceny do siebie plecami, ale dotykając się stopami, jakby na potwierdzenie, że ich dwudziestopięcioletni związek pozostaje nierozzerwalny nawet w czasie snu.

Nocny stolik Barbary zavalony był czasopismami i czytadłami w miękkich okładkach, teczkami ze studenckimi testami do przejrzania i jej własnymi notatkami, opakowaniami witamin rozrzuconymi wokół butelki z zieloną herbatą. „Nie przejmuj się tym bałaganem, Levonie, i niczego nie ruszaj. Wiem, gdzie jest każda z potrzebnych mi rzeczy”.

Nocny stolik Levona świadczył o tym, że dominuje u niego lewa półkula mózgu, a nie jak u Barbary, prawa. W idealnym porządku leżały na nim roczne sprawozdania, opatrzone notatkami Levona egzemplarz *Against All Reason*, długopis i notatnik oraz zestaw elektroniki — telefony, laptop, zegarek — każde urządzenie podłączone było do

rozdzielacza leżącego koło lampki i ułożone w bezpiecznej dziesięciocentymetrowej odległości od krawędzi stolika.

Nagle w śnieżną białą ciszę otulającą dom wdarł się dzwonek telefonu, wyrrywając Levona ze snu. Jego tętno gwałtownie przyspieszyło. W jednej sekundzie ogarnęła go panika. Coś się stało?

Po drugim dzwonku sięgnął po słuchawkę telefonu stacjonarnego.

Spojrzał na zegarek, było czternaście po trzeciej. Kto, do diabła, dzwoni o tej porze? Po chwili się uspokoił. To z pewnością Kim. Między nimi była kilkugodzinna różnica czasu, najwidoczniej Kim źle coś obliczyła.

— Kim? Skarbie? — zapytał.

— Kim zniknęła — usłyszał po drugiej stronie linii męski głos.

Levon poczuł bolesny ucisk w klatce piersiowej, nie mógł zaczerpnąć tchu. Atak serca?

— Przepraszam, nie rozumiem, co pan powiedział?

Barbara usiadła na łóżku i zapaliła światło.

— Levonie? Co się dzieje? — spytała.

Levon wyciągnął do niej rękę, dając do zrozumienia, że odpowie za chwilę.

— Kto mówi? — spytał, pocierając pierś, by złagodzić ból.

— Mam tylko minutę, więc niech pan słucha uważnie. Dzwonię z Hawajów. Kim zaginęła. Dostała się w złe ręce.

Przez ciało Levona, od czubka głowy po koniuszki palców, przebiegła zimna fala strachu. Przycisnął mocniej słuchawkę do ucha, wydawało mu się, że słyszy echo słów nieznanego: „Kim wpadła w złe ręce”.

To jakiś nonsens.

— Nie rozumiem. Czy jest ranna?

Nie było odpowiedzi.

- Halo?
- Czy słucha mnie pan uważnie, panie McDaniels?
- Tak, ale kto mówi?
- Nieważne, słuchaj, co mówię, nie będę powtarzał.

Levon pociągał za podkoszulek przy szyi, próbując zebrać myśli. Czy nieznajomy kłamie, czy mówi prawdę? Zna ich numer telefonu, nazwisko, wie, że Kim jest aktualnie na Hawajach. Skąd ma te wszystkie informacje? Barbara szarpała go za ramię.

- Levonie, co się dzieje? Czy chodzi o Kim?

— Kim nie stawiała się na wczorajszą poranną sesję zdjęciową — mówił rozmówca. — Czasopismo milczy w tej sprawie. Trzymają za nią kciuki. To wszystko, co robią. Mają nadzieję, że Kim się odnajdzie.

— Czy zawiadomiono policję? Czy ktoś zgłosił jej zaginięcie na policję?

— Odkładam słuchawkę — powiedział nieznajomy. — Jednak na waszym miejscu wsiadłbym w najbliższy samolot lecący na Maui. Powinniście polecieć obydwój. Ty, Levonie, i Barbara.

— Jeszcze chwila, proszę! — zawołał rozpaczliwie Levon. — Skąd pan wie, że ona zaginęła?

— Ponieważ to ja ją uprowadziłem. Widziałem ją. Polubiłem. Miałem ją. Życzę miłego dnia.

Rozdział 10

— Czego chcesz? Powiedz, czego od nas żądasz?!

Levonowi odpowiedział odgłos odkładanej słuchawki i sygnał przewrania rozmowy. Natychmiast włączył przycisk identyfikacji numeru, ale zamiast cyfr wyświetliła się informacja „nieznany”. Barb nie przedstawiała szarpać go za ramię.

— Levonie! Powiedz coś wreszcie! Co się stało?!

Barbara mawiała, że to ona wznieca pożar w rodzinie, a Levon występuje w roli strażaka i taki podział ról utrwalił się przez lata, dlatego Levon, relacjonując jej przebieg rozmowy z nieznajomym, starał się opanować drżenie głosu, nie okazywać strachu i ograniczyć się do faktów.

Jednak na przerażonej twarzy Barbary zobaczył odbicie własnego strachu, który wybuchł w jego głowie niczym płomień. Głos żony docierał do niego jak z dużej odległości.

— Uwierzyłeś w to, co mówił? Czy powiedział, gdzie ona jest? Powiedział, co jej się stało? Boże mój, o czym my tak naprawdę mówimy?

— Powiedział tylko, że zniknęła...

— Kim nie rusza się nigdzie bez komórki. — Barbara walczyła o oddech. Łapał ją atak duszności.

Levon wyskoczył z łóżka, żeby podać jej inhalator. Ręce trzęsły mu się tak, że w pośpiechu pozrzywał sterty i kupki z nocnego stolika Barbary, pigułki i papiery rozsypały się po podłodze. Podał żonie aparat.

Podczas inhalacji łzy skapywały jej po policzkach.

Potem wyciągnął do niej ręce, a ona wtuliła się w jego ramiona i rozszlochała.

— Proszę, zadzwoń do niej.

Levon wziął aparat, który leżał na kołdrze, wystukał numer Kim i z niecierpliwością słuchał sygnałów — jeden, dwa, trzy — jednocześnie patrząc na zegarek i obliczając różnicę czasu. Na Hawajach minęła właśnie dziesiąta wieczorem.

Usłyszał głos Kim.

— Kim! — krzyknął.

Barb klasnęła, a na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi, ale Levon już zorientował się, że radość jest przedwczesna.

— To tylko poczta głosowa — powiedział do żony, wysłuchując nagrania do końca: „Zostaw swoje nazwisko i numer telefonu, oddzwonię. Do usłyszenia”.

— Kim, mówi tata. Czy wszystko w porządku? Chcielibyśmy cię usłyszeć. Nie zważaj na godzinę. Zadzwoń od razu. U nas wszyscy zdrowi. Kochamy cię, skarbie.

Barbara szlochała.

— O mój Boże, mój Boże! — jęczała, wtulając twarz w jasek.

— Niczego pewnego jeszcze nie wiemy, Barb — odezwał się Levon.

— To mógł być jakiś kretyn z chorym poczuciem humoru...

— Boże drogi! Spróbuj zadzwonić do jej pokoju hotelowego.

Siedząc na krawędzi łóżka i tępo patrząc na supełkową wykładzinę pod nogami, Levon wybrał numer informacji. Zanotował numer, rozłączył się i zadzwonił do hotelu Wailea Princess na Maui.

Gdy połączył się z operatorką, zapytał o Kim McDaniels, a potem po pięciu sygnałach, na które nikt nie zareagował w oddalonym o blisko dziesięć tysięcy kilometrów pokoju hotelowym, usłyszał komunikat: „Proszę zostawić wiadomość dla gościa w pokoju numer trzysta czternaście lub nacisnąć zero, aby połączyć się z centralą”.

Powrócił ból w klatce piersiowej i uczucie duszności. Levon nagrał się na sekretarkę:

— Kim, zadzwoń do mamy i taty. To pilne. — Stuknął następnie palcem w przycisk zero i po dłuższej chwili dobiegł go śpiewny głos operatorki z centrali hotelowej.

Poprosił ją, żeby połączyła się z pokojem Carol Sweeney, bookerki z agencji modelek. Wiedział, że ta pojechała z Kim na Hawaje jako opiekunka.

Ale w pokoju Carol również nikt nie odbierał telefonu. Levon zostawił wiadomość:

— Carol, tu Levon McDaniels, ojciec Kim. Oddzwoń jak najszybciej. Nie zważaj na godzinę. Jesteśmy na nogach. Zostawiam też numer mojej komórki.

Ponownie połączył się z operatorką.

— Potrzebujemy pomocy — powiedział. — Proszę o kontakt z dyrektorem hotelu. To sprawa niecierpiąca zwłoki.

Rozdział 11

Levon McDaniels miał wydatną szczękę, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i muskularne ciało. Był człowiekiem czynu i typem przywódcy, szybko podejmował decyzje, ale teraz, siedząc w czerwonych bokserkach na brzegu łóżka i trzymając w ręku bezużyteczny telefon, który nie połączył go z córką, czuł się bezradny. Zbierało mu się na mdłości.

Czekając na wiadomość od hotelowej ochrony, która udała się do pokoju Kim, nie potrafił okiełznać wyobraźni, która podsuwała mu straszliwe obrazy ciężko rannej Kim lub Kim w rękach jakiegoś zwyrodniałego maniaka, który zamierza jej wyrzucić Bóg wie jaką krzywdę.

Czas płynął, to były pewnie tylko minuty, ale zniecierpliwienie Levona rosło. Wyobrażał sobie, że jak rakieta pokonuje Pacyfik, wbiega po schodach i kopnięciem otwiera drzwi do pokoju hotelowego Kim. A tam ona po prostu śpi, a słuchawka telefoniczna zwisa na kablu.

— Pan McDaniels? Mam ochronę na drugiej linii. Łóżko jest wciąż posłane, nietknięte. Rzeczy pańskiej córki wydają się nieruszane. Czy życzy pan sobie, żeby zawiadomić policję?

— Tak. Natychmiast. Dziękuję. Czy może mi pani przeliterować swoje nazwisko?

Zarezerwował pokój w hotelu, a następnie po wielu próbach połączył się z United Airlines.

Siedząca obok niego Barbara oddychała ciężko, jej policzki błyszczały od łez, przetykany siwymi nitkami warkocz rozplótł się, ponieważ nerwowo przesuwała po nim palcami. Gdy Barbara cierpiała, było to widoczne. Nie potrafiła niczego ukrywać. Zawsze było wiadomo, w jakim jest nastroju i czego można się spodziewać.

— Im więcej o tym myślę... — głos jej się rwał, przerywany spazmatycznym łkaniem — ...tym większą mam pewność, że on kłamał... Gdyby była w jego rękach... chciałby okupu... a przecież nie żądał pieniędzy. Levonie, właściwie dlaczego on do nas dzwonił?

— Nie wiem, Barb. Ja też uważam, że to wszystko nie trzyma się kupy.

— Która godzina jest na Hawajach?

— Dwudziesta druga trzydzieści.

— Więc... nie ma jej już od osiemnastu godzin. — Mocząc łzami podkoszulek męża, Barbara próbowała nakreślić optymistyczny scenariusz. — Prawdopodobnie pojechała gdzieś samochodem z jakimś przystojniakiem. Złapali gumę. Znaleźli się poza zasięgiem sieci. Nie mogli zadzwonić. Kim na pewno się denerwuje, że nie stawiała się na zdjęciach. Wiesz, jaka ona jest. Utknęła na odludziu i jest na siebie wściekła.

Levon przemilczał najbardziej przerażający fragment rozmowy. Nieznajomy powiedział, że Kim „dostała się w złe ręce”. Tego żonie nie powtórzył. Czemu miałyby to służyć? Zresztą nie byłby w stanie wyduścić tych słów.

— Nie wolno nam stracić głów ani ducha — powiedział.

Barbara przytaknęła.

— To oczywiste. Więc jedziemy tam. Ale zdajesz sobie sprawę, że Kim będzie wściekła, gdy się dowie, że zażądałeś, by hotel zawiadomił policję? Pamiętaj, że lepiej schodzić jej z oczu, kiedy wpada w szal.

Levon się uśmiechnął.

— Wejść pod prysznic po tobie — powiedziała Barbara.

Po pięciu minutach Levon wyszedł z łazienki, umyty i ogolony, mokre włosy sterczały mu wokół placka łysiny na czubku głowy. Ubierając się, próbował sobie wyobrazić hotel Wailea Princess, przypominały mu się pocztówki młodożenców spacerujących o zachodzie słońca po plaży. Pomyślał nagle, że już nigdy nie zobaczy Kim, i przeszył go dreszcz trwogi.

Boże, błagam, Boże, nie pozwól, żeby stało jej się coś złego.

Barbara była w łazience króciutko, potem szybko wciągnęła na siebie niebieski sweter i szare spodnie i włożyła buty na płaskim obcasie. Szeroko otwarte oczy świadczyły o tym, że wciąż jest w szoku, ale pierwsza histeria minęła i jej umysł pracuje sprawnie jak zawsze.

— Spakowałam naszą bieliznę i szczoteczki do zębów i nic poza tym, Levonie. Jeśli będziemy czegoś potrzebowali, kupimy to na Maui.

W Cascade była godzina trzecia czterdzieści pięć. Od anonimowego telefonu, który zakłócił nocną ciszę i napełnił McDanielsów trwogą, upłynęła niecała godzina.

— Zadzwoń do Cissy — powiedziała Barb. — Ja obudzę chłopców.

Rozdział 12

Z ciężkim sercem, wzdychając, Barbara przekreśliła włącznik światła. Dziecinny pokój stopniowo się rozjaśniał. Greg stęknął, naciągnął na głowę kołdrę z wizerunkiem Spidermana, za to John natychmiast usiadł na łóżku, a na jego czternastoletniej twarzy pojawił się wyraz oczekiwania na coś niezwykłego, być może bardzo interesującego.

Barb delikatnie potrząsnęła ramieniem Grega.

— Kochanie, obudź się.

— Maaaamo, nieeee...

Ściągając kołdrę z młodszego synka, Barbara przedstawiła chłopcom taką wersję wydarzeń, w jaką sama chciała uwierzyć, a nawet w nią prawie wierzyła: oóż mama i tata postanowili wybrać się na Hawaje, żeby odwiedzić Kim.

Chłopcy natychmiast nastawili uszu i zarzucili matkę pytaniami, ale gdy w progu pojawił się Levon z twarzą ściągniętą niepokojem, Greg wykrzyknął:

— Tato, co się dzieje?!

Barbara przytuliła Grega i powiedziała chłopcom, że wszystko jest w porządku, że ciocia Cissy i wujek Dave już na nich czekają.

— Za piętnaście minut znowu będziecie w łóżkach. Zostańcie w piżamach, włóżcie tylko kurtki i buty.

Johnny błagał, żeby go zabrać, bo nie może stracić okazji przejechania się skuterem wodnym i nurkowania z rurką, ale Barbara, powstrzymując łzy, powiedziała, że tym razem to niemożliwe, i zajęła się pakowaniem skarpetek i butów, szczoteczek do zębów, no i oczywiście game boya.

— Mamo, jest ciemna noc. Coś się stało i nie chcesz nam powiedzieć.

— Nie ma czasu na wyjaśnienia, Johnny. Ale wszystko jest w porządku. Spieszmy się, żeby zdążyć na samolot.

Dziesięć minut później dojeżdżali do domu Christine i Davida oddalonego zaledwie o pięć przecznic. Gospodarze czekali przed frontowymi drzwiami. Podmuchy arktycznego powietrza wzbijały w górę śnieg pokrywający trawnik i przed oczami wirował biały pył.

Gdy Levon skręcał na podjazd, Cissy zbiegła po schodach. Dwa lata młodsza od siostry, miała podobnie jak ona owalny kształt twarzy, a patrzącemu na nią Levonowi przypominała także Kim.

Cissy wyciągnęła ręce, a chłopcy rzucili się pędem w jej ramiona. Gdy obejmowała po chwili Barbarę i Levona, siostra powiedziała cicho:

— Przekierowałam nasz numer na twój. Na wypadek, gdyby był telefon... — Nie chciała mówić więcej przy chłopcach, lecz nie była pewna, czy Cissy ją zrozumiała.

— Zadzwoń do mnie podczas przesiadki — zasugerowała Cissy.

David wyciągnął do Levona rękę z kopertą.

— Tu jest trochę pieniędzy, około tysiąca. Nalegam, weź to. Przydadzą się, gdy tam doleciecie. Na taksówki i inne rzeczy. Nie wzbraniam się, Levonie.

Nastąpiła wymiana uścisków, w porannej ciszy rozbrzmiewały słowa pożegnania i życzenia szczęśliwej podróży. Kiedy za Cissy i Davidem zamknęły się drzwi, Levon przypomniał żonie o zapięciu pasów.

Wycofał suburbana z podjazdu, skręcił w Burkett Road, kierując się w stronę portu lotniczego imienia Geralda R. Forda. Na prostej rozpedził się do stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

— Zwolnij, Levonie.

— Tak, kochanie.

Ale trzymał nogę na gazie i gnał przed siebie, wpatrzony w migoczący śnieżny szlak, co pomagało mu balansować na granicy strachu i uniknąć stoczenia się w otchłań rozpacz.

— Zadzwoń do banku, gdy będziemy przesiadali się w Los Angeles — powiedział. — Pomówię z Billem Macchio, niech otworzy kredyt pod zastaw domu, możemy potrzebować pieniędzy.

Widział, że z oczu Barbary płyną łzy, gdy na swoim blackberry wystukiwała SMS-y do rodziny, przyjaciół, do pracy. Do Kim.

Już na parkingu Barbara jeszcze raz zadzwoniła do Kim. Trzymała w górze komórkę, żeby Levon też wysłuchał metalicznego głosu: „Tu poczta głosowa Kim McDaniels. Nie ma miejsca na więcej wiadomości”.

Rozdział 13

Z Grand Rapids McDanielsowie polecili do Chicago, gdzie zdążyli na lot z listy rezerwowej do Los Angeles, skąd natychmiast mieli połączenie do Honolulu. W Honolulu dosłownie biegli przez halę lotniska z biletami w rękach i jako ostatni pasażerowie weszli na pokład turbośmigłowca amerykańskiej linii Island Air. Jeszcze nie usadowili się w fotelach przy przegrodzie, gdy drzwi pasażerskiego krótkodystansowca zamknęły się z hukiem, od którego aż się wzdrygnęli.

Na Maui mieli lecieć czterdzieści minut.

Od wyjazdu z Grand Rapids Barbara i Levon zapadali w krótkie drzemki, budzili się, przesiadali i znowu zasypiali, a od tamtego telefonu upłynęło tyle czasu, że zaczął im się wydawać nierealnym koszmarem.

Teraz snuło im się po głowach szczęśliwe zakończenie: Kim ich najpierw zrugła za to, że przyjechali, a potem będą się zaśmiewali w trójkę z całej tej hecy. Po powrocie do domu pochwałą się zdjęciami z Kim, na których stoi między nimi z charakterystyczną przekorną miną. Ot, grupka rozbawionych turystów na Hawajach z girlandami kwiatów na szyjach.

Dobry nastrój nie trwał jednak długo — powróciły obawy i strach.

Gdzie jest Kim? Dlaczego nie mogą się do niej dodzwonić? Dlaczego ona nie oddzwoniła ani na ich domowy telefon, ani na komórkę Levona?

Samolot płynął w słońcu nad pierzyną z chmur. Barbara odwróciła się od okna i spojrzała na męża.

— Przypomniała mi się rowerowa historia.

Levon kiwnął głową i wziął Barb za rękę.

„Rowerowa historia” też zaczęła się od straszego telefonu, telefonu z policji. Od tamtego czasu minęło osiem czy dziewięć lat, Kim miała wtedy lat czternaście. Po szkole wybrała się na rower, a na szyi związała długi szalik. Jeden jego koniec dostał się w szprychy tylnego koła. Szarpnięcie było tak mocne, że Kim zaczęła się dusić i spadła z roweru na pobocze.

Przejeżdżająca autem kobieta zauważyła na jezdni rower, zatrzymała się i dostrzegła nieprzytomną Kim leżącą pod drzewem. Kobieta — nazywała się Annę Clohessy — zadzwoniła natychmiast pod 911. Załoga przybyłej na miejsce karetki nie mogła Kim ocucić.

Z powodu długotrwałego niedotlenienia mózgu dziewczynka zapadła w śpiączkę, orzekli lekarze. Złowróżbna diagnoza brzmiała: stan może być nieodwracalny.

Zanim wiadomość dotarła do Levona, który był w pracy, Kim przewieziono do szpitala dla ofiar wypadków w Chicago. Wsiedli do samochodu i cztery godziny jechali do tego szpitala, gdzie zastali córkę na oddziale intensywnej terapii, półprzytomną, ale wybudzoną ze śpiączki, ze strasznym zasinieniem na szyi, prawie tak niebieskim, jak szalik, przez który omal nie straciła życia.

Ale Kim żyła. Nie była jeszcze sobą, wiadomo było jednak, że będzie zdrowa.

— Coś dziwnego działo się z moją głową — powiedziała wtedy. — Niby śniłam, ale to było jak na jawie. Słyszałam głos wielbnego ojca Marty'ego, jakby siedział na skraju mojego łóżka.

— Co mówił, dziecinko? — zapytała Barbara.

— Powiedział, że jest szczęśliwy, iż zostałam ochrzczona.

Levon, wzruszony tym wspomnieniem, zdjął okulary i przetarł oczy wierzchem dłoni, choć Barbara podsunęła mu chusteczkę.

— Wiem, wiem, o czym myślisz, kochanie — powiedział.

Chcieli, żeby teraz było tak samo. Chcieli zobaczyć Kim zdrową. W stu procentach. Levon uśmiechnął się do żony przez łyż. Obydwojgu przypomniał się artykuł w „Chicago Tribune”, w którym nazwano Kim „Cud Dziewczynką”. Nieraz sami ją tak nazywali.

Cudowna dziewczynka. Na pierwszym roku studiów weszła w skład uczelnianej reprezentacji koszykówki. Przyjęta na medycynę na Columbia University. Spośród mnóstwa kandydatek wybrana przez „Sporting Life” na modelkę reklamującą kostiumy kąpielowe. To zdarza się jednej dziewczynie na milion.

Czy to też był cud? — zastanawiał się Levon.

Rozdział 14

Barbara zwinęła chusteczkę w rulonik i spojrzała na męża.

— Nie powinnam była się tak ekscytować tą ofertą agencji modellek.

— Kim sama bardzo tego chciała. Nie ma w tym niczyjej winy. Od zawsze sama o sobie decydowała.

Barbara wyjęła z torebki duże portretowe zdjęcie osiemnastoletniej Kim, zrobione dla agencji w Chicago. Levon spojrzał na nie. Kim miała na sobie wydekoltowany czarny sweterek, blond włosy opadały jej na ramiona — piękność, o jakiej marzą mężczyźni.

— Koniec z tymi zabawami w modelkę — powiedział.

— Ona ma dwadzieścia jeden lat, Levonie.

— Ma zostać lekarzem, Barb. Nie ma żadnego powodu, żeby zajmowała się pozowaniem do zdjęć reklamowych. Musi z tym skończyć, potrafię jej to wyperswadować.

Stewardesa ogłosiła, że samolot za chwilę będzie lądował.

Barb odsunęła osłonę okienka i Levon ujrzał płynące obłoki, których wierzchołki wydawały się podświetlone różowymi reflektorami.

Gdy w dole ukazały się maleńkie domki i uliczki Maui, odwrócił głowę od okna i spojrzał na żonę, ukochanego życiowego partnera i przyjaciela.

— Dobrze się czujesz, kochanie? Wszystko w porządku?

— Jak nigdy dotąd — zaświergotała Barb, udając dobry humor. —
A ty?

Uśmiechnął się, przyciągnął Barbarę do siebie, przyłożył policzek do jej policzka i poczuł utrwalony we włosach zapach perfum. Pocałował żonę i mocno ścisnął jej rękę.

— Trzymaj się — szepnął, gdy samolot zaczął ostro schodzić w dół. I zwrócił się w myślach do Kim: Przyjeżdżamy po ciebie, skarbie. Mama i tata już tu są.

Rozdział 15

McDanielsonowie zeszli po chybottliwych schodkach samolotu na asfaltową płytę lotniska w duszący upał, nie do zniesienia po chłodzie, jaki panował w samolocie.

Levon ogarnął wzrokiem wulkaniczny krajobraz, który wydał mu się jak nie z tego świata. Jeszcze nie tak dawno w ciemności nocy w Michigan czuł płatki śniegu wpadające za kołnierz koszuli, gdy schylił się, by pożegnać się z synami.

Zdjął marynarkę, pomacał wewnętrzną kieszeń, żeby się upewnić, że są tam bilety powrotne — łącznie z tym, który kupił dla Kim.

Terminal był pełen ludzi. Poczekalnia i odbiór bagażu znajdowały się pod gołym niebem. Barbara i Levon okazali funkcjonariuszowi w niebieskim uniformie karty pokładowe, przysięgając, że nie wwożą żadnych owoców, a potem zaczęli rozglądać się za taksówką.

Levon, który z determinacją przeciskał się przez tłum, żeby jak najszybciej znaleźć się w hotelu, cudem uniknął kolizji z wózkiem bagażowym, a cofając się, o mało nie przewrócił dziewczynki ze złotymi warkoczykami. Stała pośrodku tego tumultu, ściskając w rękę pluszaka, i z ciekawością przypatrywała się otoczeniu. Wyglądała na dziecko

tak ufne i pewne siebie, że skojarzyła mu się z Kim, i znowu ogarnęła go fala paniki, aż poczuł zawrót głowy i mdłości.

Parł do przodu, niemal niczego nie widząc i zadając sobie pytanie, czy przypadkiem Kim nie wyczerpała swojego przydziału. Czy nie żyła na kredyt? Czy cała rodzina nie popełniła straszliwego błędu, dając się omamić nagłówkowi z „Chicago Tribune”, której reporter uznał „Cud Dziewczynkę” za dziecko szczęścia? Dlaczego uwierzyli, że nigdy nic złego nie może jej się stać?

Levon modlił się w duchu: Spraw, Boże, żebyśmy zastali Kim w hotelu, bezpieczną, żeby ucieszyła się na nasz widok i powiedziała „przepraszam”, że mieliście przeze mnie takie zmartwienia.

Trzymając się za ręce, wyszli z terminalu, ale zanim dotarli do postoju taksówek, zauważyli, że zbliża się do nich mężczyzna, niosąc tabliczkę z wypisanym na niej ich nazwiskiem — domyślili się, że przysłano po nich samochód z kierowcą.

Kierowca był wyższy od Levona, miał ciemne włosy i wąsy, na głowie szoferską czapkę, a na sobie ciemne ubranie i do tego kowbojskie buty na kilkucentymetrowych obcasach.

— Pan i pani Daniels? — spytał. — Jestem Marco. Hotel wynajął mnie jako kierowcę. Jestem do waszych usług. Czy macie kwity bagażowe?

— Nie mamy żadnego bagażu.

— Dobrze. Limuzynę zaparkowałem niedaleko wyjścia.

Rozdział 16

Szli za Markiem. Levona drażnił kaczkowaty chód obutego w kowbojki kierowcy i zastanawiał się, czy ledwie wyczuwalny w jego głosie akcent wskazuje na nowojorczyka czy kogoś z New Jersey.

Przeszedłszy przez podjazd pod terminalem, znaleźli się na wysepce na jezdni, gdzie Levon zauważył porzuconą na ławce gazetę leżącą pierwszą stroną do góry.

Zamarło mu serce, gdy uprzytomnił sobie, że spod nagłówka patrzy na niego twarz Kim.

Z czołówki „Maui News” krzyczał wydrukowany grubą, czarną czcionką tytuł *Zaginiona piękność*.

Zaszokowany Levon z trudem uzmysłowił sobie, co to znaczy. W ciągu jedenastu godzin, które spędzili w podróży, Kim oficjalnie uznana została za osobę zaginioną w niewyjaśnionych okolicznościach.

Kim nie czeka na nich w hotelu.

A więc zaginęła — tak jak powiedział nieznajomy rozmówca.

Levon wziął gazetę drżącą ręką. Serce łomotało mu w piersi, gdy patrzył na roześmiane oczy Kim. Była w kostiumie kąpielowym, zdjęcie

niewątpliwie zostało zrobione przed paroma dniami.

Levon złożył gazetę wzdłuż, dogonił kierowcę i Barbarę, którzy byli już przy samochodzie, i spytał Marca, jak długo będą jechali do hotelu.

— Mniej więcej pół godziny. Nie płaci mi pan za przejazd, panie McDaniels. Hotel Wailea Princess pokrywa koszty korzystania przez was z mojej limuzyny i czasu.

— Dlaczego to robią?

W głosie Marca zabrzmiała miękka nuta.

— W tej sytuacji... sir.

Otworzył drzwi auta. Wsiedli. Twarz Barbary ściągnął ból, gdy jej wzrok padł na nagłówek w gazecie, a rozszlochała się na dobre, gdy zaczęła czytać artykuł.

Limuzyna włączyła się w ruch z lotniska, a gdy znaleźli się na autostradzie, Marco spytał uprzejmie, czy jest im wygodnie, czy wpuścić chłodniejsze powietrze, czy włączyć muzykę. Levon chciał pójść na policję natychmiast po zameldowaniu się w hotelu, ale czuł się jak żołnierz ciężko ranny na polu bitwy, który stracił nogi i zastanawia się, czy w ogóle przeżyje.

Sedan zjechał z publicznej drogi i zwolnił. Jechali teraz szpalerem utworzonym przez żywe ściany purpurowo kwitnących pnączy, potem minęli sztuczny wodospad i zbliżając się do imponującego portyku kolumnowego osłaniającego podjazd przed głównym wejściem do hotelu Wailea Princess, widzieli z obydwu stron wykładane kolorowymi płytkami fontanny. Z wody wylaniały się brązowe figury polinezyjskich wojowników, na wodzie unosiły się hawajskie smukłe łodzie, słynne *outriggers*, napełnione orchideami.

Gdy się zatrzymali, do auta podskoczyli chłopcy hotelowi w białych koszulach i czerwonych szortach. Marco otworzył drzwi Levonowi i

gdy ten okrążał auto, żeby pomóc wysiąść żonie, usłyszał dobiegające zewsząd nawoływania: głośno wykrzykiwano jego nazwisko.

W kierunku hotelowego wejścia ze wszystkich stron biegli ludzie — reporterzy z uniesionymi w górę kamerami i mikrofonami.

Biegli, żeby dopaść zwierzyny.

Rozdział 17

Dziesięć minut później Barbara, ogłuszona krzykami dziennikarzy, zmęczona podróżą oraz różnicą czasu, wchodziła do apartamentu, na widok którego w innych okolicznościach wykrzyknęłaby: „Jaki wspaniały!”. Gdyby zerknęła na cennik powieszony przy drzwiach, mogłaby się dowiedzieć, że doba kosztuje tu trzy tysiące dolarów.

Poruszała się jak lunatyczka, a gdy stanęła pośrodku salonu, jej oczy nie potrafiły wchłonąć przepychu ręcznie tkanego perskiego dywanu w orchidee na pastelowym tle, gobelinowej tkaniny na miękkich kanapach i fotelach, wielkiego panelowego ekranu telewizyjnego.

Podeszła do okna, ale nie interesował jej piękny widok, szukała wzrokiem Kim. Z okna widać było wspaniały basen o nietypowym kształcie wydłużonego prostokąta, na który nałożono kwadrat. Na płytkim końcu w owalnym jacuzzi wirowała woda, w środku pod strumieniami wody tryskającej z fontanny bawiły się dzieci.

Barbara wędrowała oczami wokół basenu w głuchej nadziei, że pod śnieżnobiałym parasolem zobaczy młodą kobietę leżącą na plażowym fotelu i sączącą drinka — wypatrywała sylwetki Kim.

Widziała dziewczyny i kobiety, szczuplejsze i tęższe, młodsze i starsze, wyższe i niższe, ale żadna z nich nie była jej córką.

Spojrzała dalej, poza basen, na zadaszoną alejkę i schodki prowadzące w dół na plażę, widziała pióropusze palm, szafirowy ocean i bezkres wód między brzegiem plaży i wybrzeżem Japonii.

Gdzie jest Kim?

Barbara chciała powiedzieć Levonowi, że czuje obecność Kim gdzieś tutaj, ale gdy się odwróciła, nie było go w salonie.

Usłyszała odgłos spuszczonej w toalecie wody i jednocześnie zauważyła na stoliku nieopodal okna kosz z owocami i leżącą obok niego kartkę, a właściwie firmową wizytówkę. Wzięła ją do ręki. Na odwrocie coś napisano.

Levon, który wrócił do salonu z nieruchomym i pełnym bólu spojrzeniem, podszedł do żony.

— Co to jest, Barb? — spytał.

Odczytała głośno odręczną notatkę:

Drodzy Państwo McDaniels. Proszę do mnie zadzwonić. Jesteśmy tutaj, żeby Wam pomóc w każdy możliwy sposób.

Pod tekstem widniał podpis: Susan Gruber, SL, a pod nim numer pokoju hotelowego.

— Susan Gruber jest redaktorem naczelnym „Sporting Life” — wyjaśnił Levon. — Natychmiast do niej dzwonię.

W Barb wstąpiła nadzieja. Gruber była odpowiedzialna za całą tę reklamową imprezę. Powinna coś wiedzieć.

Piętnaście, może dwadzieścia minut później salon McDanielsów był pełen ludzi.

Rozdział 18

Barbara siedziała na jednej z kanap, ręce miała kurczowo zaciśnięte i złożone na kolanach, nie spuszczała wzroku z Susan Gruber, kobiety o nieskazitelnym białych zębach i ostrych jak brzytwa rysach twarzy, i czekała z nadzieją, że ta ważna dyrektorka z Nowego Jorku powie im za chwilę, że Kim posprzeczała się z fotografem albo że źle wypadła na zdjęciach, więc dali jej czas wolny, albo jeszcze coś innego, co wyjaśni sprawę, i nie będzie powodu podejrzewać uprowadzenia, porwania czy czegoś równie strasznego.

Gruber miała na sobie jasnoniebieski spodniem, mnóstwo złotych bransoletek na rękach, a dotyk jej zimnych palców przy powitaniu Barbara dotąd czuła na swojej dłoni.

Del Swann, dyrektor artystyczny, miał ciemną karnację, platynowe włosy, kolczyk w jednym uchu, ubrany był w modnie wystrzępione džinsy i obcisły czarny podkoszulek. Wyglądał na człowieka bliskiego załamania nerwowego. Barb przyszło do głowy, że może wie więcej, niż chce powiedzieć, albo też czuje się winny, ponieważ jest ostatnią osobą, która widziała Kim.

W pokoju było jeszcze dwóch mężczyzn. Starszy, po czterdziestce, w szarym garniturze, musiał być przedstawicielem jakiejś dużej korporacji.

Barbara widywała mnóstwo takich typów na konwencjach banku inwestycyjnego Merrill Lynch, w którym pracował Levon, i na koktajlach, na które z nim chodziła. Mogłaby się bezpiecznie założyć o grubszą kwotę, że starszy mężczyzna i stojący obok niego po prawej jego młodszy klon są nowojorskimi prawnikami, których wyekspediowano nocnym lotem na Maui niczym przesyłką ekspresową, żeby chronili tyłki ważniakom ze „Sporting Life”.

Carol Sweeney, wysoka, tęga kobieta ubrana w drogą, choć nijaką w kroju czarną suknię, bookerka z agencji modelek, która wpakowała Kim w tę imprezę i przyjechała tu z nią jako jej opiekunka, wyglądała, jakby połknęła żabę i nie mogła jej strawić.

Barbara z trudem wytrzymała jej obecność w pokoju.

Starszy „garnitur” — nie zapamiętała jego nazwiska — zwrócił się do Levona:

— Nasz zespół do spraw bezpieczeństwa firmy już pracuje. Próbują odnaleźć Kim.

Na Barb facet nawet nie spojrzał. Skupiał uwagę na reakcji Levona. Właściwie wszyscy tak się zachowywali. Barb wiedziała, że sprawa wrażeń osoby bardzo wrażliwej, załamanej psychicznie. Ale kto śmiałyby powiedzieć, że nie ma po temu powodu?

— Co jeszcze może nam pan powiedzieć? — zapytała prawnika.

— Nic nie wskazuje na to, że coś jej się stało. Policja zakłada, że zabawia się w turystkę.

Levonie, powiedz im coś, błagała w myślach Barbara, ale przypomniała sobie, co mąż mówił do niej przed przyjściem tych ludzi: „Wysłuchamy informacji. Przetrawimy je. Musimy pamiętać o tym, że to są ludzie, których ogóle nie znamy”. Wiedziała, co miał na myśli. Każda osoba związana z tym magazynem może mieć coś wspólnego ze zniknięciem Kim.

Susan Gruber oparła łokcie na kolanach i pochyliła się do przodu.

— Kim była w hotelu z Delem, Del wyszedł do męskiej toalety, a gdy wrócił, Kim już nie było przy stoliku. Nikt jej nie porwał. Wyszła sama, z własnej woli.

— Więc to wszystko? — zapytał Levon. — Kim wyszła z hotelu z własnej woli i nikt nie miał od niej żadnej wiadomości, i upłynęło półtora dnia, a ona się nie pokazała, i waszym zdaniem Kim zlekceważyła sesję, wypięła się na was i postanowiła zwiedzać wyspę? Czy tak mam to rozumieć?

— Ona jest dorosła, panie McDaniels — odezwała się Gruber. — Nie po raz pierwszy zdarza się, że jakaś dziewczyna się urywa. Pamiętam niejaką Gretchen, która w zeszłym roku w Cannes zniknęła z planu, a po sześciu dniach odnalazła się w Monte Carlo.

Beznamiętnym tonem, jakby była w swoim gabinecie, Gruber kontynuowała, uświadamiając Levonowi, na czym polega jej praca.

— Mamy tu na sesji zdjęciowej osiem dziewcząt — zaczęła i cierpliwie tłumaczyła mu, że nadzoruje wiele osób i pilnuje mnóstwa spraw, nie schodzi z planu ani na minutę, do tego musi oceniać zdjęcia z danego dnia...

Barbara czuła, że krew uderza jej do głowy. Susan Gruber ma na sobie kupę złota, ale obrączki ślubnej nie. Czy ma dziecko? Czy w ogóle zna jakieś dziecko? Ta baba nic nie rozumie.

— Kochamy Kim — zapewniała ich pospiesznie Carol Sweeney. — Ja... ja byłam pewna, że ona jest tutaj bezpieczna. Jadłam wtedy kolację z inną modelką. Chcę powiedzieć, że Kim jest porządną i odpowiedzialną dziewczyną, nie przyszłoby mi do głowy się o nią niepokoić.

— Wyszedłem dosłownie na minutę do toalety — powiedział Del Swann, zamilkł i się rozplakał.

Dla Barbary i Levona stało się jasne, dlaczego Gruber przyszła w tak licznej asyście. Barbara była osobą dobrze wychowaną i kulturalną, ale miała dosyć i postanowiła skończyć z tą wymuszoną uprzejmością.

— Nie jesteście za nią odpowiedzialni?! — wybuchnęła. — Czy to przyszlście nam powiedzieć?! Że umywacie ręce i nie ponosicie odpowiedzialności za Kim?!

Nikt nie śmiał spojrzeć jej w oczy.

Levon wstał i położył rękę na ramieniu żony.

— Zadzwońcie do nas, jeżeli będziecie mieli nowe wiadomości — zwrócił się do ekipy ze „Sporting Life”. — Jakiegokolwiek wiadomości. A na razie, dziękuję. Chcemy zostać sami.

Gruber wstała, przewiesiła torebkę przez ramię, wypinając płaską pierś.

— Kim wróci. Nie martwcie się — rzekła.

— Chciała pani raczej powiedzieć, łudźcie się nadzieją i módlcie się, bo nic więcej, wam, nieszczęsnym, nie pozostało — wyrzuciła z siebie Barbara.

Rozdział 19

Stał w tłumie reporterów oblegających główne wejście hotelu Wailea Princess w oczekiwaniu na rozpoczęcie konferencji prasowej.

Dobrze wpasowywał się w rozgorączkowane dziennikarskie mrowisko. Z wielkim workiem marynarskim przewieszonym przez ramię wyglądał na faceta, który być może sypia na plaży. Choć słońce już zachodziło, miał na nosie zasłaniające twarz sportowe okulary. Czapka drużyny Dodgersów na rudawych włosach, znoszone adidas, wymięte luźne spodnie i tania hawajska koszula dopełniały całości, uwiarygodniając przypiętą do piersi doskonałą podróbkę karty prasowej, identyfikującej go jako fotografa, Charlesa Rollinsa z „Talk Weekly”, czasopisma, które nie istniało.

Za to sprzęt miał drogi: kamerę cyfrową Panasonic HD wyposażoną w tyczkę mikrofonową stereo i obiektyw Leica, a wszystko warte sześć tysięcy dolarów.

Wycelował obiektyw aparatu na główne wejście Wailea Princess, gdzie państwo McDanielsonie ustawiali się właśnie za zainstalowanym na tę okazję podium.

Gdy Levon poprawiał mikrofon, Rollins zagwizdał przez zęby jakaś melodyjkę. Był zadowolony z siebie i pewien, że nawet Kim nie rozpoznałaby

go w tym przebraniu. Gdy podniósł w górę kamerę, która zarejestrowała Levona witającego prasę, przemknęło mu przez myśl, że mógłby polubić McDanielsów, gdyby udało mu się ich poznać. W gruncie rzeczy już ich polubił. Bo czy można doszukać się w nich czegoś, za co nie daliby się lubić?

Wystarczy na nich popatrzeć.

Barbara słodka, ale z charakterem. Levon z mężnym sercem pięciogwiazdkowego generała. Obydwoje to sama sól tego skurwysyńskiego kraju.

Byli złamani bólem i przerażeni, ale zachowywali się z godnością, odpowiadali zarówno na nietaktowne, jak i rutynowe pytania dziennikarzy.

— Co byście powiedzieli, gdyby Kim was teraz słyszała?

— Powiedziałabym jej: „Kochamy cię. Proszę, bądź silna” — rzekła Barbara drżącym głosem. — A wszystkich, którzy nas słyszą, informuję, że wyznaczyliśmy nagrodę w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów za jakąkolwiek informację, która przyczyni się do odnalezienia naszej córki. Gdybyśmy mieli milion dolarów, ofiarowalibyśmy i taką sumę...

Zabrakło jej tchu. Odwróciła się, ale Rollins zauważył, że przytyka do warg ustnik inhalatora. Padły następne pytania: „Levon, Levon! Czy były żądania okupu? Co mówiła Kim, gdy ostatnio z nią rozmawialiście?”.

Levon, pochylony nad mikrofonem, odpowiadał cierpliwie, a na koniec poinformował:

— Hotel zainstalował gorącą linię. — Odczytał wolno numer telefonu.

Rollins z rozbawieniem obserwował dziennikarzy. Jeden przez drugiego wyskakiwali do góry niczym latające ryby i wykrzykiwali kolejne pytania, mimo że państwo McDaniels zeszli już z podium i wycofywali się w objęcia hotelowego lobby.

Postanowił uwiecznić ich po raz ostatni i nakierował obiektyw na ich głowy, widziane teraz od tyłu, ale zaintrygował go przepychający się przez tłum facet, którego widział w telewizji kablowej C-Span, jak reklamuje swoje książki.

Obiektem zainteresowania Rollinsa był przystojny mężczyzna koło czterdziestki, dziennikarz i autor powieści kryminalnych, ubrany w dockersy i zapinaną na guziki różową koszulę z podwiniętymi rękawami. Przypominał Rollinsowi Briana Williamsa z NBC, którego reportaż z Bagdadu bardzo mu się podobały. Tyle że obserwowany przez niego osobnik z pewnością nie dorównywał słynnej gwiazdzie telewizyjnej.

W oku kamery widać było, jak pisarz wyciąga rękę i dotyka ramienia Barbary McDaniels, ona zaś zatrzymuje się i zaczyna z nim rozmawiać.

Rollins miał okazję obserwować początek tego wywiadu. Wreszcie, do cholery! — ucieszył się. Podglądacze będą zadowoleni. Historia Kim McDaniels zaczyna się rozwijać. To będzie wielka sensacja.

Rozdział 20

Dziennikarz w dockersach i różowej koszuli?

To byłem ja.

Nie przegapiłem okazji. Gdy Levon i Barbara McDanielsowie oddalali się od podium, tłum zawirował jak tornado, ruszając w ich stronę.

Rzuciłem się przed wszystkimi do przodu i dotknąłem ramienia Barbary, zanim zniknęła w hotelowym holu.

Zależało mi na wywiadzie, ale nie za wszelką cenę, gdy bowiem ogląda się — choćby nawet po raz setny — rodziców zaginionych czy porwanych dzieci, jak błagaj ą o pomoc i modlą się o szczęśliwy powrót dziecka, trudno nie być poruszonym.

Barbara i Levon wzbudzili moją sympatię, gdy tylko ich zobaczyłem. Ze współczuciem patrzyłem na ich ściągnięte bólem twarze.

Delikatnie przytrzymałem Barbarę McDaniels za ramię, a gdy się odwróciła, przedstawiłem się i wręczyłem jej moją kartę prasową. Miałem dużo szczęścia, gdyż okazało się, że moje nazwisko jest jej znane.

— Czy pan to ten Ben Hawkins, który napisał *Czerwone*?

— *Postaw wszystko na czerwone*. Tak, to moja książka.

Powiedziała, że czytała ją z przyjemnością, i jej usta rozciągnęły się

w uśmiechu, choć w oczach widać było udrękę. W tym momencie służba hotelowa utworzyła kordon i wąskim przesmykiem w tłumie wszedłem z Barbarą do holu. Przedstawiła mnie Levonowi.

— Ben to znany autor, Levonie. Czytaliśmy przed naszym ostatnim spotkaniem klubowym jego książkę. Pamiętasz?

— Przygotowuję reportaż o Kim dla „Los Angeles Times” — dodałem.

— Nie udzielimy wywiadu, jeżeli o to panu chodzi. Przykro mi. Jesteśmy wypaleni i opadamy z sił. Uważam ponadto, że lepiej nie mówić nic więcej, dopóki nie skontaktujemy się z policją.

— Jeszcze z nimi nie rozmawialiście?

Levon westchnął i pokręcił głową.

— Czy można rozmawiać z automatyczną sekretarką?

— Chyba mógłbym pomóc — powiedziałem. — „Los Angeles Times” ma wpływy nawet tutaj. A ja byłem kiedyś gliną.

— Naprawdę? — Levonowi opadały powieki, jego głos świadczył o tym, że jest udręczony, nogi odmawiały mu posłuszeństwa, jak maratończykowi po przekroczeniu linii mety, ale mimo to się ożywił. Wzbudziłem jego zainteresowanie i poprosił, żebym powiedział coś o sobie.

— Służyłem w policji w Portlandzie. Jako detektyw, oficer śledczy. Obecnie pracuję w dziale kryminalnym „Los Angeles Timesa”.

McDaniels wzdrygnął się na słowo „kryminalny”.

— Dobrze, Ben — rzekł. — Jeżeli sądzisz, że możesz być pomocny w rozmowach z policją... Z niepokoju odchodzimy od zmysłów.

Przeszliśmy przez epatujący zimnym marmurem i wysokim sklepieniem hol z widokiem na ocean, i znaleźliśmy przytulne miejsce, skąd widać było basen. Liście palm kołysały się i szeleściły na lekkim

wietrze. Dzieciaki w mokrych kostiumach kąpielowych przebiegały obok nas, śmiejąc się, pełne beztroskiej radości.

— Kilkakrotnie dzwoniłem na policję — powiedział Levon — i wysłuchiwałem: „Mandaty za parkowanie, wciśnij jeden. Sąd dwudziestoczerogodzinny, wciśnij dwa”. Mogłem tylko zostawić wiadomość. Trudno w to uwierzyć, ale tak to tutaj funkcjonuje. Poszliśmy do komendy dzielnicowej. Na drzwiach była wywieszka: „Poniedziałek/piątek, 8—17. Sobota, 10—16”. Nie wiedziałem, że posterunki policyjne zamyka się jak biura. Spotkałeś się z czymś takim, Ben?

Levon miał rozpacz w oczach, serce mi się krajało. Zaginęła jego córka, a policja ma godziny urzędowania. Znaleźli się w wakacyjnym rajach, a otworzyło się przed nimi siedem piekielnych kręgów.

— Tutejsza policja ma do czynienia głównie z wykroczeniami drogowymi, jazdą po pijanemu, takimi rzeczami — wyjaśniałem. — I od czasu do czasu z przemocą domową, włamaniami...

Przypomniało mi się, ale o tym im nie powiedziałem, że kilka lat temu dwudziestopięcioletnia turystka została napadnięta na wyspie Hawaich przez trzech miejscowych bandziorów, którzy ją pobili, zgwałcili i zabili.

Była wysoką uroczą blondynką. Jak Kim.

Miałem w pamięci jeszcze jeden przypadek, nawet głośniejszy. Cheri-leaderka z Uniwersytetu Illinois wypadła z balkonu swojego pokoju hotelowego i zginęła na miejscu. Bawiła się z dwoma chłopakami, których uznano za niewinnych. Bez wieści zaginęła też kilkunastoletnia dziewczynka, mieszkanka Maui. Po występie jakiejś znanej grupy, która koncertowała na wyspie, zadzwoniła do koleżanek i to był ostatni znak życia, jaki dała.

— Wasza konferencja prasowa dobrze wypadła. Policja będzie musiała poważnie zająć się tą sprawą.

— Nie oddzwonili do mnie. Wybieram się tam jutro rano — powiedział Levon. — A teraz chcielibyśmy zajrzeć do tego baru, w którym siedziała Kim, zanim zniknęła. Będzie nam miło, jeśli do nas dołączysz, Ben.

Rozdział 21

Bar Typhoon mieścił się na półpiętrze, wpadał do niego wiatr niosący cudowny zapach plumerii. Stoliki i krzesła ustawione były wzdłuż balustrady, tak że goście mieli widok na basen i dalej na rzędy palm ciągnące się aż do piaszczystego brzegu. Za moimi plecami rozpościerał się długi bar, z mojego lewego boku stał fortepian, jeszcze zamknięty. Barman czynił pierwsze przygotowania: kroił cytryny, stawiał na barowej ladzie miseczki z orzeszkami.

Pierwsza odezwała się Barbara.

— Szef nocnej zmiany powiedział nam, że Kim siedziała przy tym stoliku, najbliższym pianina — rzekła, delikatnie gładząc marmurowy blat stolika.

Wskazała niszę kilkanaście metrów dalej.

— Tamtędy idzie się do tej słynnej męskiej toalety, do której udał się, och, tylko na sekundę, dyrektor artystyczny...

Wyobraziłem sobie, jak wyglądał bar tamtej nocy. Goście sączący drinki. Dużo mężczyzn. Nasuwało mi się wiele pytań. Setki.

Zacząłem myśleć o tej historii jak policjant, którym kiedyś byłem. Gdybym to ja prowadził tę sprawę, zacząłbym od taśm z kamer monitorujących. Chciałbym wiedzieć, kto był wtedy w barze. Chciałbym

wiedzieć, kto obserwował Kim, gdy odchodziła od stolika. Kto pośpiesznie zapłacił rachunek, gdy wyszła.

Czy Kim wychodziła w czymś towarzystwie? Czy poszła z tym kimś do jego pokoju?

Czy może samotnie schodziła po schodach prowadzących do holu, odprowadzana spojrzeniami mężczyzn niemogących oderwać oczu od jej falujących blond włosów?

Co potem? Czy wyszła na zewnątrz, przechodząc obok basenu i mijając kabiny?

Czy w kabinach tamtej nocy siedzieli ludzie? Czy ktoś poszedł za nią na plażę?

Levon starannie przetarł szkła okularów, najpierw jedno, potem drugie, podniósł je do góry, sprawdzając, czy są czyste, włożył na nos i zauważył, że patrząc poza basen na zadaszoną alejkę prowadzącą na plażę.

— Co myślisz o tym wszystkim, Ben? — zapytał.

— Wszystkie plaże na Hawajach są własnością publiczną, więc nie ma na nich monitoringu.

Zastanawiałem się, czy do sytuacji pasuje najprostsze wyjaśnienie: może Kim poszła wykąpać się w oceanie? Weszła do wody i została wciągnięta przez fale? Ktoś znalazł jej buty na plaży i najzwyczajniej je zabrał?

— Co powinieneś więcej wiedzieć o Kim? — spytała Barbara.

— Powiniennem wiedzieć o niej wszystko to, co wiecie wy. Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, będę nagrywał naszą rozmowę.

Barbara kiwnęła głową, a Levon zamówił dla nich dzin z tonikiem. Ja nie chciałem pić alkoholu i poprosiłem o wodę mineralną.

Układałem już w głowie historię Kim McDaniels, pięknej dziewczyny z dalekiego Michigan, obdarzonej inteligencją i urodą, bliskiej

zdobycia sławy, przybywającej do jednego z najpiękniejszych zakątków ziemi, gdzie znika, nie pozostawiając żadnego tropu. Wyłączność na relację z ust państwa McDaniels to było więcej, niż mogłem się spodziewać w najśmielszych marzeniach, więc chociaż nie miałem pewności, czy to materiał na książkę, zdawałem sobie sprawę, że trafił mi się dziennikarski hit.

A do tego jeszcze Barbara i Levon wprost mnie zawojowali. Byli bardzo sympatycznymi ludźmi.

Chciałem im pomóc i postanowiłem zrobić co w mojej mocy.

Byli bardzo zmęczeni, ale nie zamierzali odejść od stolika. Zgodzili się na wywiad.

Miałem nowy sprzęt, dopiero co założoną taśmę i świeże baterie. Wcisnąłem przycisk i gdy magnetofon delikatnie zaszumił na stole, zostałem zaskoczony przez Barbarę McDaniels.

To ona zaczęła zadawać pytania.

Rozdział 22

Oparła brodą na dłoniach i zapytała:

— Dlaczego odszedłeś z policji w Portlandzie? Co zaszło? I nie powtarzaj mi tego, co czytałam w notce biograficznej na obwolucie twojej książki. PR-owskie chwytaki są w tej sytuacji niefortunne.

Z rzeczowego i pełnego determinacji tonu Barbary wynikało, że jeśli ja nie odpowiem na jej pytania, ona nie odpowie na moje. Uznałem, że ma prawo mnie sprawdzić. Zależało mi na zaufaniu McDanielsów, zdecydowałem się więc na absolutną szczerość.

Nie mogłem się nie uśmiechnąć na taką obcesowość raczej niepasującą do Barbary, ale w historii, którą miałem opowiedzieć, nie było niczego zabawnego. Gdy cofnąłem się myślą do tamtego miejsca i czasu, zaalała mnie fala wspomnień, a z żadnego z nich nie mogłem być dumny, żadne nie było przyjemne.

Gdy opowiadałem McDanielsom o tragicznym wypadku samochodowym, do którego doszło wiele lat temu, a do którego pojechałem z moim partnerem, Dennisem Carbone, jak na ekranie przesuwają mi się przez głowę wciąż żywe obrazy. Patrolowaliśmy pobliską okolicę, więc błyskawicznie odpowiedzieliśmy na wezwanie.

Gdy dotarliśmy na miejsce, do zapadnięcia zmroku nie zostało więcej niż pół godziny. Siąpił drobny deszczyk, było ponuro, ale wystarczyło światła dnia, żeby stwierdzić, iż samochód wpadł w poślizg, wyskoczył z szosy i koziółkując skrajem lasu, przewrócił kilka drzew jak dwutonowa kula bilardowa.

— Wezwałem przez radio pomoc — opowiadałem. — I zostałem na drodze, żeby przesłuchać świadka, który jechał innym samochodem i widział, co się stało. W tym czasie mój partner poszedł do rozbitego auta, by sprawdzić, czy ktoś przeżył. Świadek wypadku, który prowadził samochód jadący w przeciwnym kierunku, ujrzał nagle pędzącą z naprzeciwka jego pasem czarną toyotę pick-upa. Żeby uniknąć zderzenia, skręcił gwałtownie, to samo zrobił kierowca toyoty. Mój rozmówca dygotał, gdy opisywał, jak pick-up z zawrotną szybkością wystrzelił z drogi. Sam wcisnął hamulec do dechy — widziałem ślady opon na asfalcie na odcinku ponad stu metrów i czułem unoszący się jeszcze w powietrzu smród gumy. Pojawiły się inne radiowozy i karetka. Sanitariusze wyciągnęli z roztrzaskanego pojazdu ciało kierowcy i poinformowali mnie, że zginął na miejscu w następstwie silnego uderzenia auta w sosnę wirginijską. Pasażerów nie było. Gdy zabrano martwego kierowcę, rozejrzałem się za swoim partnerem. Stał dobre parę metrów od drogi i zerkał na mnie ukradkiem, jakby sprawdzając, czy jestem zajęty. Odniosłem dziwne wrażenie, że nie chce, by go zobaczono.

Zamilkłem, ponieważ wokół nas rozbrzmiały nawoływania i śmiechy — to panna młoda w otoczeniu druhen przebiegała przez bar do sali restauracyjnej. Dwudziestoletnia blondynka, wyglądała uroczo. Najszczęśliwszy dzień w jej życiu.

Barbara śledziła wzrokiem tę grupę, a potem spojrzała na mnie. Nawet ślepiec wiedziałby, co maluje się na jej twarzy. Na co ma nadzieję.

— Mów dalej, Ben — poprosiła. — Skończyłeś na tym, że twój partner miał spłoszoną minę.

Pokiwałem głową i wyjaśniłem, że odwróciłem się od niego, bo ktoś mnie zawołał, a gdy znowu na niego spojrzałem, zamykał właśnie bagażnik naszego radiowozu.

— Nie pytałem Dennisa, co robił, gdyż układałem sobie w myśli, jakie czynności mamy podjąć. Trzeba było zabezpieczyć ślady, napisać raporty. Musieliśmy przystąpić do ustalania tożsamości ofiary. Wykonywałem niezbędne rutynowe czynności. Wydaje mi się, że łatwo wypierać ze świadomości rzeczy, których nie chce się widzieć. Powinienem być wtedy od razu zażądać od partnera wyjaśnień. Nie zrobiłem tego. Nie dociekałem, dlaczego zachowuje się tak dziwnie. Okazało się, że popełnił przestępstwo, czego sobie wtedy nie uświadomiłem, a ono odmieniło moje życie.

Rozdział 23

Podeszła kelnerka, pytając, czy chcemy zamówić coś jeszcze. Powitałem ją z zadowoleniem, bo zaschło mi w gardle i chciałem przerwać te zwierzenia. Opowiadałem tę historię wiele razy, ale nie jest łatwo wspominać własną hańbę.

Szczególnie że spotkała mnie całkowicie niezasłużenie.

— Wiem, że z trudem ci to przychodzi, Ben. Doceniamy, że dzielisz się z nami tym przeżyciem. Dla nas to ważne — powiedział Levon.

— Dopiero teraz zacznie się najgorsze.

Kiwnął głową i chociaż nie był starszy ode mnie o więcej niż dziesięć lat, wysłuchiwał tej opowieści, jakby był moim ojcem.

Pojawiła się przede mną szklanka z wodą mineralną. Zamieszałem w niej słomką i podjąłem wątek:

— Minęło kilka dni. Okazało się, że ofiara wypadku to drobny dealer narkotyków zwany Robby. Był naćpany, gdy prowadził. W jego krwi stwierdzono obecność heroiny. Zadzwoiła do nas jego dziewczyna. Nazywała się Carrie Willis. Była wstrząśnięta jego śmiercią, ale dręczyło ją coś jeszcze. Zapytała mnie, co się stało z plecakiem Robby'ego. Miał to być czerwony plecak ze srebrną naszywką odbłaskową. Tam była kupa pieniędzy, powiedziała. Cóż, nie znaleźliśmy żadnego

czerwonego plecaka i podśmiewaliśmy się z dziewczyny, która ma czelność zgłaszać policji kradzież pieniędzy pochodzących z handlu narkotykami.

Była jednak wiarygodna. Carrie nie miała pojęcia, że Robby jest dealerem. Wiedziała natomiast, że kupuje działkę nad zatoką i zamierza postawić na niej dom dla nich obojga. Dokumenty bankowe i całość kwoty przeznaczonej na kupno ziemi — sto tysięcy dolarów — znajdowały się w tym nieszczęsnym plecaku, ponieważ Robby jechał sfinalizować transakcję. Sama wkładała te pieniądze do plecaka. Prawdziwość jej wersji została potwierdzona.

— Więc zapytałeś swojego partnera, gdzie są te pieniądze? — domyśliła się Barbara.

— Jasne. Przysięgał, że nie wie. „Niech mnie diabli wezmą”, mówił, „jeśli widziałem na oczy jakiś plecak, czerwony, zielony, czy jak niebo błękitny”. Ponieważ nalegałem, pojechał ze mną na policyjny parking, gdzie rozebraliśmy wrak samochodu na części, ale niczego nie znaleźliśmy. Za dnia udaliśmy się do lasu, gdzie zdarzył się wypadek, i przeszukaliśmy teren. A przynajmniej ja to robiłem. Wydawało mi się, że Denny bez zbytniego zaangażowania odgarnia gałęzie i rozkopuje sterty liści. Wtedy przypomniała mi się ta jego mina szczwanego lisa, którą tamtego wieczoru zlekceważyłem.

Spędziłem noc na walce z wątpliwościami. Następnego dnia zgłosiłem się do szefa na nieoficjalną rozmowę. Poinformowałem go o swoich podejrzeniach. Pieniądze były we wraku, zniknęły, nie zostały zgłoszone do raportu — podzieliłem się moimi domysłami.

— Nie miałeś wyboru — stwierdził Levon.

— Denny Carbone był starym policyjnym wygą, do tego typem bulteriera. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli dowie się o mojej rozmowie z szefem, uderzy we mnie. Zaufałem szefowi. Następnego dnia w szatni komendy pojawili się funkcjonariusze z wydziału wewnętrznego. Zgadnijcie, co znaleźli w mojej szafce.

— Czerwony plecak? — odgadł Levon.

Podniosłem kciuk na znak, że trafił w dziesiątkę.

— Czerwony plecak ze srebrną naszywką, papiery bankowe, heroinę i dziesięć tysięcy dolarów w gotówce.

— O mój Boże! — wykrzyknęła Barbara.

— Dano mi wybór: rezygnacja albo rozprawa sądowa. To ja miałem stanąć przed sądem. Zdawałem sobie sprawę, że nie wygram. Będzie słowo przeciwko słowu, a praktycznie jedyny materialny dowód został znaleziony w mojej szafce. Co gorsza, podejrzewałem, że zostałem w to tak łatwo wrobiony, ponieważ mój szef działał w zмовie z Dennisem Carbone'em. To był straszny dzień. Rozwiał się wiele iluzji. Zwróciłem odznakę, broń, a wraz z nimi straciłem godność. Bo przecież powinienem walczyć, ale bałem się ryzykować. Mogłem trafić do więzienia za coś, czego nie zrobiłem.

— To bardzo przykra historia — powiedział Levon.

— No cóż, przykra. Wiecie, jaki miała ostatecznie finał. Przeniosłem się do Los Angeles. Znalazłem pracę w „Los Angeles Timesie”. Płodzę jakieś książki.

— Jesteś zbyt skromny, Ben — rzekła Barbara i poklepała mnie po ramieniu.

— Pisanie to moje zajęcie, ale niewiele o mnie mówi.

— A co byś powiedział o sobie? — zapytała.

— W tym momencie staram się być jak najlepszym reporterem. Przyjechałem na Maui, żeby opisać historię waszej córki, ale jednocześnie bardzo zależy mi na tym, by ta historia miała banalne, szczęśliwe zakończenie. Chcę wszystko widzieć i przekazywać mojej gazecie, ale najbardziej pragnę być świadkiem radosnego powitania Kim, której nic złego się nie stało. To tyle prawdy o mnie.

— Wierzmy ci, Ben — zapewniła Barbara, a Levon kiwał głową.

Jak powiedziałem, byli to mili, poczciwi ludzie.

Rozdział 24

Amsterdam. Siedemnasta dwadzieścia pięć. Jan van der Heuvel siedział w swoim gabinecie na piątym piętrze klasycznej holenderskiej kamienicy, wąskiej, z mansardowym dachem. Żeby zabić czas, patrzył ponad wierzchołkami drzew na prom wycieczkowy sunący po kanale.

Otworzyły się drzwi i weszła Mieke, śliczna dwudziestoletnia dziewczyna z ostrzyżonymi krótko czarnymi włosami, w dopasowanym żakiecie i krótkiej spódniczce odsłaniającej zgrabne długie nogi obute w sznurowane buciki.

— Miłego wieczoru — powiedział do niej van der Heuvel.

Odprowadził ją do drzwi biura, zamknął je od wewnątrz na klucz, wrócił na swoje miejsce przy długim stole i obserwował ulicę nad kanałem Keizersgracht, póki nie zobaczył, jak Mieke wsiada do renault swojego chłopaka, który natychmiast szybko ruszył.

Dopiero wtedy van der Heuvel włączył komputer. Telekonferencja miała się zacząć za czterdzieści minut, ale chciał wcześniej przygotować połączenia, żeby móc utrwalić jej przebieg. Postukał w klawisze i po chwili na ekranie ukazała się twarz jego przyjaciela.

— Horst, już jestem — zgłosił się.

W tym samym czasie czterdziestoletnia kobieta o blond włosach stała na mostku swojego ponad trzydziestometrowego jachtu zakotwiczonego w Portofino u liguryjskiego wybrzeża Morza Śródziemnego. Jacht zbudowano na zamówienie z blachy aluminiowej o wysokiej wytrzymałości, miał sześć kabin, apartament właściciela i w salonie centrum wideokonferencyjne, które w razie potrzeby zamieniano w kino.

Kobieta zostawiła na mostku młodego kapitana, a sama zeszła do swojego apartamentu, gdzie wyjęła z szafy żakiet od Versacego i narzuciła go na wydekolowany top. Następnie przeszła do salonu i włączyła komputer. Uruchomiwszy zasyfrowane łącze, uśmiechnęła się do kamery internetowej.

— Witaj, Horst, melduje się Gina Prazzi. Co mamy dzisiaj?

W odległym o cztery strefy czasowe Dubaju wysoki mężczyzna z brodą, ubrany w tradycyjną galabiję, przeszedł obok meczetu, zmierzając do knajpki z ledwie widocznym z ulicy wejściem. Przywitał się z właścicielem i przeszedł przez kuchnię, gdzie pachniało czosnkiem i rozmarynem. Odsunął ciężką kotarę i zszedł schodami do piwnicy. Otworzył kluczem ciężkie drewniane drzwi prowadzące do prywatnego pomieszczenia.

W Hongkongu, w położonej na Wzgórzu Wiktorii ekskluzywnej dzielnicy, młody chemik włączył komputer. Miał dwadzieścia kilka lat, iloraz inteligencji powyżej 170. Gdy komputer się logował, młody człowiek spojrzał przez przeszkloną ścianę w dół stromego zbocza, przesunął wzrokiem po wierzchołkach cylindrycznych wieżowców, na chwilę zatrzymał oko na porcie Wiktorii i rozlewających się szeroko światłach Koulunu.

W Sao Paulo minęło właśnie południe. Pięćdziesięcioletni Raphael dos Santos podjechał pod dom sportowym wiesmanem coupé gt mf5. Auto kosztowało dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów i rozpędzało się od zera do sześćdziesięciu mil w ciągu czterech sekund, i osiągało maksymalną prędkość 193 mil na godzinę. Rafi, bo tak na niego mówiono, kochał ten samochód.

Zahamował przed zjazdem do podziemnego garażu, rzucił kluczyki Thomasowi i wsiadł do windy, która otwierała się wewnątrz jego apartamentu.

Szybkim krokiem przemierzył niekończące się metry barwnej posadzki, harmonizującej z ultranowoczesnym umeblowaniem, i dotarł do swojego domowego biura, którego okna wychodziły na rozświetloną fasadę hotelu Renaissance przy Alameda Campinos.

Rafi nacisnął przycisk na biurku i z blatu wyrósł pionowo w górę płaski ekran komputera. Jaki jest cel dzisiejszego spotkania w sieci, Rafi nie wiedział. Zastanawiał się, czy nie stało się coś złego. Ale co? Przyłożył kciuk do czujnika na klawiaturze identyfikującego linie papierne.

Lidera Przymierza powitał po portugalsku.

— Horst, stary łajdaku, mam nadzieję, że będzie na co popatrzeć. Masz naszą niepodzielną uwagę!

Rozdział 25

W Alpach Szwajcarskich, w domowej bibliotece, siedział rozparty w fotelu Horst Werner. Płomienie strzelały w kominku, rzucając migotliwe światło na dwuipółmetrowej długości model pancernika „Bismarck”, wykonany własnoręcznie przez Wenera. W tym pokoju nie było okien, tylko od podłogi do sufitu regały z wiśniowego drewna, a za nimi siedmiocentymetrowej grubości ściany z cegły ołowianej.

Ten bezpieczny schron połączony był ze światem prywatnym wirtualnym kanałem komunikacyjnym, co dawało Horstowi poczucie, że jego biblioteka jest centrum wszechświata.

W tym momencie członkowie Przymierza podłączyli się do zaszyfrowanej sieci. Wszyscy lepiej lub gorzej mówili po angielsku, widział ich twarze na ekranie. Po kilku słowach powitania Horst przeszedł do głównego punktu programu.

— Przyjaciół Jana, Amerykanin, przesłał mu zabawny filmik. Bardzo chciałbym poznać waszą opinię.

Rozbłysło światłem dwanaście połączonych ze sobą ekranów, a gdy obraz się ustabilizował, na każdym pojawiła się wanna typu jacuzzi, a w niej naga, ciemnoskóra dziewczynka z długimi czarnymi włosami, leżąca na brzuchu w niewielkiej ilości wody. Była związana, a raczej

spętana jak zwierzę prowadzone na rzeź. Ręce i nogi miała skrępowane na plecach jedną liną, której pętlę zadzierzgnięto wokół szyi.

Mężczyzna był odwrócony plecami do kamery. Gdy zmienił pozycję i widać było jego profil, jeden z członków Przymierza rozpoznał go jako „Henriego”.

Henri był nagi. Siedział na krawędzi wanny, a obcisła maska z przezroczystego plastiku zniekształcała rysy jego twarzy.

Mówił do kamery:

„Na dnie jest mało wody, ale wystarczy. Nie wiem, co bardziej zbliży Rose do śmierci. Od niej samej zależy, czy zginie przez uduszenie, czy się utopi. Popatrzmy i sprawdźmy”.

Henri odwrócił się na chwilę do szlochającej dziewczynki i powiedział coś do niej po hiszpańsku, a potem znowu spojrzał w obiektyw kamery i wyjaśnił widzom:

„Powiedziałem jej, żeby się nie ruszała i trzymała nogi jak najbliżej głowy. Obiecałem, że jeżeli wytrzyma w tej pozycji przez godzinę, дарuję jej życie. Być może”.

Horsta rozbawiła obluda Henriego. Patrzył z uśmiechem, jak ten głośzce przerażoną dziewczynkę po głowie i uspokaja ją. Ona jednak zaczęła krzyczeć, czego nie powinna robić, gdyż dodatkowy wysiłek osłabiał ją i zmniejszał szanse na przeżycie.

Por favor! Dejame marchar! Er es malvado!

„Krzyczy, żebym ją uwolnił. Nazywa mnie diabłem. Trudno, i tak ją kocham. Słodkie dziecko” — Henri objaśniał rozwój sytuacji.

Dziewczynka nie przestawała szlochać, a za każdym razem, gdy mięśnie jej nóg nie wytrzymały naprężenia, lina zaciskała się na gardle. Nieszczęsna dziewczynka zawodziła i wzywała mamę, aż wreszcie jej głowa opadła na dno wanny, a ostatni oddech zaznaczył się bąbelkami na powierzchni wody.

Henri dotknął szyi Rose i wzruszył ramionami.

„Przekłęta lina. Tak czy owak, to było samobójstwo. Uderzająca pięknem tragedia. Jak przyrzekłem”.

Ostatnie ujęcie, zanim ekran wygasł, przedstawiało szeroki uśmiech Henriego.

Gina Prazzi była oburzona.

— Podrzuca nam niezamówiony byle jaki filmik. To pogwałcenie kontraktu. Czy nie mam racji, Horst?

— Zastrzeżenie, jakie jest w naszym kontrakcie z Henrim, mówi jedynie o tym, że nie wolno mu podjąć pracy, która kolidowałaby z jego zobowiązaniami wobec nas. Więc formalnie rzecz biorąc, to nie jest złamanie warunków kontraktu. Henri jest wolnym strzelcem.

Wszyscy zaczęli mówić naraz, ale przebił się głos Jana:

— Każde z was mogło się przekonać, że robi z nas wała. To nie do przyjęcia.

— Jest trudny, ale trzeba przyznać, że to geniusz. Warto z nim pracować. Sugeruję, żeby zrobił dla nas film... — Raphael zawiesił głos — ...dokumentalny.

Jan aż podskoczył z zachwytu.

— Idealny pomysł, Rafi. Pójdziemy z nim na całość. Rok z jego życia, tak? Wynagrodzenie i bonusy proporcjonalnie do jakości jego czynów.

— Dokładnie. I pracuje wyłącznie dla nas — dodał Raphael. — Zaczyna od zaraz, najlepiej od zdjęć w plenerze z rodzicami tej modelki.

Członkowie Przymierza przedyskutowali warunki kontraktu, spreyczowali je, nie zapominając o karach za niedociągnięcia. Wprowadzenie tego paragrafu wprawilo ich w dobry nastrój i jednomyślnie zaakceptowali zmiany w umowie. Potem Horst zadzwonił na Hawaje.

Rozdział 26

Na wyspie zapadał zmierzch, a my wciąż siedzieliśmy w barze Typhoon. Barbara przenicowała mnie jak profesjonalny detektyw, a kiedy była już usatysfakcjonowana i uznała mnie za porządnego faceta, zaczęła opowiadać o ich rodzinie. Robiła to z pasją i naturalnym darem gawędziarskim, jakiego nie oczekiwałbym od akademickiego wykładowcy nauk ścisłych.

Levon z trudem składał słowa w zdania. Nie w tym rzecz, że nie potrafił się wysławiać. Był nieobecny. Widziałem, że dławi go strach, który nie pozwala skoncentrować się na rozmowie. Za to mowa jego ciała był aż nadto wyraźna. Zaciskał pięści, odwracał głowę, gdy lzy napływały mu do oczu, zdejmował okulary i przyciskał palce do oczu.

— Jak się dowiedzieliście, że Kim zaginęła? — zapytałem.

W tym momencie zadzwoniła komórka Levona. Spojrzał na wyświetlacz i wstał od stolika.

Gdy odchodził w stronę windy, słyszałem jego rozgorączkowany głos:

— Porucznik Jackson? Dziś wieczorem nie? Dlaczego? Dobrze. Jutro rano punkt ósma.

— Wygląda na to, że mamy randkę z policją jutro rano. Wybierz się z nami — poprosiła Barbara. Zapisła numer mojego telefonu, poklepała

mnie po ręce i nieoczekiwanie ucałowała w policzek.

Pożegnawszy się z Barbarą, zamówiłem kolejną wodę mineralną — bez limonki i lodu. Siedziałem w wygodnym krześle i miałem przed oczami widok za sto tysięcy dolarów. Po piętnastu minutach atmosfera w barze Typhoon się ożywiła.

Przystojne pary ze świeżą opalenizną i w lekkich kolorowych strojach — panie w na pół przezroczystych sukniach wyglądały apetycznie jak hawajski kruszony lód z sokiem — zajmowały miejsca przy balustradzie, single zaś na wysokich barowych stołkach przy długiej ladzie. Niefrasobliwy śmiech przybierał na sile i niósł się daleko z podmuchami ciepłego łagodnego wiatru, który przeczesywał włosy i poruszał spódnicami.

Pianista otworzył steinwaya, odwrócił się lekko na stołku w stronę sali i zaczął od szlagieru Petera Allena, a goście z radością powitali znane rytmy *I go to Rio de Janeiro*.

Zauważyłem nad barem kamery monitorujące. Położyłem na stoliku dziesięć dolarów, wyszedłem z baru i ruszyłem brzegiem basenu, który w świetle reflektorów wyglądał jak szmaragdowa szklana tafla.

Mijałem kolejne kabiny i szedłem dalej, wyobrażając sobie, że odbywam spacer, na jaki dwa dni temu być może wybrała się Kim.

Plaża opustoszała, noc była jasna, linia brzegowa Maui zaznaczała się lekką poświatą niczym halo wokół księżycy.

Wczuwam się w rolę prześladowcy Kim, cofam się w czasie: jest piątkowy wieczór i podążam w ślad za dziewczyną. Ona idzie z pochyloną głową, wiatr smaga ją po twarzy, nic nie słyhać poza rykiem fal przyboju.

Już wiem, że prześladowca mógł iść tuż za nią z kamieniem, pistoletem albo zwyczajną linką do zadziergnięcia na szyi.

Szedłem po ubitym piasku, po prawej stały hotele, obejmowałem wzrokiem niekończące się rzędy pustych leżaków i przekrzywionych parasoli.

Przeszedłem plażą około pół kilometra i kontynuowałem spacer alejką okrążającą basen przy Four Seasons, innym pięciogwiazdkowym hotelu, w którym za osiemset dolarów za dobę dostawało się pokój z widokiem nie na ocean, lecz na hotelowy parking.

Przeszedłem przez olśniewający marmurowy hol i wyszedłem drugim wyjściem na ulicę. Piętnaście minut później siedziałem w wynajętym na czas pobytu na wyspie chevroletcie zaparkowanym pod drzewami nieopodal Wailea Princess. Dobiegał mnie plusk wody tryskającej z fontann.

Gdybym był zabójcą, pomyślałem, mógłbym śmiało rzucić ciało ofiary na pożarcie fali przyboju lub zanieść do samochodu, a potem opuścić scenę przez nikogo niezauważony.

Nic prostszego.

Rozdział 27

Zapaliłem silnik i podjechałem do Stella Blue's, wesołej knajpy w Kihei. Bar z pięknym widokiem był oblegany przez miejscowy weekendowy tłum oraz turystów z promów wycieczkowych, którzy rozkoszowali się pierwszą nocą w porcie. Zamówiłem podwójnego jacka danielsa oraz doradę, zwaną tu *mahi-mahi*, i czekając na danie, usiadłem z drinkiem przy dwuosobowym stoliku na patiu.

Patrząc na płomień świecy migoczący w ozdobnym szklanym kloszu, zadzwoniłem do Amandy.

Amanda Diaz i ja jesteśmy parą od prawie dwóch lat. Jest o pięć lat młodsza ode mnie, pracuje w restauracji jako cukiernik, mówi o sobie, że jest przede wszystkim zapaloną motocyklistką. W weekendy wyciąga antycznego harleya, żeby gnać nim Pacific Coast Highway, dając ujście nadmiarowi energii, której nie zdołała wyładować w kuchni. Moja mądra i wspaniała Mandy. Gdy na nią patrzę, wszystkie te rockowe kawałki o bijącym dziko sercu i miłości aż po grób nabierają sensu.

W tym momencie zapragnąłem usłyszeć jej słodki głos i nie spotkało mnie rozczarowanie, gdyż odebrała telefon po trzecim dzwonku. Po wymianie czułości opowiedziała, na moją prośbę, jak minął jej dzień w Intermezzo.

— Wszystko szło nie tak, Ben, jak w filmie *Dzień świstaka*. Remy wywalil z pracy Rocca — zaczęła Amanda i mówiła, świadomie zaciągając z francuska. — „Kiedy się nauczysz myśleć jak szef kuchni z prawdziwego zdarzenia? Spójrz na *confit*. Wygląda jak ptasie gównno. Góóóóóówno”. — Zaśmiała się. — Przyjął go z powrotem do pracy po dziesięciu minutach. Normalka. A potem ja przypaliłam *crème brûlée*. „*Merde, Ahmandah, mon Dieu*. Doprowadzacie mnie oboje do szaaaalu”. — Znowu się zaśmiała. — A co u ciebie, Ben? Jak ci idzie reportaż?

— Spędziłem większość dnia z rodzicami tej zaginionej dziewczyny. Chcą ze mną rozmawiać.

— Rety! To chyba było ponure?

Opowiedziałem Amandzie o wywiadzie z Barbarą, dodając, że bardzo polubiłem McDanielsów i że mają jeszcze dwoje dzieci, dwóch chłopców, których zabrali z rosyjskiego sierocińca i adoptowali.

— Ich starszy syn był w stanie katatonii z powodu skrajnego wycieńczenia, gdy zgarnęła go z ulicy petersburska milicja. Młodszy urodził się z alkoholowym zespołem uszkodzenia płodu. Kim postanowiła zostać pediatrą ze względu na braci.

— Ben, skarbie...

— Halo, halo, coś przerywa połączenie...

— Nie, dobrze cię słyszę. A ty mnie słyszysz?

— Każde słowo.

— Więc słuchaj. Uważaj na siebie, przyrzekasz?

Odrobinę mnie zirytowała. Amanda ma nieprawdopodobną intuicję, ale mnie nie zagrażało przecież żadne niebezpieczeństwo.

— Na co mam uważać?

— Pamiętasz, jak kiedyś zostawiłeś w knajpie aktówkę z materiałami do książki?

— Za chwilę przywołasz historię z autobusem, czy tak?

— Skoro sam o tym mówisz...

— Oniemiałem z wrażenia, gdy cię zobaczyłem, głuptasie. Patrzyłem na ciebie, wchodząc na jezdnię. Gdybyś była tutaj, historia mogłaby się powtórzyć.

— Chciałam tylko powiedzieć, że wyczuwam teraz to coś w twoim głosie. Jak wtedy.

— Czyżby?

— Tak, coś w tym rodzaju. Więc uważaj, dobrze? Pilnuj się. Spójrz w obie strony, zanim zrobisz krok do przodu.

Przy stoliku nieopodal jakaś para stuknęła się kieliszkami. Spędzają tu miesiąc miodowy, pomyślałem.

— Tęsknię za tobą.

— Też tęsknię. Grzeję dla ciebie łóżko, więc szybko wracaj.

Na dobranoc przesłałem mojej dziewczynie w Los Angeles bezprzewodowy pocałunek.

Rozdział 28

Kwadrans po siódmej w poniedziałek pod główne wejście hotelu Wailea Princess podjechał czarny sedan. Levon usiadł obok kierowcy, a Hawkins z Barbarą z tyłu. Kiedy wszystkie drzwi zostały zamknięte, Levon poprosił Marca o podwiezienie na posterunek policji w Kihei.

Podczas jazdy Levon jednym uchem słuchał Bena Hawkinsa, który doradzał mu, jak rozmawiać z policją. Zalecał wykazywanie gotowości do współpracy, próbę nawiązania przyjacielskiego kontaktu, a przede wszystkim unikanie agresywnego tonu, żeby nie zrazić miejscowej policji i nie zaszkodzić sprawie.

Levon kiwał głową, kilkakrotnie wymruczał pod nosem „tak, tak”, ale był nieobecny duchem, nie potrafiłby opisać drogi od hotelu na posterunek, ponieważ był bez reszty zaabsorbowany własnymi myślami, zastanawiając się, co dobrego przyniesie spotkanie z porucznikiem Jamesem Jacksonem.

Ocknął się i wrócił do rzeczywistości, gdy Marco wjeżdżał na mały parking przy małym centrum handlowym. Wyskoczył z auta, zanim się na dobre zatrzymało, i podbiegł do drzwi posterunku wciśniętego między salon tatuażu i pizzerię.

Przeszklone drzwi były zamknięte, więc Levon dźgnął palcem przycisk interkomu, usłyszał kobiecy głos, podał swoje nazwisko i

poinformował, że jest umówiony na godzinę ósmą z porucznikiem Jacksonem. W odpowiedzi rozległo się brzęczenie, drzwi się otworzyły i wszyscy troje weszli do środka.

Levon miał wrażenie, że znalazł się nie na posterunku, lecz w zwykłym wydziale komunikacji. Biurowa zieleń ścian, buro-żółte linoleum na podłodze, długa, wąska poczekalnia z dwoma rzędami plastikowych krzeseł pod ścianami.

W głębi naprzeciwko wejścia widoczne było okienko recepcji z opuszczoną metalową żaluzją, a obok zamknięte drzwi. Levon usiadł koło Barbary, a Hawkins z notesem wystającym z kieszeni naprzeciwko. Czekali.

Kilka minut po ósmej żaluzja się podniosła i do okienka zaczęli podchodzić ludzie, żeby zapłacić mandaty za nieprawidłowe parkowanie, rejestrować samochody i załatwiać różne tego rodzaju sprawy. W tłumie czekających byli faceci z dreadami, dziewczyny z wymyślnymi tatuażami, młode matki z płaczącymi dziećmi.

Levon mrużył oczy, bo jego czaszkę rozsadzał ból. Myślał o Kim i oddałby wszystko, żeby wiedzieć, gdzie ona jest i czy nie cierpi. Dlaczego to się jej przydarzyło?

Po jakimś czasie wstał i zaczął wolno przechadzać się wzdłuż jednego i drugiego rzędu krzeseł, patrząc na galerię plakatów z twarzami poszukiwanych morderców i włamywaczy, ze zdjęciami zaginionych dzieci. Niektóre wizerunki były cyfrowo zmienione, żeby dawały wyobrażenie o aktualnym wyglądzie dziecka zaginionego dawno temu.

Barbara nachyliła się do Hawkinsa.

— To wprost nieprawdopodobne — odezwała się. — Siedzimy tu już prawie dwie godziny. Chce mi się wyc.

Levon był bliski obłądu. Gdzie jest nasza córka!? Narastał w nim niemy krzyk. Pochylił się do okienka.

— Czy porucznik Jackson wie, że czekamy? — zapytał kobietę siedzącą w recepcji.

— Tak, sir, wie o tym.

Levon usiadł z powrotem obok Barbary, ściskając palcami nasadę nosa. Nie pojmował, dlaczego Jackson każe im tak długo czekać, i niepokoił się tym, że Hawkins tak zawojował Barbarę. Wierzył w jej intuicję i rozsądek, ale jak wiele kobiet łatwo się zaprzyjaźniała. Czasami zbyt łatwo.

Popatrzył na Hawkinsa zapisującego coś w notatniku, a potem na grupkę nastolatek, które rozszczebiotane ustawiły się w kolejce do okienka. Ich piskliwy jazgot wwierał mu się w mózg.

Za dziesięć dziesiąta wzburzenie Levona sięgnęło szczytu. Gotowało się w nim jak lawa, która wyniosła tę wyspę nad powierzchnię prehistorycznego morza. Był gotów wybuchnąć z równą siłą.

Rozdział 29

Siedziałem na twardym krześle z tworzywa obok Barbary, gdy na końcu poczekalni otworzyły się drzwi. Levon skoczył na równe nogi i znalazł się twarzą w twarz z policjantem, zanim drzwi automatycznie się zamknęły.

Funkcjonariusz był wielkim mężczyzną między trzydziestką a czterdziestką, miał gęstą czarną szczecinę włosów i ciemną opaleniznę. Niezłe połączenie Jimmy'ego Smitsa, Bena Afflecka i posągu mistrza surfingu. Ubrany był w marynarkę, koszulę i krawat, przy pasku od spodni khaki miał policyjną odznakę, złotą, co oznaczało, że jest detektywem.

Barbara i ja dołączyliśmy do Levona, który przedstawił nas porucznikowi. Jackson obrzucił mnie niechętnym spojrzeniem.

— Kim pan jest dla państwa McDanielsów? — chciał wiedzieć.

— To przyjaciel rodziny — wyjaśniła Barbara, gdy ja przedstawiałem się jako reporter „Los Angeles Timesa”.

Jackson parsknął krótkim śmiechem i popatrzył na mnie przenikliwie.

— Czy pan zna Kim? — spytał.

— Nie.

— Ma pan jakieś aktualne informacje na jej temat?

— Nie.

— Czy pan zna tych ludzi? A może poznał ich pan niedawno, na przykład wczoraj?

— Rzeczywiście poznaliśmy się niedawno.

— Interesujące. — Jackson uśmiechnął się sarkastycznie. — Zdają sobie państwo sprawę — zwrócił się do McDanielsów — że zajęcie tego człowieka polega na podnoszeniu nakładu gazety?

— Wiemy o tym — odpowiedział Levon.

— Świetnie. Więc jesteście świadomi, że wszystko, co mówicie panu Hawkinsowi, trafi na pierwszą stronę. Jeśli o mnie chodzi — ciągnął Jackson — nie życzę sobie jego obecności. Panie Hawkins, niech pan czeka tutaj, wezwę pana, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

Barbara zaprotestowała.

— Panie poruczniku, rozmawialiśmy o tym z mężem i mamy inny pogląd na ten temat. Ufamy Benowi, a on ma za sobą potęgę „Los Angeles Timesa”. Może zrobić więcej niż my.

Jackson westchnął z irytacją, ale wydawało się, że argumenty Barbary do niego trafiły.

— Każde moje słowo musi być przeze mnie autoryzowane, zanim znajdzie się w gazecie. Czy to jasne? — Spojrzał na mnie ostro.

Kiwnąłem głową.

Jackson zajmował narożny pokój z jednym oknem, w którym हुआ głośny klimatyzator. Jedna z pomalowanych na niebiesko gipsowych ścianek, najbliższa biurka, zapisana była numerami telefonów.

Porucznik wskazał krzesła McDanielsom, ja oparłem się o framugę drzwi. Zamaszystym ruchem otworzył notatnik, spisał podstawowe dane i informacje, po czym przystąpił do właściwego śledztwa, wychodząc z założenia — tak to odbierałem — że Kim jest imprezowiczką. Pytał więc, jak spędza wieczory i noce, jak wyglądają jej kontakty z

mężczyznami i czy bierze narkotyki.

Barbara powiedziała, że Kim jest doskonałą studentką, że uczestniczy w akcjach Christian Children's Fund, sponsorując ekwadorskie dziecko, że jest odpowiedzialna niemal do przesady i fakt, iż nie odzwoniła do rodziców, zupełnie nie jest w jej stylu.

Jackson słuchał tego ze znudzoną miną.

— Tak, tak, to anioł nie dziewczyna, byłem pewien — odezwał się wreszcie. — Być może doczekam dnia, gdy ktoś przyjdzie do mnie i powie, że jego dziecko jest narkomanką czy kurewką.

Nagle Levon skoczył na równe nogi i zanim Jackson zdążył podnieść się z krzesła i wyprostować, pchnął go z całej siły na ścianę, która zatrzęsała się i zatrzeszczała, a na podłogę z hukiem pospadały tablice i zdjęcia, czemu trudno było się dziwić, skoro ponad dziewięćdziesiąt kilo żywej wagi zostało użyte jako taran.

Jackson był młodszy i potężniejszy, ale Levon, nabuzowany adrenaliną, zyskał przewagę. Nie marnując szansy, złapał leżącego na podłodze Jacksona za klapy marynarki, pociągnął go w górę i znów rzucił na ścianę. Rozległ się jeszcze głośniejszy łomot, głowa Jacksona odbiła się od ściany. Patrzyłem, jak porucznik łapie oparcie krzesła i wraz z nim po raz trzeci ląduje na ziemi.

Źle to wróżyło, zrobiło się paskudnie, ale Levon nie darował sobie ostatniego akcentu. Stojąc nad detektywem, popatrzył na niego z satysfakcją.

— Należało ci się, niech cię diabli, ty, ty... skur-wy-synu — wycedził.

Rozdział 30

Stałem wrośnięty w ziemię jak pniak i biodrzasta policjantka ledwie przepchnęła się obok mnie. Przetrawiałem fakt, że Levon czynnie znieważył policjanta: pchnął go, rzucił na podłogę, potraktował obełżywym słowem i na dodatek stwierdził, że to wszystko mu się należało.

Jackson już wstał, Levon dyszał ciężko, a policjantka próbowała ogarnąć sytuację,

— Hej, co się tutaj dzieje?! — wydarła się.

— Wszystko w porządku, Millie — uspokoił ją Jackson. — Straciłem równowagę i przewróciłem się. Będę chyba potrzebował nowego krzesła. — Machnął ręką, żeby wyszła, i dopiero wtedy spojrzął na Levona. Ten, wciąż wściekły, nie mówił teraz, lecz krzyczał:

— Nic pan nie zrozumiał z tego, co powiedziałem wczoraj wieczorem?! W Michigan odebraliśmy plugawy telefon. Facet zakomunikował mi, że porwał moją córkę, a pan myśli, że ona się włóczy?!

Jackson poprawił marynarkę i krawat i podniósł krzesło z podłogi. Był czerwony na twarzy i miał ponurą minę. Zakręcił ze złością krzesłem i teraz on zaczął wrzeszczeć na Levona:

— Pan jest szaleńcem, panie McDaniels! Czy zdaje pan sobie sprawę,

co pan zrobił? Mam pana przymknąć?! Uważa się pan za twardego faceta?! Chce pan sprawdzić, jaki ja jestem twardy? Mogę pana aresztować i będzie pan siedział na dupie przez kilka lat. Nie rozumie pan tego?!

— A niech was, cholerna policjo, wsadźcie mnie do więzienia! Zróbcie to, bo inaczej powiem całemu światu, jak zostaliśmy potraktowani. Jakie z was prymitywy!

— Levonie, daj spokój — błagała Barbara, ciągnąc go za ramię. — Przestań. Opanuj się. Przepróż pana porucznika, bardzo cię proszę.

Jackson usiadł i podjechał z krzesłem do biurka.

— Panie McDaniels, niech pan się nie waży jeszcze raz podnieść na mnie ręki. Widzę, że postradał pan zmysły, więc przejdę do porządku dziennego nad tym incydentem i nie opiszę go w raporcie. A teraz niech pan, do cholery, usiądzie, zanim się rozmyślę i pana aresztuję.

Levon wciąż gniewnie sapał, ale usiadł na wskazanym przez Jacksona krześle, a obok niego Barbara. Jackson dotknął ręką karku, potarł łokieć.

— W połowie przypadków zaginięć dzieci jedno z rodziców wie, gdzie ono jest. Czasami wiedzą obydwójce. Chciałem wiedzieć, na czym stoję — wyjaśnił.

Levon i Barbara spojrzeli na niego osłupiali. I nagle wszyscy troje zrozumieliśmy: Jackson sprowokował ich świadomie, żeby sprawdzić, jaka będzie reakcja.

To był test. Przeszli go z wynikiem pozytywnym. Poniekąd z celującym...

— Pracujemy nad tą sprawą od wczoraj rana. Poinformowałem pana o tym, dzwoniąc wczoraj wieczorem. — Jackson patrzył na Levona. — Spotkaliśmy się z ludźmi ze „Sporting Life” oraz z obsługą recepcji i baru w hotelu. Na razie niczego od nich nie wydobyliśmy.

Otworzył szufladę biurka, wyjął telefon komórkowy, jeden z tych

miniaturowych, nowoczesnych, mądrych gadżetów, które robią zdjęcia, wysyłają e-maile i alarmują cię, gdy masz za mało benzyny.

— To komórka Kim — powiedział. — Znaleźliśmy ją na plaży w pobliżu Wailea Princess. Odzyskując dane z pamięci telefonu, stwierdziliśmy, że wielokrotnie wydzwaniał do niej mężczyzna o nazwisku Doug Cahill.

— Cahill? — powtórzył jak echo Levon. — Doug Cahill chodził z moją córką. Mieszka w Chicago.

Jackson pokręcił głową.

— Dzwonił do Kim z Maui. Dzwonił co godzinę, aż jej skrzynka się wypełniła i przestała przyjmować przychodzące telefony.

— Mówi pan, że Doug jest tutaj? — dopytywała się z niedowierzaniem Barbara. — Jest tutaj, na Maui?

— Zlokalizowaliśmy go w hotelu Makena. Pracowaliśmy nad nim przez dwie godziny wczoraj wieczorem, póki nie zażądał prawnika. Zeznał, że nie widział Kim. Że nie chciała z nim rozmawiać. Nie mogliśmy go zatrzymać, ponieważ nic na niego nie mamy. — Jackson schował komórkę Kim do szuflady biurka i mówił dalej: — Panie McDaniels, na razie w ogóle mamy niewiele. Pan otrzymał informację, że Kim dostała się w złe ręce. A my mamy komórkę Kim. Nie wiemy nawet, czy w ogóle zostało popełnione jakieś przestępstwo. Jeżeli Cahill zechce wsiąść do samolotu, nie będziemy mogli go zatrzymać.

Zobaczyłem, że Barbara aż drgnęła, a na jej twarzy odmalował się szok.

— Doug tego nie zrobił — powiedział Levon.

Jackson zdziwiony uniósł brwi.

— Skąd ta pewność? — spytał.

— Znam głos Douga. Mężczyzna, który do nas dzwonił, to nie był Doug.

Rozdział 31

Znowu wsiedliśmy do czarnego sedana, tym razem ja zająłem miejsce z przodu, koło kierowcy. Marco ustawił wsteczne lusterko, kiwnąłem do niego głową, on do mnie, ale nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Za to z tylnego siedzenia dochodziła ostra wymiana zdań między Barbarą i Levonem.

— Barb, nie powtórzyłem ci dosłownie, co powiedział ten łajdak, ponieważ żadnych konkretnych wniosków nie można było z tego wyciągnąć — tłumaczył się Levon. — Przepraszam.

— Jestem twoją żoną. Nie miałeś prawa zatajać przede mną czegokolwiek.

— Dostała się w złe ręce, o to chodzi? To jedyne jego słowa, których ci nie powtórzyłem, i w dalszym ciągu zachowałbym je dla siebie, ale Jackson musiał to usłyszeć. Tobie chciałem tego oszczędzić, kochanie. Chciałem cię oszczędzić.

— Oszczędzić mnie? Okłamałeś mnie, Levonie. Okłamałeś — Barbara się rozszlochała. Levon również się rozplakał, a ja zrozumiałem, dlaczego był taki małomówny, zamknięty w sobie, skrywał się za szklanym spojrzeniem. Facet powiedział mu, że skrzywdzi jego córkę, i tego Levon żonie nie powtórzył. Teraz nie musiał dłużej nadrabiać miną i ukrywać, że jest śmiertelnie przerażony.

Żeby czuli się swobodniej, opuściłem szybę. Jechaliśmy nadmorską drogą, przed oczami przemykały mi scenki z plaży. Poruszył mnie uderzający kontrast między beztroskimi grupkami rodzin nad wodą i straszliwie cierpiącą, zalaną łzami parą za moimi plecami.

Wziąłem notatnik i pisałem przez chwilę. Potem odwróciłem się, żeby ich pokrzepić.

— Subtelność i takt nie są najmocniejszymi stronami Jacksona, ale wciągnął się w śledztwo. Prawdopodobnie okaże się bardzo dobrym gliną.

Levon spojrzał na mnie twardo.

— Masz rację, to dobry detektyw. Przeświecił cię w ciągu pięciu sekund. Bo kim ty jesteś? Pasożytem. Piszesz reportaż. Żywisz się naszym bólem, żeby podnieść sprzedaż gazety.

Dotknął mnie tym oskarżeniem do żywego, ale trzeba przyznać, że było w nim ziarno prawdy. Przelknąłem tę gorzką pigułkę i w duchu usprawiedliwiłem Levona.

— Po części masz rację, Levonie. Załóżmy nawet, że w pełni zasługuję na miano pasożyta, ale gdybyście nie przyznali mi wyłączności, dziennikarze zjedliby was żywcem, a historia Kim nabrałaby niekontrolowanego rozgłosu. Przypomnijcie sobie sprawy Ramseyów, Hollowayów i McCannów. Mam nadzieję, że Kim nie jest w niebezpieczeństwie i że szybko się odnajdzie. Cokolwiek jednak będzie się działo, powinienem być przy was. Ja nie będę polował na sensację i niczego ubarwiał. Mam zamiar przedstawiać tę historię, trzymając się faktów.

Rozdział 32

Kierowca Marco odczekał, aż Hawkins i McDanielsonie przejdą między oczkami wodnymi z kolorowymi karpikami koi i znikną w wejściu do hotelu, i dopiero wtedy uruchomił silnik i kierując się na południe, wjechał na Wailea-Aluani Drive.

Trzymając kierownicę jedną ręką, drugą wyciągnął spod siedzenia nylonową torbę i położył ją na fotelu pasażera. Następnie sięgnął za wsteczne lustro, gdzie ukrył miniaturową, bezprzewodową kamerę cyfrową o wysokiej rozdzielczości. Gdy wyskoczyła karta pamięci, schował ją do kieszeni koszuli.

Trochę się martwił, czy obiektyw na pewno objął pożądaną obraz, gdyż kamera mogła przechylić się w czasie jazdy powrotnej z posterunku policji, ale nawet gdyby zarejestrowała tylko szloch i krzyki, będzie miał podkład dźwiękowy do następnych kadrów. Levon opowiadający o „złych rękach”? Bezcenne.

Chytry, podstępny Marco.

Wyobrażał sobie ich miny, gdy odkryją prawdę. Jeżeli do tego dojdzie.

Poczuł przyływ adrenaliny, gdy podliczał potencjalne zarobki, jakie miał przynieść nowy kontrakt. Widział już pliki banknotów euro, których stos mógłby urosnąć nawet dwukrotnie, gdyby uczestnicy Przymierza po ocenie całości jego dzieła zagłosowali pozytywnie.

A miał zamiar dostarczyć im silnych wrażeń. Będą przechodzić ich dreszcze aż po korzonki włosów, tak dobry nakręci film. Żeby osiągnąć cel, musi po prostu robić to, co potrafi najlepiej. Czy można wyobrazić sobie lepsze zajęcie?

Zbliżał się do zjazdu z autostrady, włączył kierunkowskaz, odbił na prawy pas i dojechał na parking przy centrum handlowym Wailea Shops. Zaparkował elegancką limuzynę Caddy na samym skraju parkingu, gdzie nie sięgały kamery monitorujące i gdzie czekał na niego nierzucający się w oczy ford taurus z wypożyczalni.

Schowany za przyciemnionymi szybami auta, morderca zrzucił przebranie Marca: czapkę kierowcy i perukę, sztuczne wąsy, skórzaną kurtkę i kowbojskie buty. Z torby wyciągnął „Charliego Rollinsa”: baseballówkę, znoszone adidas, sportowe okulary, kartę prasową i obydwie kamery.

Przebrał się szybko, schował perukę i ubranie Marca do torby, przesiadł się do taurusa i wrócił do hotelu Wailea Princess. Portierowi przy wejściu dał trzy dolary. W recepcji sprzyjało mu szczęście, bo dostał apartament z widokiem na ocean.

Idąc w kierunku schodów przez zapierający dech marmurowy przepych lobby, Henri — teraz jako Charles Rollins — zauważył przy jednym ze stolików McDanielsów i Hawkinsa, rozmawiających przy kawie.

Przez ułamek sekundy Rollinsowi serce pracowało na najwyższych obrotach, ponieważ Hawkins odwrócił się od swoich rozmówców, dostrzegł go i zawiesił na nim wzrok. Czyżby jego gadzi mózg czynił jakieś porównania, zląkł się Henri, ale po chwili uspokoił się, bo racjonalny

mózg Hawkinsa najwyraźniej dał się omamić charakteryzacji Rollinsa i spojrzenie Bena powędrowało dalej.

Całą zabawę mogłoby skończyć to jedno spojrzenie, ale na szczęście Hawkins go nie rozpoznał, mimo że przez kilka godzin siedział obok niego w aucie. Henri uwielbiał taki dreszczyk emocji: balansowanie na linie nad przepaścią, by potem wyjść cało z opresji.

Charlie Rollins, fotograf z nieistniejącego „Talk Weekly”, podjął kolejne ryzyko. Podniósł rękę z panasonikiem — „uśmiech proszę” — i wzbogacił się o trzy nowe ujęcia państwa McDanielsów.

Mam was, mamusi i tatusiu.

Serce jeszcze raz zabiło mu mocno, gdy Levon z wściekłą miną pochylił się, zasłaniając Barbarę przed okiem kamery.

Zachwycony sobą morderca wchodził po schodach do swojego apartamentu, a jego myśli zaprzętał teraz Ben Hawkins, który w gruncie rzeczy interesował go bardziej niż McDanielsowie. Hawkins był doskonałym autorem powieści kryminalnych, każda z jego książek dorównywała zdaniem Henriego *Milczeniu owiec*. Tymczasem Hawkins nie wspiął się jeszcze na szczyty sławy. Dlaczego?

Rollins wsunął kartę magnetyczną w szczelinę w drzwiach, rozbłysło zielone światelko, drzwi otworzyły się na wspaniałe wnętrze, ale nie zwrócił na nie uwagi. W jego umyśle nabierał kształtów pomysł włączenia Bena Hawkinsa do gry.

Należy tylko przemyśleć, w jaki sposób możliwie najlepiej wykorzystać go jako integralną część rozkręcającego się przedsięwzięcia.

Rozdział 33

Levon niezdarnie odstawiał filiżankę na spodek, a gdy zabręczała porcelana, zdał sobie sprawę, że Barb i Hawkins, i jeszcze cały gang przechodzących obok nich japońskich turystów widzą, jak bardzo trzęsą mu się ręce. Nic nie mógł na to poradzić.

Ten przeklęty, żądny krwi paparazzo, który wymierzył kamerę w niego i Barbarę! Irytacja Levona była tym większa, że nie otrząsnął się jeszcze z szoku po tym, jak napadł na porucznika Jacksona. Wciąż bolały go stawy rąk po pchnięciu potężnego cielska detektywa na ścianę, i do tego dręczył go wstyd, że narażał się w takim momencie na zamknięcie w więzieniu. Nie żałował jednak tego, co zrobił.

Pocieszał się, że zmotywował być może Jacksona i ten ruszy dupsko z krzesła i zacznie działać sprawniej. Jeżeli skutek miałby być odwrotny, stało się bardzo źle. Tak czy owak za radą Hawkinsa postanowili z Barbarą nie polegać wyłącznie na glinach.

Wyczuł, że ktoś stanął za jego plecami. Jednocześnie Hawkins wstał z krzesła.

— A oto i on. Już jest — oznajmił.

Levon zobaczył mężczyznę przed trzydziestką z platynowymi włosami

i przedziałkiem pośrodku, ubranego w sportowe spodnie, niebieską bluzę i kolorową hawajską koszulę.

— Levonie, Barbaro, poznajcie Eddiego Keolę, najlepszego prywatnego detektywa na Maui — przedstawił nieznanego Hawkins.

— Jedyne go prywatnego detektywa na Maui — poprawił go Keola, odsłaniając w uśmiechu klamerki na zębach. Boże, pomyślał Levon, on jest niewiele starszy od Kim. Czy to ten sam, który odnalazł Carol Reese?

Keola przywitał się z Barbarą i Levonem uściskiem dłoni i usiadł na wyściełanym ratanowym krześle.

— Miło was poznać. Przepraszam, że pojawiając się tak niespodziewanie, ale już zacząłem węszyć.

— Naprawdę? — Barbara uniosła brwi.

— Gdy tylko Ben do mnie zadzwonił, zacząłem zasięgać języka. Urodziłem się piętnaście minut drogi stąd i tu pracowałem w policji bezpośrednio po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Hawajskim. Mam na co dzień kontakt z miejscowymi glinami, dobrze nam się współpracuje.

Nie przechwała się, chce tylko być wiarygodny, pomyślał Levon.

— Mają podejrzanego — dodał Keola.

— Znamy go, nasza córka umawiała się z nim do niedawna — rzekł Levon, a potem opowiedział o telefonie, jaki odebrał w Michigan. — W jednej sekundzie cały mój świat legł w gruzach.

Barbara poprosiła Keolę, żeby opowiedział historię Carol Reese, dwudziestoletniej biegaczki ze stanu Ohio, która zaginęła bez wieści przed paroma laty.

— Odnalazłem ją w San Francisco. Miała utrapienie ze swoim chłopakiem, który posuwał się do rękoczynów. Upozorowała więc porwanie, zmieniła nazwisko, zerwała z przeszłością. Gdy ją odnalazłem, jej wściekłość nie miała granic. — Keola kiwał głową, wspominając tamto zdarzenie.

— A jak się pan zabierze do tej sprawy? — chciał wiedzieć Levon.

Keola uważał, że po pierwsze musi się spotkać z fotografem ze „Sporting Life” i przejrzeć zdjęcia, żeby zorientować się, czy któryś z gapiów przyglądających się sesji budzi podejrzenia, po drugie musi porozmawiać z ochroną hotelu i sprawdzić taśmy z monitoringu baru Typhoon tamtej nocy, kiedy zniknęła Kim.

— Miejmy nadzieję, że Kim po prostu wróci — ciągnął — a jeśli nie, to moje postępowanie będzie się sprowadzało do żmudnej i mrówczej detektywistycznej roboty. Będą państwo moimi jedynymi klientami, w razie potrzeby będę angażował asystentów i będziemy pracowali dwadzieścia cztery godziny na dobę. Skończymy, kiedy powiecie „dość”, nie wcześniej. Tak to ma wyglądać.

Levon omawiał z Keolą honorarium, ale jego wysokość nie grała roli. Pamiętał o wywieszce na drzwiach posterunku policji w Kihei, informującej o godzinach urzędowania: w dni powszednie od ósmej do siedemnastej, w weekendy i święta od dziesiątej do szesnastej. Tymczasem Kim jest być może przetrzymywana w jakimś ponurym lochu czy norze.

— Angażuję pana. Pracuje pan dla mnie.

Rozdział 34

Telefon w moim pokoju zadzwonił, jak tylko otworzyłem drzwi. Powiedziałem „halo” i usłyszałem kobiecego głos:

— Benah Hawkeens? — zaskoczył mnie bardzo wyraźny obcy akcent.

— Tak, tu Ben Hawkins — powiedziałem i czekałem, aż nieznajoma się przedstawi, ale nie zrobiła tego.

— Pewien człowiek zatrzymał się w hotelu Wailea Princess — usłyszałem bez żadnych wstępów.

— I co dalej?

— Nazywa się Nils Bjorn i powinien pan z nim porozmawiać.

— A dlaczego?

Moja rozmówczyni powiedziała, że Bjorn to biznesmen z Europy, którego należy przesłuchać.

— Był w hotelu tego dnia, gdy zniknęła Kim McDaniels. Być może to on... powinien pan z nim pomówić — powtórzyła.

Wysunąłem szufladę stolika w poszukiwaniu papieru i długopisu.

— Dlaczego ten Nils Bjorn miałby być podejrzany? — zapytałem, zapisując jednocześnie to nazwisko i imię na znalezionej papeterii.

— Niech pan z nim porozmawia. Muszę kończyć. — Kobieta prze-
rwała połączenie.

Wyjąłem z lodówki butelkę wody Perrier i wyszedłem na balkon. Zatrzymałem się w hotelu Marriott, oddalonym o niecałe pół kilometra od znacznie droższego Wailea Princess, ale za dużo mniejsze pieniądze miałem taki sam zapierający dech w piersi widok na ocean. Sączyłem perriera i rozmyślałem o dziwnej informatorce. Po pierwsze, jak mnie znalazła? Jedyne McDanielsonie i Amanda wiedzą, w jakim jestem hotelu.

Wróciłem przez szerokie, przesuwane balkonowe drzwi do pokoju, włączyłem laptop i gdy połączyłem się z Internetem, wystukałem w Google nazwisko „Nils Bjorn”.

Pierwszy trop był to artykuł sprzed roku w londyńskim „Timesie” o niejakim Nilsie Bjornie, zatrzymanym w Londynie pod zarzutem nielegalnego handlu bronią — dostarczał ją do Iraku — i zwolnionym z powodu braku dowodów.

Klikałem na kolejne wyniki wyszukiwania, ale wszystkie odnośne artykuły podobne były do tego pierwszego lub identyczne.

Otworzyłem jeszcze jedną butelkę perriera i nadal szperałem w przeglądarce. Znalazłem inną historię o Bjornie, tym razem z 2005 roku. Ta dotyczyła kwalifikowanej napaści na kobietę, co w języku prawniczym oznacza po prostu gwałt. Ofiarą była modelka w wieku dziewiętnastu lat, jej nazwiska nie podano, a Bjorn nie został skazany.

Ostatnim przystankiem w mojej wędrówce po Internecie był „Skol”, luksusowy magazyn poświęcony życiu europejskiej socjety. Znalazłem w nim zdjęcie zrobione podczas uroczystego przyjęcia z okazji otwarcia pod Gotenbergiem fabryki sprzętu zbrojeniowego. Była własnością szwedzkiego przemysłowca.

Powiększyłem zdjęcie, przyjrzałem się dokładnie mężczyźnie opisanemu jako Bjorn. Oczy jarzyły mu się w świetle lampy błyskowej, miał

regularne rysy twarzy, kasztanowe włosy i prosty nos. Wyglądał na faceta po trzydziestce i nie wyróżniał się niczym charakterystycznym.

Zapisałem zdjęcie na twardym dysku, a następnie zadzwoniłem do Wailea Princess i poprosiłem o połączenie z pokojem Nilsa Bjorna. Powiedziano mi, że wymeldował się z hotelu dzień wcześniej.

Prosiłem o przełączenie mnie do apartamentu McDanielsów.

Opowiedziałem Levonowi o telefonie od nieznajomej kobiety i rezultatach poszukiwania informacji o Nilsie Bjornie. Przekazałem mu wszystko, czego się dowiedziałem: Bjorn był oskarżony o sprzedawanie broni państwu wspierającemu terroryzm oraz o zgwałcenie modelki. W żadnym z tych przypadków nie udowodniono mu winy. Dwa dni temu był gościem hotelu Wailea Princess.

Staralem się opanować rozgorączkowanie, ale słyszałem je we własnym głosie.

— To może być przełom — powiedziałem.

Rozdział 35

Levon cierpliwie trzymał słuchawkę przy uchu. Po pięciu minutach wysłuchiwania muzyczki został poinformowany, że porucznik Jackson jest teraz niedostępny i potem do niego oddzwoni. Odłożył wobec tego słuchawkę i włączył telewizor. Wielki plazmowy ekran zajmował pół ściany, zaczęła się wiadomość.

Najpierw zobaczył krzykliwą czołówkę południowych wiadomości z Hawajów z twarzami prezenterów, Tracy'ego Bakera i Candy Ko'alani. Gdy Baker informował o „wciąż zaginionej modelce Kim McDaniels”, część ekranu zajmowało jej zdjęcie w kostiumie bikini. Następnie zaczął się wywiad na żywo z Jacksonem.

— Barb, chodź tutaj, szybko! — zawołał Levon.

Żona usiadła obok niego na kanapie.

Porucznik stał przed tłumem dziennikarzy na tle wejścia do posterunku policji.

„Śledztwo jest w toku. Rozmawiamy z osobą, która stała się obiektem naszego zainteresowania. Każdego, kto wie cokolwiek o Kim McDaniels, prosimy o kontakt. Zapewnimy poufność. To wszystko, co mogę powiedzieć na tym etapie”, zakomunikował Jackson.

— Aresztowali kogoś czy nie? — zapytała Barbara, ścisnąwszy mocno dłoń męża.

„Obiekt zainteresowania policji to osoba podejrzana. Ale nie mają wystarczających dowodów przeciwko niemu, bo gdyby mieli, toby go przymknęli”.

Levon podkręcił dźwięk.

„Poruczniku, rozumiemy, że mówi pan o Dougu Cahillu?” — spytał jeden z reporterów.

„Bez komentarza. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Dziękuję”.

Jackson odwrócił się, a dziennikarze mieli zawiedzione i wściekłe miny. Na ekranie ponownie pojawił się Tracy Baker.

„Doug Cahill, obrońca zespołu Chicago Bears — mówił Baker — był widziany na Maui, a z dobrze poinformowanych źródeł wiemy, że był kochankiem Kim McDaniels”.

Na ekranie widać było Douga w stroju zawodnika. Kask pod pachą, szeroki uśmiech, krótko ostrzyżone blond włosy, dobrze zbudowany, przystojniak ze Środkowego Zachodu.

— Bywał natrętny, naprzykrzał się, sama widziałam — odezwała się Barbara, przygryzając dolną wargę. Wyjęła z rąk męża pilota i ściszyła telewizor. — Ale żeby miał jej zrobić krzywdę? Absolutnie w to nie wierzę.

Zadzwoił telefon. Levon chwycił słuchawkę.

— Panie McDaniels, tu porucznik Jackson.

— Czy macie zamiar aresztować Douga Cahilla? Jeżeli tak, to popełnicie błąd.

— Zgłosił się do nas przed godziną świadek mieszkający na wyspie i powiedział, że widział Cahilla napastującego Kim po zakończeniu sesji tamtego dnia.

— Przecież Doug oświadczył wam, że nie widział się z Kim, czyż nie tak, poruczniku?

— To prawda. Zakładamy jednak, że mógł kłamać. Rozmawiamy z nim teraz. Zaprzecza, że ma jakikolwiek związek z zaginięciem Kim.

— Jest jeszcze ktoś, o kim powinien pan wiedzieć — rzekł Levon i zrelacjonował mu rozmowę telefoniczną z Hawkinsem. — Trop prowadzi do biznesmena aktywnego na arenie międzynarodowej, niejakiego Nilsa Bjorna.

— Wiemy, kim jest Nils Bjorn. Nie ma żadnych powiązań między Bjornem i Kim. Żadnych świadków. Niczego z kamer monitorujących.

— Rozmawialiście z nim?

— Bjorn wymeldował się z hotelu, zanim ktokolwiek zorientował się, że Kim zniknęła. Panie McDaniels, wiem, że nie kupuje pan tej wersji, ale naszym podejrzanym pozostaje Cahill. Potrzebujemy tylko trochę czasu, żeby go złamać.

Rozdział 36

Henri, przebrany za Charliego Rollinsa, wybrał się na lunch do Sand Bar, uroczej hotelowej restauracji przy plaży. Wielkie żółte parasole połyskiwały w słońcu, a wracające z plaży nastolatki wbiegały po schodkach, przyciągając wzrok pięknie opalonymi ciałami lśniącymi od kropelek wody. Henri nie potrafiłby powiedzieć, czy bardziej zachwycają go dziewczynki, czy chłopcy.

Kelnerka przyniosła mu syrop cukrowy do mrożonej herbaty oraz serowe paluszki w koszyczku, obiecując, że za chwilę poda mu zamówioną sałatkę. Skinął z uśmiechem głową, powiedział, że rozkoszuje się widokami i nigdzie się nie spieszy, bo jest w cudownym miejscu.

Kelner odsunął krzesło od stolika obok i usiadła tam śliczna młoda kobieta. Czarne włosy miała ostrzyżone króciutko, po męsku, ubrana była jedynie w stanik od kostiumu i żółte szorty.

Henri wiedział, kto kryje się za efektownymi okularami Maui Jim.

Kiedy odłożyła kartę, odezwał się:

— Julia. Julia Winkler.

Podniosła głowę.

— Przykro mi, nie znam pana.

— Ale ja znam panią. — Henri podniósł kamerę, żeby dać do zrozumienia, czym się zajmuje. — Pracuje pani na wyspie?

— Pracowałam — odpowiedziała. — Wczoraj zdjęcia się zakończyły. Jutro wracam do Los Angeles.

— Ach, więc to była ta sesja zdjęciowa dla „Sporting Life”?

Kiwnęła głową i spochmurniała.

— Zostałam trochę dłużej z nadzieją, że... Dzieliliśmy pokój z Kim McDaniels.

— Ona na pewno wróci — rzekł Henri spokojnie.

— Tak pan myśli? Dlaczego?

— Intuicja podpowiada mi, że zrobiła sobie wakacje. To się zdarza.

— Jeżeli ma pan dar jasnowidzenia, proszę powiedzieć, gdzie ona jest.

— Nie ma jej w zasięgu moich wibracji, ale pani jest dla mnie otwartą księgą.

— Czyżby? Więc o czym teraz myślę?

— Jest pani smutna i czuje się samotna, i chętnie zjadłaby pani lunch w towarzystwie osoby, która potrafi wywołać uśmiech na pani twarzy.

Julia zaśmiała się, a Henri przywołał kelnera i poprosił go, żeby przy jego stoliku położył drugie nakrycie dla panny Winkler. Usiadła na krześle obok niego. Obydwoje mieli przed oczami widok na ocean.

— Charlie — rzekł, wyciągając do niej rękę. — Rollins.

— Cześć, Charlie. Co proponujesz na lunch?

— Sałatkę z grillowanego kurczaka i dietetyczną kolę. I powiem, co teraz myślisz. Chętnie zostałabyś tutaj jeszcze na jeden dzień i możesz sobie na to pozwolić, ponieważ twoim kotem opiekuje się sąsiadka. Na wyspie jest pięknie, więc po co spieszyć się do domu?

Julia znowu się zaśmiała.

— Mam Bruna, rottweilera.

— Wiedziałem! — Henri usiadł wygodniej, gdy kelnerka postawiła przed nim sałatkę i przyjęła od Julii zamówienie na taką sałatkę i Mai-Tai, popularny hawajski drink na kruszonym lodzie.

— Nawet gdybym miała zostać na kolejną noc, i tak nie mogę umawiać się z fotografami — powiedziała, patrząc wymownie na leżącą na stoliku kamerę z obiektywem nakierowanym na nią.

— Czy proponowałem ci randkę?

— Zaproponujesz.

Obydwoje roześmiali się głośno.

— W porządku. Umawiam się na randkę z tobą. I robię ci zdjęcie, żeby chłopaki z mojego Loxahatchee nie myśleli, że wymyśliłem tę historyjkę — powiedział Rollins.

— Dobrze, ale zdejmij okulary, Charlie. Chcę zobaczyć twoje oczy.

— Najpierw pokaż mi swoje.

Rozdział 37

— Juhuuuu! — wykrzyknęła Julia, gdy śmigłowiec, zbaczając z kursu, podchodził do lądowania i na tle koralowozłotego wieczornego nieba wyspa Lanai stawała się coraz większa. Miętko osiedli na małym prywatnym lądowisku dla helikopterów na skraju zieleńszego-niż-zieleń pola golfowego należącego do hotelu Island Breezes.

Charlie wysiadł pierwszy i pomógł Julii. Łopaty śmigła wirowały, pęd powietrza przeczesał jej krótkie loczki i różowił policzki. Podniosła kołnierz wiatrówki i z pochyloną głową pobiegła za Rollinsem do czekającego auta.

— Musisz mieć dużo pieniędzy na koncie, przyjacielu! — krzyknęła, z trudem łapiąc oddech.

— Na randkę naszych marzeń, Julio, nie będę żałował.

— Naprawdę?

— Kto by liczył wydatki na randce z tobą?

— O rany!

Samochód ruszył wolno w stronę hotelu. Gdy weszli do lobby, Julia wstrzymała oddech, oszołomiona przepychem wnętrza, gdzie dominowały kolory szmaragdowy, złoty i burgunda i pyszniły się chińskie

dywany, aksamitne draperie, stylowe meble i antyczne rzeźby, a wszystko to chciały przytłumić zawistne promienie zachodzącego słońca.

Julia i Charlie zamówili wspólny masaż i leżeli pod dachem wspartym na lekkiej konstrukcji z bambusa, słysząc rytmiczne uderzenia fal o skalisty brzeg. Masażyści zsunęli z nich prześcieradła przesycone zapachem plumerii i zaczęli od energicznego natarcia skóry masłem kakaowym, a dopiero potem przystąpili do masażu przedramionami, wykonując pełne harmonii, niemal taneczne ruchy, charakterystyczne dla tradycyjnego masażu loomi-loomi.

Leżąc na brzuchu, Julia uśmiechała się marzycielsko do niedawno poznanego mężczyzny.

— To jest zbyt piękne. Oby się nigdy nie skończyło.

— Odtąd będzie jeszcze lepiej.

Kolację zjedli po paru godzinach w restauracji na parterze i była to prawdziwa uczta w przyćmionym świetle kandelabrow. Podano krewetki na przystawkę i steki wieprzowe kurubuta z mangowym chutneyem, a do tego wspaniałe francuskie wino. Charlie skłaniał zachwyconą Julię do zwierzeń, więc opowiadała o tym, jak wychowywała się w bazie wojskowej w Bejrucie, skąd wyrwała się do Los Angeles, gdzie nastąpił w jej życiu szczęśliwy przełom.

Na koniec Charlie zamówił wino deserowe do zucotto, musu czekoladowego i bananów z Lanai, karmelizowanych przez kelnera przy stoliku. Gdy rozszedł się rozkoszny zapach palonego cukru, Henri znów poczuł apetyt. Patrzył na dziewczynę, teraz jego dziewczynę, słodką, chętną i osiągalną.

Dobrze wydał cztery tysiące dolarów, nawet gdyby miało skończyć się tylko na tym.

Ale się nie skończyło.

Przebrali się w kostiumy kąpielowe i poszli na długi spacer plażą zalaną światłem księżycy, w którego blasku mienił się piasek, a ocean

wabił magią szumiących fal i bielejącymi pasmami piany. Nagle Julia roześmiała się figlarnie.

— Kto ostatni znajdzie się w wodzie, jest palantem!

Ruszyła szybkim sprintem, popiskując, gdy woda sięgnęła jej ud, a w tym czasie Charlie pstryknął kilka ujęć i bez pośpiechu włożył aparat do marynarskiego worka.

— Zobaczymy, kto jest palantem — mruknął pod nosem, zadowolony z siebie.

Wbiegł do wody, zanurkował i wynurzył się, oplatając Julię ramionami.

Rozdział 38

Wróciłem do pokoju hotelowego, sprawdziłem, czy są na sekretarce wiadomości od tamtej kobiety mówiącej z obcym akcentem czy od kogokolwiek innego. Uruchomiłem laptop i po niedługim czasie wysyłałem siedmuset wyrazowy udany reportażyk na skrzynkę Aronsteina w „Los Angeles Timesie”.

Zajęcia na dzisiaj miałem za sobą, włączyłem więc telewizor, żeby obejrzeć wiadomości o dwudziestej drugiej. Zaczęły się od sprawy Kim.

Mignęła zapowiedź *Z ostatniej chwili* i na ekranie ukazały się „gadające głowy”, które zgodnie gadały, że sprawcą porwania Kim McDaniels jest prawdopodobnie Doug Cahill. Pokazano Douga w całej okazałości — ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i około stu piętnastu kilogramów wagi — w uniformie Chicago Bears, z kaskiem pod pachą, uśmiechającego się do kamery jak gwiazda filmowa.

Nie trzeba było wyteżać umysłu, żeby wyobrazić sobie, że Cahill mógł z łatwością podnieść Kim McDaniels i trzymając ją pod pachą jak piłkę futbolową, nieść na dowolną odległość.

Nagle oczy o mało nie wyskoczyły mi z orbit.

Na ekranie pojawił się Cahill, puszczano materiał nagrany dwie godziny wcześniej. Najwidoczniej w tym czasie, gdy raczyliśmy się z Keolą

pizzą, przed posterunkiem policji w Kihei działały się ważne rzeczy.

Cahill stał z dwoma prawnikami, z których jednego rozpoznałem. Tego w eleganckim perłowszarym garniturze. To był Amos Brock, nowojorski obrońca w sprawach o przestępstwa kryminalne, adwokat znany z tego, że broni gwiazdy filmu i sportu, gdy zdarza im się przekroczyć dopuszczalne granice i znaleźć po mrocznej stronie. Sam stał się gwiazdą i to on reprezentował teraz Douga Cahilla.

Kamery stacji KTAU wycelowane były w Cahilla i Brocka. Brock podszedł do mikrofonu.

„Mojemu klientowi, Dougowi Cahillovi, nie postawiono żadnych zarzutów. Oskarżenia kierowane przeciwko niemu są bezpodstawne, to brednie. Nie znaleziono cienia dowodu na potwierdzenie tego steku bzdur, jaki wymyślono. Doug chce wypowiedzieć się w tej sprawie publicznie, po raz pierwszy i ostatni”.

Chwyliłem za słuchawkę i obudziłem Levona z głębokiego snu. Tak mi się przynajmniej wydawało.

— Levonie, tu Ben. Włącz telewizję. Kanał Drugi. Pospiesz się.

Nie odkładałem słuchawki, patrząc, jak Cahill ustawia się z przodu. Był nieogolony, miał na sobie niebieską płócienną koszulę z kołnierzykiem pod elegancką sportową marynarką. Bez naramienników i kasku wyglądał grzecznie, banalnie, jak dzieciak doksztalający się w organizowanych przez Wall Street programach edukacyjnych dla przyszłych menedżerów.

— Przyjechałem na Maui, żeby zobaczyć się z Kim — mówił drżącym głosem, a łzy spływały mu po policzkach. — Rozmawiałem z nią przez dziesięć minut trzy dni temu. Od tamtej pory jej nie widziałem. Nie zrobiłem jej krzywdy. Kocham ją i zostanę tutaj, póki się nie odnajdzie.

Oddał mikrofon Brockowi.

— Powtarzam, że Doug — mówił Brock dobitnie — nie ma nic wspólnego ze zniknięciem Kim i jako jego adwokat będę z całą konsekwencją ścigał sądownie każdego, kto ośmieli się go zniesławiać. Tyle mamy na razie do powiedzenia. Dziękuję.

— Co o tym sądzisz? O wypowiedzi prawnika? Douga? — zapytał mnie Levon.

— Doug mówił bardzo przekonująco. Albo bardzo kocha Kim, albo jest bardzo dobrym kłamcą.

Przyszło mi do głowy jeszcze coś innego, ale nie podzieliłem się tym z Levonem. Co teraz będzie z moim reportażem składającym się z siedmiuset słów, który wysłałem do „LA Timesa”?

Zawiera nieaktualne wiadomości.

Rozdział 39

Zadzwoiłem do mojego szefa w dziale kryminalnym i wyjaśniłem, że Doug to koleś rzucony na pożarcie zniecierpliwionym mediom, z punktu widzenia policji wygodny kąsek, zwłaszcza po zeznaniach świadka, który widział go napastującego Kim, ale broni go Amos Brock, najbardziej zacięty pitbull w sforze adwokatów.

— Przerobiłem tamten kawałek, jest już w twojej skrzynce — powiedział Aronsteinowi. — Jeżeli nie masz nic do mnie, to się rozłączam.

Następnie zadzwoniłem do Sama Paulsona, szefa działu sportowego.

Paulson mnie lubi, ale z zasady nikomu nie ufa.

— Sam, to dla mnie ważne, muszę wiedzieć, jakiego typu facetem jest Doug Cahill. Moje reportaże nie będą konkurencją dla twoich.

Zaczęliśmy toczyć bój na argumenty, jakbyśmy byli na ringu. Paulson stał na straży swojej pozycji specja od nowinek ze światowego sportu, a ja chciałem wydobyć z niego, czy Cahill jest niebezpieczny także poza boiskiem.

W końcu Paulson powiedział mi prawdziwą bombę.

— Jest taka jedna dziewczyna od *public relations*. Załatwiłem jej

pracę dla Chicago Bears. Z tym że ze mną nie ma żartów, Hawkins. To nie jest do publicznej wiadomości. Dziewczyna jest moją dobrą znajomą.

— Rozumiem.

— Cahill parę miesięcy temu zrobił jej dziecko. Powiedziała o tym matce. A także Cahillowi i mnie. Oczekuje, że Cahill zachowa się przyzwoicie. Cokolwiek to, do cholery, znaczy.

— Czy umawiał się jeszcze z Kim, kiedy to się zdarzyło? Jesteś pewien?

— Na sto procent.

— Ma na swoim koncie jakieś akty przemocy?

— Oni wszyscy mają. Knajpiane rozróby. Najgorzej było w Indianie po meczu z Notre Dame. No więc to tylko tego typu rzeczy, gówniarstwo.

— Dziękuję, Sam.

— Ani pary z ust — powiedział na pożegnanie. — Ani słowa nikomu. Nie żartuję.

Siedziałem oszołomiony tą sensacyjną wiadomością przez dobre kilka minut, zastanawiając się, co wnosi ona do sprawy. Jeżeli Kim wiedziała, że Cahill ją oszukuje, miała wystarczający powód, żeby z nim zerwać. Jeżeli on nie mógł się z tym pogodzić i chciał, żeby do niego wróciła... Był zdesperowany, a w takiej sytuacji podczas rozmowy doszło być może do szarpaniny, która wymknęła się spod kontroli.

Zadzwoń do Levona. Zaskoczyła mnie jego reakcja.

— Doug to maszyna napędzana testosteronem — powiedział bez namysłu. — Kim mówiła, że jest piekielnie uparty, a wszyscy znamy go z boiska, to prawdziwy zabójca. Skąd możemy wiedzieć, do czego jest zdolny? Barbara wciąż w niego wierzy, ale ja zaczynam myśleć, że Jackson ma rację. Być może wytypował sprawcę.

Rozdział 40

Julia poczuła się w ramionach Henriego jak w stanie nieważkości, była szczęśliwa. Jej długie nogi objęły go w pasie, a on zgiął kolana i ją przytulił.

— Charlie, jest cudownie. Cudownie.

— Odtąd będzie jeszcze lepiej — wypowiedział zdanie, które stało się ich miłosnym refrenem. Julia uśmiechnęła się, pocałowała go najpierw delikatnie, a potem zainicjowała głęboki pocałunek, który miał smak soli i dał początek kolejnym, namiętym. Iskrzyło, jakby między ich ciałami przebiegały błyskawice.

Rozwiązał troczek od stanika i pociągnął za wiązanie na plecach.

— Dużo robisz dla niewinnego „cięcia bikini” — mruknął.

— Jakiego bikini?

— Nieważne. — Niesiony przez fale stanik rysował się białą wstęgą na czarnej tafli wody, aż przestał być widoczny, ale Julia się tym nie przejęła.

Zajęta była lizaniem jego ucha, czuł na swojej piersi jej sutki twarde jak diamenty, a gdy przytulił ją mocniej, zaczęła ocierać się energicznie o jego twarde członek i głośno pojękiwać.

Wsunął ręce w dół od bikini i dotykał zręcznymi palcami jej intymnych miejsc, na co reagowała piskiem podekscytowanego dziecka. Piętami zaczęła ściągać mu kąpielówki.

— Poczekaj — zaśmiał się. — Bądź grzeczną dziewczynką.

— Mam zamiar cię zadziwić — westchnęła, pocałowała go namiętnie i nadal próbowała ściągnąć mu kąpielówki. — Nie mogę się ciebie doczekać.

Wyzwolił się z uścisku jej nóg, ściągnął jej majtki i wyniósł nagą na plażę. Ich ociekające wodą ciała mieniły się srebrzyście w księżycowej poświacie.

— Wytrzymaj jeszcze trochę, doczekasz się mnie, diabełku — szepnęła Charlie.

Zaniósł ją pod skałę, gdzie zostawił swój marynarski worek. Schylił się, rozsunał zamek błyskawiczny i wyjął dwa wielkie plażowe prześcieradła.

Z trudem utrzymując równowagę, bo wciąż trzymał Julię w ramionach, rozłożył jedno, delikatnie położył na nim dziewczynę i przykrył drugim.

Odwrócił się na moment, ustawił panasonika na worku, włączył i poprawił nachylenie obiektywu.

Stanął nad Julią, zdjął kąpielówki i roześmiał się, gdy krzyknęła:

— O mój Boże!

Ukląkł między jej nogami i lizal ją, aż zaczęła krzyczeć.

— Nie mogę wytrzymać, Charlie, błagam, proszę, teraz, już. — Wtedy w nią wszedł.

Jej spazmy i krzyki ginęły w poszumie fal, jak przewidywał. Kiedy odsunęli się od siebie, sięgnął do worka, wyciągnął nóż z ząbkowanym ostrzem i położył go między nimi na kocu.

— A to po co? — spytała Julia.

— Ostrożności nigdy za wiele — powiedział, jakby to była rzecz najwyczaźniej sza w świecie. — To na wypadek, gdyby w ciemności czaił się jakiś zły człowiek.

Przezeszał jej włosy palcami, pocałował w jedno i drugie oko, objął nagą dziewczynę, przyciągnął do siebie, żeby grzała się ciepłem jego ciała.

- Uśnij, Julio. Ze mną jesteś bezpieczna.
- Odtąd będzie jeszcze lepiej? — przekomarzała się z nim.
- Mały świntuszek.

Roześmiała się i wtuliła w jego pierś, a Charlie naciągnął jej prześcieradło na twarz. Odwrócił się do kamery.

- Czy wszyscy są szczęśliwi?
- Julia myślała, że mówi do niej, i westchnęła rozkosznie.
- Jestem bezgranicznie szczęśliwa.

Rozdział 41

Mijała kolejna doba straszliwej udręki Levona i Barbary, a ja nie potrafiłem im pomóc. Gdy kładłem się do łóżka, w telewizji szła po raz kolejny ta sama składanka wiadomości na temat Kim. Z niespokojnego snu wyrwał mnie dzwonek telefonu. To był Eddie Keola.

— Coś się dzieje, Ben, ale nie alarmuj jeszcze państwa McDanielów. Za dziesięć minut będę przed twoim hotelem.

Gdy wybiegłem z hotelu w ciepłą noc, jeep Keoli czekał na mnie z zapalonym silnikiem. Wskoczyłem na siedzenie pasażera.

— Dokąd jedziemy? — zapytałem.

— Ta plaża nazywa się Makena Landing. Gliny coś tam znalazły. Albo kogoś.

Po dziesięciu minutach jazdy Eddie zatrzymał się na łuku drogi, gdzie stało już sześć radiowozów, van specgrupy policyjnej i samochód z biura koronera. Z tego miejsca widziałem w dole półkolistą zatoczkę ograniczoną językami wcinającej się w ocean wypiętrzonej, czarnej, zastygłej lawy i skrawek plaży.

Nad naszymi głowami unosił się hałaśliwy helikopter, oświetlając reflektorami krzątających się na brzegu policjantów, którzy wyglądali z góry jak ludziki z patyczków.

Zeszliśmy z Keolą na dół. Przy samej wodzie parkował wóz straży pożarnej, na wodzie kołysały się łodzie pontonowe, zespół płetwonurków pracował.

Poczułem się fatalnie na myśl, że gdzieś na dnie tej zatoczki leży ciało Kim, która być może szukała ucieczki przed ścigającym ją ekskochankiem jak ta biegaczka, którą wytropił Keola.

Z zamyślenia wyrwał mnie Keola, który podszedł do mnie z oficerem śledczym, młodym, dobrze zbudowanym funkcjonariuszem w mundurze lokalnej policji. Nazywał się Polikapu.

— Ludzie biwakujący tam — powiedział, wskazując grupę dzieci i dorosłych na molo, jakie tworzyła lawa — widzieli coś unoszącego się na wodzie.

— Mam rozumieć, że jakieś ciało? — zapytał Keola.

— Początkowo myśleli, że to kłoda albo coś takiego, ale zauważyli, że dobiera się to tego rekin, wtedy zadzwonili. Zanim tu przybyliśmy, prąd zniósł to w stronę podwodnych grot. Płetwonurkowie penetrują tamto miejsce.

Keola wyjaśnił mi, że nierzadko przy odpływie ludzie wpływają do takich podwodnych pieczar, a jeśli nie są czujni i złapie ich fala przyboju, giną.

Czy coś takiego przydarzyło się Kim? Wydawało się to bardzo prawdopodobne.

W górze na poboczu drogi ustawiały się wozy telewizyjne, fotoreporterzy schodzili w dół na plażę, policjanci pospiesznie zabezpieczali miejsce żółtą taśmą.

Jeden z fotografów podszedł do mnie, przedstawił się jako Charlie Rollins, powiedział, że pracuje na własny rachunek i chętnie dostarczy mi zdjęcia dla „Los Angeles Timesa”.

Wziąłem od niego wizytówkę i w tym momencie dostrzegłem, że pierwsi nurkowie wychodzą z wody. Jeden coś niósł.

— Jesteś ze mną — powiedział Keola i pociągnął mnie za linię taśmy. Kiedy przybijał ponton, staliśmy już nad samym brzegiem.

Snop światła z reflektorów śmigłowca padł na drobne ciało, które trzymał w ramionach nurek. Wydawało mi się, że to kilkunastoletnia, a może nawet młodsza dziewczynka. Ciało było tak wzdęte, że tak naprawdę trudno było określić jej wiek. Była spętana liną owiniętą wokół szyi i prowadzącą wzdłuż pleców od rąk do zgiętych nóg. Porucznik Jackson podszedł do ofiary i nałożywszy gumowe rękawiczki, odgarnął z jej twarzy długie ciemne włosy.

Teraz nie miałem cienia wątpliwości: to nie Kim. Odczułem ulgę, że nie będę musiał dzwonić do Levona i Barbary. Odprężenie znikło równie szybko, jak się pojawiło, zgaszone falą bezsilnego żalu. W bestialski sposób zamordowano inną dziewczynę, też czyjąś córkę.

Rozdział 42

Poprzez warkot silnika helikoptera przedarł się przenikliwy kobiecy krzyk. Odwróciłem się i zobaczyłem ciemnoskórą kobietę, około stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu i bardzo szczupłą, która podbiegała do żółtej taśmy. Krzyczała przeraźliwie.

— Rosa! Rosa! *Madre de Dios! No!*

Za nią biegł mężczyzna.

— Isabel, nie idź tam. Isabel, nie! — krzyczał i dogoniwszy ją, przytrzymał w ramionach. Odpychała go i biła pięściami, usiłując się wyrwać, żyły na szyi miała nabrzmięte od krzyku.

— Nie, nie; nie, moja dziecinka, moje dziecko!

Otoczyła ich policja, rozpaczliwy krzyk kobiety cichł, gdy odprowadzano ją na bok. Dziennikarze, cała ta sfora, biegła na wyścigi do rodziców martwego dziecka. Oczy reporterów niemal żarzyły się z podniecenia. Żalodne.

W innych okolicznościach byłbym prawdopodobnie wśród nich, ale teraz wspinałem się za Keolą w górę stromego skalistego zbocza, na którego szczycie rozłożyli się ze sprzętem przedstawiciele mediów. Korespondenci telewizyjni na bieżąco dostarczali materiał swoim stacjom, nakierowując kamery na biedne skrzycone ciało leżące na noszach, które wsuwano do vana koronera. Z trzaskiem zamknięto drzwi

i pojazd szybko ruszył.

— To Rosa Castro — poinformował mnie Keola, gdy wsiadaliśmy do jego jeepa. — Miała dwanaście lat. Zauważyłeś sposób, w jaki została spętana? Nogi i ręce połączone liną.

— Tak, rzuciło mi się to w oczy.

Oglądałem przemoc i pisałem o niej przez pół życia, mimo to widok tej małej dziewczynki był tak makabryczny, że mnie zemdlilo. Przeknąłem żółć podchodzącą do gardła i z trzaskiem zamknąłem drzwi auta.

Keola zapalił silnik i ruszył na północ.

— Rozumiesz teraz, dlaczego nie chciałem, żebyś dzwonił do państwa McDanielsów. Gdyby to była Kim...

Urwał w pół zdania, bo odezwała się jego komórka. Wymacał ją w kieszeni marynarki i przyłożył do ucha.

— Tu Keola. Tak słyszę cię, Levonie. Nie, to nie Kim. Na pewno. Widziałem ciało. To nie jest wasza córka.

Powiedział Levonowi, że zatrzymamy się przy ich hotelu, i po kilku minutach podjeżdżaliśmy przed główne wejście Wailea Princess.

Barbara i Levon czekali pod zadaszonym podjazdem, zefirek targał im włosy i lekkie hawajskie stroje. Trzymali się kurczowo za ręce, twarze mieli blade ze zmęczenia.

Weszliśmy razem z nimi do lobby. Keola wyjaśnił im po drodze, nie wdając się w makabryczne szczegóły, że dziecko zostało uduszone.

Barbara zapytała, czy śmierć Rosy jest jakoś wiązana ze zniknięciem Kim, pragnąc usłyszeć zdecydowane zaprzeczenie, ale o nie było trudno. Mimo to starałem się ją pocieszyć, mówiąc, że seryjny zabójca ma zwykle swoje upodobania i rzadko się zdarza, żeby na ofiary wybierał zarówno dzieci, jak i kobiety. Wiedziałem, że takie przypadki są rzadkie, ale zanotowano precedensy.

Pocieszałem nie tylko Barbarę, ale i siebie. Wtedy nie wiedziałem, że zabójca Rosy ma zwierzęcy i nienasycony apetyt, a w zakresie tortur i morderstw jest wszechstronnym artystą.

I nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że go już poznałem, a tym bardziej że z nim rozmawiałem.

Rozdział 43

Horst skosztował ekskluzywnego burgunda, Domaine de la Romance Conti, sprzedawanego w 2001 roku po dwadzieścia cztery tysiące dolarów za butelkę. Poprosił Jana, żeby stuknął się z nim kieliszkiem. To był oczywiście żart, gdyż dzieliła ich odległość prawie tysiąca kilometrów, ale wyposażeni w kamery internetowe doświadczali przyjemnego złudzenia, że siedzą w tym samym pokoju.

Okazją do tego spotkania była zapowiedź Henriego Benoit, że o godzinie dwudziestej drugiej będzie gotowy zaszyfrowany plik od niego, więc Horst zaprosił Jana, swojego wieloletniego przyjaciela, do obejrzenia tego wideo przed wysłaniem go do reszty członków Przymierza.

Na sygnał z komputera Horst podszedł do biurka i zaczął ściągać plik, włączając opcję udostępnienia dla komputera Jana w Amsterdamie.

Obrazy pojawiły się jednocześnie na obydwu ekranach.

Tłem była zalana światłem księżycy plaża. Śliczna naga dziewczyna leżała na plecach na wielkim plażowym prześcieradle. Miała wąskie biodra, małe piersi i krótko ostrzyżone włosy. Białe-czarne kształty i cienie stwarzały melancholijną atmosferę, jakby film kręcono w latach czterdziestych.

— Piękna sceneria i kompozycja — powiedział Jan. — Facet ma oko artysty.

Henri, który ukazał się w kadrze, miał komputerowo obrobioną twarz i elektronicznie zmieniony głos. Przekomarzał się z dziewczyną, czasami nazywając ją „diabełkiem”, to znów pieszczotliwie wymawiając jej imię.

— Interesujące, co? — zwrócił się Horst do Jana. — Dziewczyna w ogóle nie okazuje lęku, a nie wygląda na to, że jest pod wpływem narkotyków.

Roześmiana Julia wyciągała ręce do Henriego, rozkładając nogi. Zrzucił kąpielówki, ukazując duży członek w stanie wzwodu, na co dziewczyna zakryła usta i wpatrywała się w niego z podziwem.

„O mój Boże!”.

Henri nazwał ją „świntuszką”. Jego głos był czuły i żartobliwy. Dwaj widzowie patrzyli, jak kłęka między jej nogami, podciąga w górę jej pośladki i pochyła głowę. Dziewczyna wiała się i kręciła biodrami, palcami nóg rozkopywała piasek.

„Nie mogę wytrzymać, Charlie, błagam, proszę, teraz, już...”.

Jan był zafascynowany.

— Wygląda na to, że Henri chce ją w sobie rozkochać. A może sam się w niej zakochał? Zdaje się, że będzie co oglądać.

— Nie uważasz chyba, że Henri jest zdolny do jakichkolwiek uczuć? — powątpiewał Horst.

Oglądali dalej. Henri głaskał dziewczynę, pieścił, wreszcie wszedł w nią, nie przestając mówić jej, że jest piękna i gorąca. Jęki dziewczyny przeszły w spazmy rozkoszy.

Potem zarzuciła mu ręce na szyję, a Henri całował jej oczy, policzki i usta. W oku kamery ukazała się nagle jego ręka, wielka w zbliżeniu, niemal zasłaniająca dziewczynę. Zniknęła na chwilę, a w następnym ujęciu ta sama ręka trzymała nóż myśliwski. Henri położył nóż na prześcieradle obok dziewczyny.

Horst wychylił się do przodu, z napięciem wpatrując się w ekran. Była ceremonia miłosna, teraz zostanie złożona ofiara, pomyślał, gdy Henri zbliżył twarz do kamery.

„Czy wszyscy są szczęśliwi?”, zapytał Benoit.

Dziewczyna zapewniła, że jest bardzo szczęśliwa. W tym momencie obraz zniknął, ekrany zrobiły się ciemne.

— Co to ma być?! — wykrzyknął Jan wyrwany nagle ze stanu bliższego transu. Horst cofnął film. Przed ich oczami przewinęły się ostatnie sceny i musieli pogodzić się z tym, że to koniec. Przynajmniej dla nich.

— Janie — odezwał się Horst — nasz chłopiec się z nami drażni. Mamy poczekać na gotowy produkt. Sprytne. Bardzo sprytne.

Jan westchnął.

— Nieźle się zabawia za nasze pieniądze.

— Założymy się? Tylko ty i ja? — zaproponował Horst.

— O co mamy się zakładać?

— O to, ile czasu upłynie, zanim go złapią.

Rozdział 44

Była prawie czwarta rano, a ja jeszcze nie spałem, dręczony obrazami zmasakrowanego ciała Rosy Castro i wyobrażaniem sobie, co musiała przeżyć, zanim zakończyła życie w spienionym nurcie pod skałami.

Myślałem o jej rodzicach i McDanielsach, którzy cierpią piekielne katusze, jakich w szczytowych chwilach inspiracji, czy to za dnia, czy nocy, nie potrafiła chyba wykreować bujna imaginacja samego Boscha. Chciałem zadzwonić do Amandy, ale nie zrobiłem tego. Bałem się, że wyrwie mi się coś, czego nie powinna usłyszeć, bo w duchu dziękowałem Bogu, że nie mamy dzieci.

Zerwałem się z łóżka, zapaliłem światło i wyjąłem z lodówki puszkę soku z ananasów, pomarańczy i guajawy. Włączyłem laptop.

Moja skrzynka zappełniła się spamem od czasu, gdy ją ostatnio opróżniałem. Oszczędziłem e-mail od CNN z najświeższym doniesieniem o sprawie Rosy Castro. Szybko przeleciałem wzrokiem tekst. O Kim wspomniano w ostatnim paragrafie.

Wszedłem na stronę CNN i wpisałem w polu wyszukiwania imię i nazwisko Kim, chcąc sprawdzić, czy mają jakieś nowe informacje, ale żadnych świeżych kąsków dla publiki nie było.

Otworzyłem puszkę chipsów Pringles, zjadłem jednego, za to z przyjemnością zrobiłem sobie kawę w hotelowym miniekspresie i wróciłem do szperania w sieci.

Na You Tubie znalazłem kilka filmików z Dougiem Cahillem: jakieś sceny z akademika, wygłupy w szatni przed grą, a nawet scenka z Kim na stadionie podczas meczu. W polu widzenia kamery byli na zmianę Kim i Doug, ona śmieje się i tupie, on w jednym z ujęć niemal wgniata w ziemię Eliego Manninga, rozgrywającego z zespołu New York Giants.

Ta ostatnia scena przemówiła do mojej wyobraźni. Czy Cahill mógł zabić Kim? Łatwo było dojść do wniosku, że facet, który potrafi uderzyć bykiem studwudziestokilogramowego osiłka, jest również zdolny do użycia siły fizycznej wobec stawiającej opór dziewczyny i przez przypadek lub świadomie skrócić jej kark.

Jednak w głębi duszy wierzyłem, że lzy Douga na wizji były szczere i rzeczywiście kocha Kim, a do tego logika podpowiadała, że jeśli ją zabił, miał wystarczające możliwości i dość czasu, żeby skryć się w takim czy innym miejscu na ziemi.

Wróciłem więc do przeglądarki i zająłem się jeszcze raz wyszukiwaniem wiadomości o podejrzanym handlarzu bronią, którego nazwisko podała mi anonimowa donosicielka. Nils Ostertag Bjorn. W wynikach wyszukiwania wyszło to samo co poprzedniego dnia, więc tym razem postanowiłem odwiedzić także strony w języku szwedzkim.

Używając słownika on-line, znalazłem szwedzkie odpowiedniki słów „broń” i „kamizelka kuloodporna”, które naprowadziły mnie na artykuł ze zdjęciem Bjorna sprzed trzech lat.

Zrobione w Genewie, nieupozowane zdjęcie mężczyzny o regularnych, ale mało charakterystycznych rysach twarzy, wysiadającego z ferrari. Spod jego dobrze skrojonego płaszcza wystawał elegancki garnitur z tenisu, w rękę trzymał teczkę od Gucciego. Zaskoczyło mnie, że

Bjorn wygląda na tym zdjęciu inaczej niż na tamtym zbiorowym, zrobionym podczas uroczystego przyjęcia dla biznesmenów w Szwecji. Tutaj miał włosy jasnoblond. Właściwie platynowe.

Kliknąłem na ostatni z wyników wyszukiwania w języku szwedzkim. Do wzmianki o Nilsie Ostertagu Bjornie dołączone było zdjęcie, ale ku swemu zdziwieniu zobaczyłem na ekranie komputera mężczyznę w wojskowym mundurze. Miał około dwudziestu lat, szeroko rozstawione oczy, kwadratową szczękę. To samo imię i nazwisko, lecz twarz w ogóle niepodobna do twarzy z tamtych dwóch innych zdjęć, które oglądałem.

Gdy przetłumaczyłem ze szwedzkiego kluczowe zwroty: „Zatoka Perska” i „ogień nieprzyjaciela”, stało się dla mnie jasne, że natknąłem się na wspomnienie pośmiertne.

Nils Ostertag Bjorn nie żył od piętnastu lat.

Wszedłem pod natrysk i gdy strumienie gorącej wody biły mnie w głowę, próbowałem złożyć do kupy tę łamigłówkę. Czy chodzi o dwóch mężczyzn, którzy mają identyczne imiona i takie samo rzadkie nazwisko? A może ktoś przejął tożsamość nieżyjącego żołnierza i pod jego nazwiskiem zameldował się w hotelu Wailea Princess?

A jeżeli tak, czy ta właśnie osoba porwała i być może zamordowała Kim McDaniels?

Rozdział 45

Henri Benoit obudził się w miękkiej białej pościeli w wytworonym łóżku z baldachimem w hotelu Island Breezes na Lanai.

Julia pochrapywała cicho z twarzą wtuloną w jego pierś. Przedpołudniowe słońce sączyło się przez zwiewne firanki, wielki ocean szumiał zaledwie pięćdziesiąt metrów od okien.

Ta dziewczyna. Ta sceneria. To marzenie każdego filmowca.

Henri delikatnie odgarnął kosmyki włosów z oczu Julii. Jego urocza dziewczyna była w półnarkotycznym śnie, gdyż potraktował ją szczerą porcją tabletek kawa-kawa i valium. Spała głęboko, ale nadszedł czas, żeby ją obudzić na ostatnie ujęcie.

Łagodnie potrząsnął ramieniem Julii.

— Zbudź się, zbudź, mały diabełku. Z trudem otworzyła oczy.

— Charlie? Co jest? Spóźniam się na lotnisko?

— Jeszcze nie. Darować ci jeszcze kwadrans?

Kiwnęła głową, która natychmiast opadła na jego ramię. Henri bezszelestnie wysunął się z łóżka i zabrał do roboty.

Zapalił lampy, wymienił kartę pamięci w aparacie na nową, ustawił kamerę na komodzie, pokręcił obiektywem, szkicując w myśli mające się rozegrać sceny. Zadowolony z siebie, rozwiązał jedwabne sznury

przytrzymujące ciężkie zasłony. W pokoju zapanował półmrok.

Julia cicho jęknęła, gdy układał ją na brzuchu.

— Nie jęcz, to ja, Charlie. — Przywiązał jedną i drugą nogę Julii do prętów ramy starannymi węzłami rypсовymi, a ręce do wezgiłowia łóżka, nie żałując czasu na wypracowanie japońskich węzłów łańcuszkowych, ponieważ pięknie wychodziły na zdjęciach.

Julia westchnęła, zapadając w jeszcze głębszy sen.

Henri pogrzebał w marynarskim worku i wyciągnął z niego plastikową maskę i niebieskie rękawiczki, wyjął z pochwy nóż myśliwski.

Nagi, tylko w masce i rękawiczkach, położył nóż na stoliczku stojącym koło łóżka, następnie uklęknął przy Julii, pogładził japo plecach, zanim uniósł w górę jej pośladki i wszedł w nią od tyłu. Jęczała we śnie, gdy ją posuwał, nie była świadoma jego rozkoszy i nie słyszała pieszczotliwych słów.

Opadł wreszcie na łóżko obok niej i położywszy rękę na jej pośladkach, dyszał ciężko. Odpoczywał przez chwilę, po czym usiadł na niej okrakiem i pociągnął za włosy. Głowa Julii uniosła się kilka centymetrów nad poduszkę.

— Aua! — Julia otworzyła oczy. — Charlie, to boli.

— Przepraszam, będę uważał.

Odczekał moment, zanim lekko przeciągnął nożem po jej karku, zostawiając ciekłą czerwoną linię.

Julia tylko się wzdrygnęła, ale przy drugim nacięciu szeroko otworzyła oczy. Odwróciła głowę do tyłu i jej oczy zrobiły się okrągłe z przerażenia, gdy zobaczyła maskę, nóż i krew. Zaczepnęła powietrza.

— Charlie, co ty robisz?

Dobry nastrój Charliego prysł. Wyobrażał sobie tę scenę inaczej, tymczasem dziewczyna, którą obdarzył miłością, próbuje wszystko zepsuć.

— Na miłość boską, Julio, pokaż trochę klasy.

Julia krzyczała i szarpała się, próbując uwolnić z więzów ręce i nogi. Henri zostawił jej więcej swobody ruchów, niż zamierzał, i gdy się szamotoła, wytrącił mu nóż z ręki. Zanim go podniósł, dziewczyna nabrała powietrza w płuca i wydała z siebie przenikliwy, wibrujący, przeciągły krzyk, jakby grała w horrorze.

Henri nie miał wyboru. Musiał z nią skończyć natychmiast — mniej wdzięcznym, ale równie skutecznym sposobem. Zacisnął ręce wokół jej szyi i zaczął nią potrząsać. Julia dławiła się, brakowało jej powietrza, dusiła się, a Henri, pan jej życia i śmierci, przedłużał agonię, to rozluźniając, to wzmacniając ucisk rąk na jej szyi. Wreszcie znieruchomiała. Nie ruszała się, była martwa.

Dysząc z wysiłku, Henri podszedł do kamery.

Pochylił się w stronę obiektywu, oparł ręce na lekko ugiętych kolanach i wyszczerzył zęby.

— Było lepiej, niż zaplanowałem. Julia dopisała własny scenariusz i skończyliśmy wspólnie spędzony czas prawdziwie dramatycznym efektem. Kocham ją za to. Czy wszyscy są szczęśliwi?

Rozdział 46

Henri był jedną nogą poza kabiną prysznica, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Czy ktoś usłyszał wrzask Julii?

— Dzień dobry, pokojowa! — dobiegł go kobiecy głos.

— Proszę odejść — krzyknął. — Proszę nie przeszkadzać. Jest wieszka na drzwiach.

Zawiązał ciasno pasek szlafroka, podszedł do przeszklonych drzwi w drugim końcu pokoju, rozsunał je i wyszedł na balkon.

Przed jego oczami roztaczała się cudowna sceneria, jakby patrzył na rajski ogród. Ptaki, nie oszczędzając serduszek, wyśpiewywały trele, mieniły się zielenią grządki ananasów, dzieciaki biegły alejkami do basenu, wokół którego chłopcy hotelowi rozstawiali leżaki. Dalej wabił błękitem ocean, a ten doskonały obrazek hawajskiego dnia zalewało jaskrawe słońce.

Nie słyszał żadnych syren. Nie widział żadnych mężczyzn w czerni. Nic nie zapowiadało jakichkolwiek kłopotów.

Wszystko było w porządku.

Wziął komórkę i zadzwonił po helikopter. Wrócił do pokoju, naciągnął koldrę na ciało Julii, dokładnie oczyścił pokój z odcisków palców,

wycierając każdą powierzchnię, każdą klamkę i gałkę. Na czas przebiegania się za Charliego Rollinsa włączył telewizor. Na ekranie powitał go uśmiech Rosy Castro, ślicznej dziewczynki, a potem pojawiły się migawki z Kim z komentarzem, że nie ma nowych informacji, ale śledztwo jest w toku.

Gdzie jest Kim? Gdzież, ach, gdzież może być ta dziewczyna? — pomyślał z ironią.

Spakował sprzęt, rzucił okiem na pokój, sprawdzając, czy przypadkiem czegoś nie przegapił, a na koniec, zadowolony, założył sportowe okulary i baseballówkę, zarzucił na ramię worek i wyszedł z pokoju.

Przechodząc obok wózka hotelowego, zatrzymał się na chwilę przy korpulentnej Mulatce odkurzającej korytarz.

— Jestem z pokoju czterysta dwanaście.

— Czy mogę teraz wejść i posprzątać? — zapytała.

— Nie, jeszcze nie, za parę godzin. — Przeprosił za tę niedogodność i dodał: — Zostawiłem coś dla pani w pokoju.

— Dziękuję — uśmiechnęła się pokojowa.

Henri mrugnął do niej, zszedł schodami do mieniącego się aksamitnie jak pudełko na klejnoty holu, przez który z jednej strony na drugą przelatywały barwne ptaki.

Uregulował rachunek w recepcji, a potem poprosił dozorcę pola golfowego o podwiezienie na lądowisko helikopterów. Gdy wózek golfowy na kilka osób wiozł go przez idealną zieleń pola i zerwał się wiatr, pędząc chmury w stronę oceanu, Henri myślał już o następnym dniu.

Dał napiwek dozorcey, głębiej nasunął na czoło czapkę i pobiegł do helikoptera.

Zapinając pas, wymienił grzeczności z pilotem. Nałożył na uszy słuchawki i gdy śmigłowiec wznosił się w górę, pstryknął kilka zdjęć panasonikiem, jak zrobiłby to każdy turysta. To wszystko oczywiście na pokaz, bo nie był szczególnie zainteresowany wspaniałym krajobrazem wyspy Lanai.

Gdy helikopter wylądował na Maui, Henri wykonał bardzo ważny telefon.

— Pan McDaniels? Pan mnie nie zna. Nazywam się Peter Fisher — przedstawił się, naśladowując akcent Australijczyka. — Mam państwu coś do powiedzenia na temat Kim. Mam również jej zegarek. Rolex.

Rozdział 47

Hotel Kamehameha, zbudowany w pierwszym dziesięcioleciu dwudziestego wieku, wywarł na Levonie wrażenie taniego pensjonatu. Otaczały go skromne bungalowy, od plaży cały teren oddzielała autostrada. Daleko na horyzoncie ślizgali się na falach surferzy, zawsze gotowi na nadejście Największej Fali.

Wchodząc po schodach do głównego budynku, Levon i Barbara musieli uważać, żeby nie potknąć się o nogi czy plecak któregoś z licznych, strudzonych pieszych turystów. W ciemnym holu wyłożonym drewnem unosił się nieprzyjemny zapach stęchlizny, pleśni i najpewniej także marihuany.

Mężczyzna za ladą w recepcji wyglądał, jakby mył się tylko na plaży, i to ze sto lat temu. Miał przekrwione oczy, białe włosy splecione w warkocz, dłuższy chyba niż Barbary, a na sobie poplamiony podkoszulek z naszywką identyfikującą go jako faceta o imieniu Gus.

Levon powiedział mu, że dla siebie i żony zarezerwował pokój na jedną noc, co Gus potwierdził, informując jednocześnie, że wyda klucz po uiszczeniu przez gości pełnej opłaty. Bo tak przewiduje regulamin hotelowy.

Levon dał mu dziewięćdziesiąt dolarów gotówką.

— Nie ma zwrotów, koniec doby w południe, żadnych reklamacji — usłyszał.

— Rozglądamy się za gościem o nazwisku Peter Fisher — powiedział Levon. — Mówi z lekkim akcentem australijskim albo południowoafrykańskim. — Pee-ta Fish-a — powtórzył, naśladowując wymowę tamtego. — Może pan podać mi numer jego pokoju?

Recepcjonista przeglądał listę gości i wprowadzał Levona w hotelowe obyczaje.

— Nie każdy gość się wpisuje. Gdy przychodzą całą paczką, potrzebne mi tylko jedno nazwisko, podpisuje się ten, który płaci. Nie widzę żadnego Petera Fleishera.

— Fishera.

— Tak czy owak, nie mam go. Większość gości je obiad w naszej jadalni. Sześć dolarów za trzy dania. Zapytajcie później, może wasz facet się pojawi.

Gus spojrział teraz uważniej na Levona.

— Poznaję was. Jesteście rodzicami tej modelki, którą zabili na Maui.

Levon poczuł, że gwałtownie skoczyło mu ciśnienie, i zląkł się, czy nie nadszedł właśnie dzień, w którym wykończy go zawał.

— Skąd ta wiadomość? — warknął.

— Pan chyba żartuje? Na okrągło idzie w telewizji. Wszystkie gazety o tym piszą.

— Ona nie umarła — powiedział Levon.

Wziął klucz i wraz z Barbarą zaczęli wchodzić po schodach na trzecie piętro. Otworzył drzwi do odrażającego pokoju: dwa małe łóżka, brudne prześcieradła, na których uwypuklały się zepsute sprężyny materacy, czarny nalot w brodziku, nieprane od lat zasłony, wykładzina, tapicerka i mały dywanik śmierdzące wilgocią i stęchlizną.

Nad umywalką przybita gwoździem wywieszka informowała: „Proszę po sobie sprzątać. Nie ma obsługi hotelowej”.

Barbara spojrzała bezradnie na męża.

— Zejdźmy na dół i zjedźmy obiad. Porozmawiamy z ludźmi. Nie musimy tu siedzieć. Może uda nam się wrócić dzisiaj na Maui — pocieszył ją.

— Jeżeli znajdziemy tego Fishera.

— Oczywiście — odparł Levon, ale w głębi duszy miał wątpliwości, czy Fisher nie zraził się do tej nory i czy w ogóle cała ta sprawa nie jest jakimś niesmacznym żartem czy mistyfikacją, przed którymi ostrzegali ich porucznik Jackson już pierwszego dnia, gdy się spotkali.

Rozdział 48

Henri nigdy nie polegał tylko na przebraniu. Kowbojskie buty, kamera, sportowe okulary mogły zmylić, ale sztuka wcielania się w inną postać to przede wszystkim umiejętność używania odpowiednich gestów i modulowania głosu oraz działanie tego nieuchwytnego „czynnika X”. O mistrzostwie Henriego Benoit jako niedoścignionego kameleona decydował jego talent udawania osoby, którą chciał w danej sytuacji być.

O wpół do siódmej tego wieczoru Henri wkroczył do utrzymanej w stylu rustykalnym sali restauracyjnej hotelu Kamehameha. Ubrany był w dżinsy, lekki, kaszmirowy niebieski sweter z podwiniętymi rękawami i włoskie mokasyny. Na ręku miał złoty zegarek, a na palcu obrączkę. Wizerunek człowieka zamożnego i kulturalnego uwiarygodniały dodatkowo lekko szpakowate włosy i okulary bez oprawek.

Rozejrzał się po niewyszukanym wnętrzu z rzędami stolików i składanymi krzesłami wokół nich, skrzywił się, widząc ladę, gdzie wydawano potrawy. Ustawił się w kolejce i dał sobie nałożyć na talerz jakąś breję, a potem podszedł z tacą do stolika w kącie, gdzie nad nietkniętym posiłkiem siedzieli Barbara i Levon.

— Czy mogę się przysiąść? — zapytał.

— Akurat zbieramy się do wyjścia — powiedział Levon — ale jeżeli jest pan na tyle odważny, żeby jeść to coś, proszę usiąść.

— Co to za paskudztwo? — dziwił się Henri. Odsunął od stolika krzesło obok Levona. — Pokarm zwierzęcy, roślinny czy mineralny?

Levon się zaśmiał.

— Powiedziano mi, że to gulasz wołowy, ale nie musi pan wierzyć mi na słowo.

Henri wyciągnął do niego rękę.

— Andrew Hogan. Z San Francisco.

Levon uściśnął mu rękę, przedstawił Barbarę i siebie.

— Jesteśmy tu jedyni w grupie wiekowej powyżej czterdziestki. Czy wiedział pan, co to za piekielna dziura, kiedy rezerwował pan pokój?

— Prawdę mówiąc, nie zatrzymałem się w tym hotelu. Rozglądałem się tu i tam w poszukiwaniu mojej córki. Laurie właśnie otrzymała dyplom w Berkeley — powiedział skromnie. — Uspokajalem żonę, że córka wraz z paczką przyjaciół wypuściła się na wyprawę z plecakiem, ale niestety od paru dni nie dzwoni. Właściwie od tygodnia. Matka szaleje, bo zbiegło się to ze zniknięciem tej biednej modelki na wyspie Maui.

Henri grzebał widelcem w gulaszu i podniósł głowę, gdy odezwała się Barbara.

— To nasza córka. Kim. Ta zaginiona modelka.

— Jezu Chryste, przykro mi! Tak mi przykro. Nie wiem, co powiedzieć. Jak państwo się trzymają?

— To jest straszne — wyznała Barbara. — Człowiek się modli. Próbuje zasnąć. Stara się nie zwariować.

— Czepiamy się każdego strzępka nadziei — dodał Levon. — Jesteśmy tutaj, ponieważ zadzwonił do nas jakiś człowiek o nazwisku Peter

Fisher. Rzekomo widział Kim tej nocy, gdy zaginęła. Mówił, że zostawiła mu zegarek, który chce nam oddać, i przy okazji powie coś o Kim. W każdym razie wiedział, że Kim miała roleksa. Pan, o ile dobrze usłyszałem, ma na imię Andrew?

Henri kiwnął głową.

— Policja była zdania, że to jakaś brednia, że jest mnóstwo świrów, którzy uwielbiają mieszać ludziom w głowach. Przepytowaliśmy już tutaj różne osoby. Mężczyzny o nazwisku Fisher nikt nie zna. Nie jest zameldowany w tym słynnym Hiltonie o pięknej nazwie Kamehameha.

— Wy też nie powinniście zostać tu na noc — stwierdził Henri. — Pozwolę sobie złożyć państwu propozycję. Wynająłem bungalow dziesięć minut jazdy stąd. Trzy sypialnie, dwie łazienki, jest tam czysto. Dlaczego nie mieliby państwo przenieść się tam? Nie będę czuł się samotny.

— To bardzo uprzejme z pana strony, panie Hogan — powiedziała Barbara — ale nie chcemy się narzucać.

— Proszę mówić do mnie Andrew. Dla mnie to przyjemność. Czy lubicie tajską kuchnię? Znalazłem świetną knajpkę w pobliżu. Co wy na to? Uciekajmy z tej nory i od rana zaczniemy poszukiwania naszych dziewcząt.

— Dziękujemy, Andrew — rzekła Barbara. — To nadzwyczaj uprzejme z twojej strony. Jeżeli pozwolisz zaprosić się na tajską kolację, omówimy to.

Rozdział 49

Barbara obudziła się w ciemności z uczuciem śmiertelnego, paralizującego lęku. Bolały ją wykręcone do tyłu i związane na plecach ręce. Nogi miała spętane pod kolanami i w kostkach. Była wciśnięta w pozycji płodowej w kącie płaskiego schowka, ale ten schowek był w ruchu!

Czy oślepla? Czy jest tu tak ciemno, że niczego nie widzi? Boże drogi, co się dzieje?

— Levon! — wykrzyknęła. Coś poruszyło się za jej plecami.

— Barb? Kochanie? Żyjesz? Nic ci nie jest?

— Och, skarbie, dzięki Bogu, że tu jesteś. Co z tobą?

— Jestem związany. Psiakrew! Gdzie my jesteśmy?

— Wydaje mi się, że jesteśmy w bagażniku jakiegoś samochodu.

Wepchnięci jak kury do skrzynki.

— Boże! W bagażniku?! To Hogan. Hogan nam to zrobił.

Od strony tylnego siedzenia dobiegła stłumiona muzyka.

— Zwariuję. Nic z tego nie rozumiem. Czego on od nas chce, Levonie?

Levon kopnął w pokrywę bagażnika.

— Hej! Wypuść nas! Hej! — Kopnięcie w blachę nic nie dało, nawet

się nie wygięła. Wzrok Barbary zaczynał przyzwyczajając się do ciemności.

— Levonie, spójrz tutaj! Ta dźwigienka to mechanizm zwalniający pokrywę.

Obydwoje przesuwali się centymetr po centymetrze, ścierając sobie policzki i łokcie o ostrą wykładzinę. Barbara zdołała zrzucić buty i pociągnęła za dźwignię palcami stóp. Z łatwością ją poruszyła, ale zamek nie puścił.

— Boże, proszę, błagam, pomóż — modliła się Barbara, ale po chwili dał się słyszeć jej świszczący oddech i krtuszący kaszel. Astma dawała o sobie znać.

— Przeciął kable — stwierdził Levon. — Tylne siedzenie. Spróbujemy wykopać tylne siedzenie.

— I co potem? Przecież jesteśmy związani! — Barbara z trudem oddychała.

Mimo wszystko spróbowali. Nie mogąc jednak użyć całej siły nóg, niczego nie osiągnęli.

— Niech to diabli! — zaklął Levon.

Barbara raz za razem z wysiłkiem łapała powietrze, próbując nie dopuścić do ostrego ataku duszności. Dlaczego Hogan ich porwał? Dlaczego? Co ma zamiar z nimi zrobić? Czemu ma służyć ich porwanie?

Levon wpadł na nowy pomysł.

— Czytałem gdzieś, że można wykopać tylne światła. Wysuwa się rękę przez otwór i macha, ktoś wreszcie to zauważy. Jeżeli rozwalimy lampę, być może jakiś policyjny patrol za trzyma auto. Próbuje, Barb.

Barbara kopnęła z całej siły i plastik się roztrzaskał.

— Teraz ty! — krzyknęła.

Levon wybił tylne światło od swojej strony. Barbara przekręciła się tak, że zbliżyła twarz do resztek rozbitego szkła i do przewodów. Widziała czarną nawierzchnię uciekającą pod kołami. Gdyby samochód

się zatrzymał, była szansa na to, że ktoś usłyszy ich wołanie o pomoc. Przesłali być bezbroni. Obydwoje żyją i mają zamiar walczyć!

— Co to za dźwięk? Sygnał komórki? W bagażniku? — zdziwił się Levon.

Barbara zobaczyła koło swoich stóp jasną plamę wyświetlacza.

— Wydostaniemy się stąd, skarbie! — wykrzyknęła. — Hogan popełnił błąd.

Z trudem zdołała dosięgnąć telefonu palcami rąk, ale przebrzmiał już drugi sygnał. Na oślep macała kolejne przyciski, wreszcie trafiła palcem na przycisk odbioru.

— Włączony — wysapała.

— Halo! Halo! Kto mówi? — krzyczał na całe gardło Levon.

— Panie McDaniels, to ja, Marco. Z Wailea Princess.

— Marco! Dzięki Bogu. Musisz nas zlokalizować. Zostaliśmy porwani.

— Przykro mi. Wiem, że nie jest wam wygodnie tam z tyłu. Zatrzymam się i za chwilę wszystko wyjaśnię.

Przerwał połączenie. Samochód zaczął hamować.

Rozdział 50

Henri czuł w skroniach tętno. Skok adrenaliny, tak jak lubił. Był w stanie pełnej koncentracji i psychicznej gotowości, by kontrolować sceny, jakie miały się za chwilę rozegrać.

Rozejrzał się jeszcze raz, rzucił okiem na ciągnące się z przodu i z tyłu auta pasmo drogi, objął wzrokiem sto osiemdziesiąt stopni linii plaży. Zadowolony, że wybrał pusty teren, wyciągnął z tylnego siedzenia worek marynarski, odszedł parę kroków i cisnął go w krzaki.

Wrócił do sedana, okrążył auto, spuszczać powietrze z każdej opony, żeby obniżyć ciśnienie do jednej czwartej zwykłej wartości. Obchodząc auto od tyłu, poklepał pokrywę bagażnika. Skończywszy z oponami, otworzył drzwi od strony pasażera, wyjął ze skrytki i wyrzucił na podłogę umowę wynajmu auta, a do ręki wziął dwudziestokilkucentymetrowy składany sztylecik. Pasował do dłoni, jakby był z nią zrośnięty.

Wyciągnął kluczyki ze stacyjki i gdy otworzył bagażnik, światło księżycy padło na Levona i Barbarę.

— Czy wszyscy zdrowi w tej karecie? — zapytał drwiąco.

Ciszę rozdarł przeraźliwy krzyk Barbary, który nie miałby końca, gdyby Henri nie pochylił się i nie przyłożył jej noża do gardła.

— Barb, przestań zawodzić. Nikt cię nie słyszy, tylko ja i Levon, więc przestań histeryzować, dobrze? Nie podoba mi się ten wrzask.

Krzyk się urwał, Barbara zaniosła się astmatycznym kaszlem i rozszlochała.

— Co ty, do cholery, wyprawiasz, Hogan? — Levon przekręcił się tak, żeby widzieć twarz porywacza. — Jestem rozsądnym człowiekiem, potrafię ocenić sytuację. Wyjaśnij, o co chodzi.

Henri przyłożył dwa palce pod nos, co miało imitować wąsy, i odezwał się nagle zmienionym głosem, głębszym i grubszym.

— Oczywiście, panie McDaniels, wszystko wyjaśnię. Zawsze jestem do pańskich usług.

— Jezu Chryste! Ty jesteś Marco!? Ty to Marco. Nie chce mi się wierzyć. Jak mogłeś nas tak przestraszyć? Czego chcesz?

— Chcę, żebyście zachowywali się grzecznie. Obydwoje. Jeżeli będziecie sprawiali kłopoty, nie będę przebierał w środkach. Za grzeczne sprawowanie przeniosę was do pierwszej klasy. Umowa stoi?

Henri przeciął nylonowe linki na nogach Barbary, pomógł jej wydstać się z bagażnika i usiąść na tylnym siedzeniu. Wrócił po Levona, jemu też przeciął więzy na nogach i posadził koło Barbary. Unieruchomił ich na siedzeniu, zapinając pasy bezpieczeństwa.

Po tym wszystkim usiadł za kierownicą. Zablokował drzwi, włączył wewnętrzne oświetlenie, włożył rękę za wsteczne lustro, gdzie zainstalował kamerę wideo, i uruchomił tryb nagrywania.

— Mam na imię Henri, tak możecie do mnie mówić — oznajmił McDanielsom, którzy utkwili w nim nieruchome spojrzenia. Sięgnął do kieszeni wiatrówki, wydobył z niej elegancki zegarek z bransoletką i potrzymał go w górze.

— Widzicie to cacko? Zegarek Kim. Jak obiecałem. Rolex. Rozpoznajecie go?

Wepchnął zegarek do górnej kieszeni marynarki Levona.

— A teraz chciałbym wam wyjaśnić, co się dzieje i dlaczego muszę was zabić. A może macie jakieś pytania?

Rozdział 51

Kiedy obudziłem się rano i nastawiłem telewizor na lokalne wiadomości, ujrzałem na ekranie przejmująco piękną twarz Julii Winkler i pasek z napisem tłustą czcionką: *Znaleziono ciało supermodelki*.

Czy to możliwe, że Julia Winkler nie żyje?

Wcisnąłem przycisk głośności i zeszywniałem, siedząc na łóżku i wpatrując się w ekran, na którym pojawiły się Kim i Julia pozujące razem dla „Sporting Life”, roześmiane i tryskające życiem.

Nie spuszczałem oka z telewizora, wchłaniając szokujące szczegóły: ciało Julii Winkler znaleziono w pokoju hotelowym pięciogwiazdkowego Island Breezes na wyspie Lanai. Pokojowa biegła przez hotel, krzycząc, że uduszono kobietę, że widziała siniaki na jej szyi, że cała pościel jest zakrwawiona.

Potem nadano wywiad z kelnerką, Emmą Laurent. Obsługiwała stoliki w Club Room i rozpoznała Julię Winkler. Jadła kolację w towarzystwie przystojnego gościa po trzydziestce, mówiła Laurent. To był biały mężczyzna z kasztanowymi włosami, dobrze zbudowany.

— Na pewno chodzi na siłownię — zakończyła.

W restauracji podpisał rachunek na konto pokoju czterysta dwanaście, wynajętego na nazwisko Charlesa Rollinsa. Rollins zostawił kelnerce duży napiwek, a Julia dała jej swój autograf z osobistym wpisem: *Dla Emmy od Julii*. Emma przytrzymała przed obiektywem serwetkę z autografem.

Wyciągnąłem z lodówki puszkę soku i błyskawicznie ją wyłopałem, obserwując sceny nadawane na żywo sprzed hotelu Island Breezes. Wozy policyjne i innych służb obstawiły teren, słychać było trzaski radiostacji. Przed kamerą stał reporter miejscowej filii NBC.

Kevin de Martine miał dobrą reputację, w 2004 roku nadawał reportaże z Iraku jako dziennikarz akredytowany przy jednostce wojskowej. Stał tyłem do bariery policyjnej, krople deszczu osiadały mu na włosach i brodzie, w tle dramatycznie powiewały pierzaste liście palm.

„Podaję fakty — powiedział de Martine. — Dziewiętnastoletnia supermodelka Julia Winkler, która dzieliła pokój w Wailea Princess z Kimberley McDaniels, wciąż uważaną za zaginioną, została znaleziona martwa dziś rano w pokoju hotelowym wynajętym na nazwisko Charlesa Rollinsa z miejscowości Loxahatchee w stanie Floryda”.

Dalej de Martine informował, że Charles Rollins opuścił pokój hotelowy, jest poszukiwany w celu przesłuchania i każda informacja dotycząca jego osoby powinna być zgłoszona na numer podany na dole ekranu.

Próbowałem przetrwać tę makabryczną historię. Julia Winkler nie żyje. Jest podejrzany o morderstwo, ale zniknął. Policja go szuka.

Rozdział 52

Telefon zadzwonił tuż przy moim uchu. Aż zadygotałem. Złapałem słuchawkę.

— Levon?

— Tu Aronstein. Twój bankomat. Rozpracowujesz tę historię z Winkler?

— Jasne. Siedzę po uszy w tej sprawie, szefie. Odłóż słuchawkę i pozwól mi pracować, dobrze?

Znowu spojrzałem w telewizor. Na ekranie pojawili się miejscowi prezenterzy, Tracy Baker i Candy Ko'olani, a w rogu okienka nowa twarz, John Manzi, specjalista z Waszyngtonu od psychologicznych portretów zabójców.

„Czy można łączyć te dwa zabójstwa, Rosy Castro i Julii Winkler? Czy sprawcą jest seryjny morderca?” — zadał pytanie Baker.

Nabrzmiałe grozą, przerażające słowa. Seryjny morderca. Przypadek Kim nabiera globalnego rozgłosu. Oczy całego świata będą zwrócone na Hawaje, śledząc tajemnicę śmierci dwóch pięknych dziewcząt.

Były agent Manzi, szarpiąc się za ucho, wyjaśniał, że seryjni zabójcy zostawiają zwykle na miejscu zbrodni swój podpis, ponieważ zabijają ofiary tą samą metodą.

„Rosa Castro dusiła się, bo miała przeciągniętą wokół szyi linę — mówił. — Jednak faktyczną przyczyną jej śmierci było utonięcie. Nie ma jeszcze wyników sekcji Julii Winkler, więc opieram się tylko na zeznaniach naocznych świadków, a z tych wynika, że modelka została uduszona rękami. Za wcześniej, by mówić, że te dwa zabójstwa popełniła ta sama osoba. Duszenie rękami to bardzo osobista, emocjonalna sprawa. Dostarcza mordercy szczególnej satysfakcji, ponieważ w odróżnieniu od zabijania wystrzałem z broni, pozwala czerpać przyjemność z przedłużającej się agonii ofiary”.

Kim, Rosa, Julia. Czy to był zbieg okoliczności, czy rozprzestrzeniający się pożar? Bardzo chciałem porozmawiać z Levonem i Barbarą, zanim zobaczą na wizji relację o zamordowaniu Julii Winkler. Niestety, nie wiedziałem, gdzie są.

Barbara zadzwoniła do mnie poprzedniego ranka z wiadomością, że wybierają się na wyspę Oahu, żeby sprawdzić jakiś trop, który jest prawdopodobnie zwodniczy. Od tamtego czasu nie odezwali się do mnie.

Ściszyłem telewizor, wystukałem numer komórki Barbary i gdy nie odebrała, zadzwoniłem do Levona. Również nie odebrał. Zostawiłem wiadomość i spróbowałem połączyć się z ich kierowcą, ale nagrany głos Marca przekierował mnie na pocztę głosową, więc podałem swoje nazwisko z prośbą o natychmiastowy telefon w pilnej sprawie.

Wziąłem prysznic i ubrałem się szybko, a w głowie kłębiły mi się najróżniejsze myśli i narastał niepokój, że jest coś ważnego, co umyka mojej uwagi, ale nie potrafiłem tego zdefiniować. Jakbym walczył z końską muchą, która ucieka spod packi. Albo jakbym czuł zapach ulatniającego się gazu i nie mógł ustalić źródła wycieku. Co to może być?

Jeszcze raz nagrałem się na skrzynkę głosową Levona i zadzwoniłem do Eddiego Keoli. Powinien wiedzieć, gdzie są Barbara i Levon.

Za coś mu przecież płacą.

Rozdział 53

- Tu Keola — usłyszałem warknięcie Eddiego.
- Mówi Ben Hawkins. Oglądałeś wiadomości? — zapytałem.
- Gorzej. Widziałem wszystko na własne oczy.

Keola powiedział, że gdy tylko wiadomość o śmierci Julii Winkler wyciekła z policji, natychmiast pojechał do hotelu Island Breezes. Był na miejscu, gdy wynoszono ciało, i na gorąco rozmawiał z glinami.

— Zamordowano dziewczynę, która mieszkała z Kim w jednym pokoju. Aż trudno w to uwierzyć — rzekł.

Powiedziałem mu, że nie mogę się dodzwonić do McDanielsów ani do ich kierowcy, i zapytałem, czy wie, gdzie są Barbara i Levon.

— W jakiejś spelunie na wschodnim wybrzeżu Oahu. Barbara nie potrafiła podać mi nazwy tego miejsca.

— Może dostają paranoi — powiedziałem Keoli — ale mam złe przeczucia. To do nich niepodobne, żeby świadomie unikali kontaktu.

— Spotkajmy się za godzinę w ich hotelu — zaproponował Keola.

Do Wailea Princess dotarłem tuż przed ósmą. Podchodziłem do recepcji, gdy usłyszałem Keolę wołającego mnie po nazwisku. Podbiegł do mnie truchtem przez przestronny hol. Jego utlenione włosy były wilgotne i potargane przez wiatr, a twarz zdradzała zmęczenie.

Szef dziennej zmiany, młody mężczyzna w krawacie za sto dolarów, do niebieskiej gabardynowej marynarki miał przyczepiony identyfikator z nazwiskiem „Joseph Casey”. Rozmawiał przez telefon. Gdy się rozłączył, przedstawiliśmy mu nasz problem: nie możemy odnaleźć dwóch jego hotelowych gości i wynajętego dla nich przez hotel kierowcy. Powiedziałem, że niepokoimy się, czy państwo McDanielsowie są bezpieczni.

Casey pokręcił głową.

— Nie zatrudniamy żadnych kierowców ani nie wynajmowaliśmy nikogo do wożenia pani i pana McDanielsów. Nikogo o nazwisku Marco Benevenuto. W ogóle nikogo. Nie robimy tego, nigdy nie świadczymy takich usług.

Zaniemówiłem i stałem zaszokowany z otwartymi ustami. Wyręczył mnie Keola:

— Dlaczego ten facet miałby przedstawiać się państwu McDanielsom jako kierowca wynajęty i opłacany przez hotel?

— Nie znam człowieka — odpowiedział Casey. — Nie mam pojęcia, jaki miał w tym interes. Jego zapytajcie.

Keola pokazał mu legitymację detektywa, wyjaśnił, że jest zatrudniony przez McDanielsów i poprosił o możliwość obejrzenia ich apartamentu.

Uzyskawszy potwierdzenie tożsamości Keoli u ochrony hotelu, Casey wyraził zgodę. Ja wzięłem książkę telefoniczną i usadowiłem się w holu na miękkim fotelu. Nim Keola wrócił i opadł ciężko na fotel obok, zdążyłem obdzwonić wszystkie pięć punktów wynajmu limuzyn na Maui.

— W żadnym z nich nikt nigdy nie słyszał o niejakim Marcu Benevenuto — poinformowałem Keolę. — Faceta o takim nazwisku w ogóle nie ma w spisie telefonów.

— Apartament McDanielsów wygląda tak, jakby nikt w nim nie mieszkał — oznajmił Keola.

— Co się, do cholery, dzieje? — zapytałem z pretensją w głosie. — Barbara i Levon wyjechali z miasta, a ty nie wiesz dokąd?

Tak naprawdę zabrzmiało to jak oskarżenie, chociaż nie taka była moja intencja. Niestety, dopadła mnie panika, sięgnęła już punktu krytycznego i wciąż narastała. Wskaźnik przestępczości na Hawajach jest niski, a teraz w ciągu tygodnia zamordowano dwie dziewczyny. Kim wciąż jest zaginiona, a jej rodzice i ich kierowca również zniknęli.

— Przekonywałem Barbarę, że to ja powinienem podążyć tropem wiodącym na Oahu — usprawiedliwiał się Keola. — Wiem, że te przystanki dla turystów to dzikie miejsca, jednak Levon nie chciał mnie słuchać. Orzekł, że lepiej wykorzystam czas, szukając Kim tutaj.

Keola szarpał za pasek od zegarka i przygryzał wargi. Czuliśmy się fatalnie. Dwaj ekspolicjanci, bez zaplecza technicznego i daru jasnowidzenia, podejmujący rozpaczliwe wysiłki wydedukowania czegoś z niczego.

Rozdział 54

Lobby hotelu Wailea Princess powoli zamieniało się w cyrk o trzech arenach. Hałaśliwa grupa niemieckich turystów ustawiała się w kolejce do recepcji, stado dzieciaków oblegało ogrodnika, usiłując wyprosić karmienie karpików koi, w jeszcze innym miejscu wyświetlano filmy i slajdy oraz puszczano rodzimą muzykę, reklamując turystom tutejsze atrakcje.

Eddie Keola i ja moglibyśmy równie dobrze mieć na głowach czapki niewidki. Nikt nie zwracał na nas uwagi.

Skupiłem się i zacząłem porządkować fakty, szukając związków między postaciami dramatu: Rosą i Kim, Kim i Julią, kierowcą Markiem Benevenuto, który okłamywał mnie i McDanielsów. A McDaniel-sowie zniknęli.

— Co o tym wszystkim myślisz, Eddie? Czy należy te sprawy ze sobą wiązać? A może za bardzo się gorączkuję i puszczam wodze wyobraźni?

Keola westchnął głośno.

— Prawdę powiedziawszy, Ben, to mnie przerasta. Nie patrz na mnie jak na proroka. Obsługuję zdradzanych mężów. Walczę o wypłaty z ubezpieczenia. Co ty sobie myślisz? Że Maui to Los Angeles?

— Popracuj trochę nad swoim przyjacielem Jacksonem. Dlaczego tego nie zrobisz?

— Zrobię to. Zmuszę go, żeby skontaktował się z departamentem policji na Oahu, niech wezmą się do poszukiwań Barb i Levona. Jeżeli ich nie przyciśnie, pójdę wyżej. Mój ojciec jest sędzią.

— To się cholernie dobrze składa.

Keola obiecał, że do mnie zadzwoni, wstał i zostawił mnie siedzącego z telefonem na kolanach. Spojrzałem przez otwarty hol na niebieskawozielone morze. Przez poranną lekką mgiełkę widziałem zarysy Lanai, gdzie brutalnie odebrano życie Julii Winkler.

W Los Angeles była zaledwie piąta rano, ale musiałem porozmawiać z Amandą.

— Ttaak, motylku? — wymamrotała.

— U mnie paskudnie, pszczołko.

Opowiedziałem jej ostatnie horrory i zwierzyłem się, że wzdłuż mojego kręgosłupa ścigają się ogromne pająki i nie mogę się pozbyć tego koszmarnego uczucia, ale natychmiast zapewniłem Amandę, że od trzech dni nie wypilem niczego mocniejszego niż sok z guajawy.

— Kim dałaby do tego czasu znak życia, gdyby mogła — powiedziałem Amandzie. — Nie wiem kto i gdzie, dlaczego i kiedy, i jak, ale przysięgam na Boga, że wiem, co się stało.

— Seryjny morderca w raju na ziemi. Na taką historię czekałeś. Materiał na książkę.

W tym momencie prawie jej nie słuchałem. Myśl dręcząca mnie od dwóch godzin, czyli od obejrzenia wiadomości telewizyjnych, rozbłysła nagle w moim umyśle czerwonym neonem. Charles Rollins. Nazwisko mężczyzny, z którym widziano Julię Winkler.

Znałem to nazwisko.

Poprosiłem Amandę, żeby chwilę poczekała, wydobyłem portfel z tylnej kieszeni spodni i z plastikowej przegródki wyjąłem wizytówkę.

— Mandy!

— Jestem tu, jestem.

— Fotograf o nazwisku Charles Rollins podszedł do mnie na plaży, gdzie znaleziono Rosę Castro. Pracuje w „Talk Weekly Magazine”, lokalnym tygodniku w Loxahatchee na Florydzie. Głiny uważają, że był ostatnią osobą, która widziała Julię Winkler żywą. Na razie jest nieuchwytny.

— Rozmawiałeś z nim? Potrafiłbyś go rozpoznać?

— Być może. Chcę cię prosić o przysługę.

— Mam włączyć laptop?

— Tak, proszę.

Czekałem, przyciskając komórkę do ucha tak mocno, że słyszałem szum spuszczonej w Los Angeles wody. W końcu powrócił głos mojej ukochanej.

Odchrząknęła.

— Benji, jest czterdzieści stron Charlesów Rollinsów w Google, to będzie około dwóch tysięcy gości o takim imieniu i nazwisku, w tym stu na Florydzie. Nie ma w wynikach wyszukiwania czasopisma „Talk Weekly”. Ani w Loxahatchee, ani nigdzie indziej.

— Niech to diabli, wyślij mu e-maila.

Podaliśmy jej adres e-mailowy Rollinsa i podyktowałem wiadomość. Upłynęło niewiele czasu, usłyszałem głos Amandy.

— Wróciło, Benji. Mailer-Daemon. Nie ma takiego adresu. Co teraz?

— Zadzwoń później. Muszę iść na policję.

Rozdział 55

Henri siedział w odległości dwóch rzędów od kokpitu w nowiutkim wyczarterowanym odrzutowcu, prawie pustym. Obserwował przez okno, jak lśniący niewielki samolot podrywa się z pasa startowego i wznosi w górę ku białoniebieskiemu niebu nad Honolulu.

Sączył szampana i czekał na zaproponowany przez stewardesę kawior na tostach, a kiedy pilot odwołał nakaz siedzenia w zapiętych pasach, położył na stoliczku przed sobą laptop i go uruchomił.

Minikamera, którą przymocował do wstecznego lusterka, poszła oczywiście na straty, ale zanim zalała ją morska woda, przesłała film wideo do jego komputera.

Henri nie mógł się doczekać chwili, kiedy będzie mógł obejrzeć materiał zdjęciowy.

Włożył słuchawki do uszu i otworzył plik mtv.

Omam nie wykrzyknął z podziwu. Sceny, jakie odślaniały się na ekranie jego komputera, urzeżały. Wnętrze samochodu było dyskretnie oświetlone, ciepły blask górnej lampki padał na twarze Barbary i Levona, jakoś dźwięku była bez zarzutu.

Henri siedzący na przednim fotelu nie był objęty zasięgiem kamery. Pozostawał niewidoczny. Żadnej maski. Żadnego komputerowego zniekształcania twarzy. Bezcielesny głos — czasami głos Marca, a czasami Andrew Hogana — torturował psychicznie ofiary.

— Mówiłem Kim, że jest piękna, gdy się z nią kochałem. I dałem jej coś do wypicia, żeby nie czuła bólu. Tak się z nią obchodziłem. Wasza córka była uroczą osobą, słodką. Nie powinniście myśleć, że w jakikolwiek sposób zasłużyła sobie na okrutną śmierć.

— Nie wierzę, że ją zabiłeś — powiedział Levon. — Jesteś świrem. Patologicznym kłamcą.

— Dałem ci jej zegarek, Levonie... ale jeśli chcesz więcej, to proszę, spójrz na to...

Otworzył telefon komórkowy i pokazał im zdjęcie głowy Kim z jego ręką trzymającą ją za piękne blond włosy.

— Chcę, żebyście mnie zrozumieli. — Na tle okrzyków rozpaczycy Barb i Levona musiał mówić głośniej. — To jest biznes. Ludzie, dla których pracuję, płacą mi duże pieniądze, żeby oglądać, jak umierają ich bliźni.

Barbara dusiła się i lkała, błagając, by przestał ich torturować, ale Levon, choć doświadczał takiego samego piekła bólu i rozpaczycy, myślał jeszcze o próbie ratowania życia ich obojga.

— Wypuść nas, Henri. Nie wiemy, kim jesteś. Nie jesteśmy w stanie zrobić ci krzywdy.

— Nic do was nie czuję, Levonie, nie chcę was zabić. Widzisz, chodzi o pieniądze. Zarabiam, zabijając.

— Dam ci pieniądze — powiedział Levon. — Przebiję ofertę tamtych ludzi. Dam radę!

Włączyła się Barbara, błagając o darowanie im życia z uwagi na ich synów. W odpowiedzi dał się słyszeć głos Henriego, który zapowiedział, że to już koniec.

Niewidoczny kierowca nacisnął pedał gazu, miękkie opony potoczyły się gładko po piachu i auto zderzyło się z falą. W odpowiednim momencie Henri wysiadł z samochodu i szedł obok, póki woda nie sięgnęła do przedniej szyby.

Kamera umieszczona wewnątrz i skierowana na tylne siedzenie rejestrowała błagania uwięzionych, wodę chlupoczącą wewnątrz na poziomie okien i podnoszącą tylne siedzenie, na którym siedzieli obydwoje ze związanymi z tyłu rękami, unieruchomieni w pasach bezpieczeństwa.

Postanowił dać im cień nadziei.

— Zostawiam wewnątrz światło, kamera będzie mogła za rejestrować wasze pożegnanie, ale niewykluczone, że ktoś dostrzeże z drogi światełko na wodzie i pospieszy wam na ratunek. Na waszym miejscu nie traciłbym nadziei. Módlcie się o wybawienie.

Henri odtworzył w myślach dalszy ciąg. Przypomniał sobie, że życzył im szczęścia, zanim się odwrócił i poszedł przez wodę w stronę brzegu. Na plaży stanął pod palmami i obserwował samochód. Woda przykryła go całkowicie w ciągu trzech minut. Szybciej, niż można było przypuszczać. Jakby Bóg okazał litość. Może jednak Bóg istnieje? — pomyślał wtedy.

Gdy światełko przestało mrugać, wyciągnął worek i przebrał się, a potem stanął na poboczu drogi i czekał na okazję.

Zamknął laptop, dopił szampana i wziął z ręki stewardesy menu. Wybrał kaczkę z pomarańczami, założył na uszy słuchawki Bose i wybrał do posiłku Brahmsa. Łagodna, piękna, doskonała muzyka.

Ostatnie dni były wręcz cudowne, wyjątkowe, każda minuta przynosiła jakiś dramatyczny zwrot. Fascynująca kulminacja wydarzeń w jego życiu.

Do tego mógł być pewien, że wszyscy będą szczęśliwi.

Rozdział 56

Po kilku godzinach lotu Henri znalazł się w poczekalni dla pasażerów pierwszej klasy na lotnisku LAX. Pierwszy etap podróży upłynął przyjemnie, miał nadzieję na równie sympatyczny lot do Bangkoku.

Umył ręce, w lustrze przyjrzał się uważnie swemu nowemu wcieleniu: szwajcarski biznesmen mieszkający w Genewie. Miał krótkie platynowe włosy, na nosie okulary w dużych rogowych oprawkach, które nadawały mu wygląd erudyty, i garnitur za pięć tysięcy dolarów. Całości dopełniały buty zrobione na zamówienie.

Wysłał właśnie Podglądaczom kilka kadrów z ostatnich chwil życia McDanielsów i cieszyła go myśl, że jutro o tej porze jego rachunek w genewskim banku zostanie powiększony o pokaźną kwotę w euro.

Wyszedł z toalety, usiadł w miękkim szarym fotelu w poczekalni, a na fotelu obok położył teczkę. Rozpoczynał się serwis *Z ostatniej chwili*. Popularna prezenterka, Gloria Roja, relacjonowała sprawę morderstwa, które określiła jako „budzące powszechną grozę i wściekłość”.

„Ciało młodej kobiety z obciętą głową zostało znalezione w jednym z bungalowów przy plaży na wyspie Maui — mówiła. — Źródła bliskie

policii przekazały nam informację, że ofiara nie żyje od kilku dni”.

Gloria Roja odwróciła się bokiem do widzów i spojrzała na wielki ekran za sobą, zapowiadając relację na żywo z Maui, prowadzoną przez reporterkę Kai McBride.

„Tego ranka właścicielka kempingu przy plaży, pani Maura Aluna, znalazła ciało młodej kobiety bez głowy — relacjonowała McBride. — Pani Aluna zeznaje, że domek wynajęła jakiemuś mężczyźnie przez telefon, pobierając opłatę z jego karty kredytowej. W tej chwili czekamy na porucznika Jacksona z departamentu policji w Kihei, który złoży odnośne oświadczenie”.

McBride odwróciła się nagle tyłem do kamery.

„Glorio, porucznik Jackson wychodzi właśnie z bungalowu”. Pobiegła w jego stronę, a fotograf w ślad za nią.

„Poruczniku Jackson, panie poruczniku, proszę poświęcić nam minutę”.

Kamera najechała na Jacksona.

„Nie mam w tej chwili żadnego komunikatu dla prasy”.

„Mam tylko jedno pytanie, poruczniku”, nalegała McBride.

Henri pochylił się do przodu, zafascynowany dramaturgią sytuacji. Obserwował oto rozwinięcie własnego scenariusza w rzeczywistym czasie. Nie wierzył, że naprawdę mogło mu się trafić coś takiego. Wystarczy, że wyszuka w sieci ten program i wklei fragmenty do swojego filmu. Będzie miał na taśmie całą hawajską sagę — początek, rozwój akcji, fenomenalne zakończenie i te kadry jako epilog.

Henri musiał się powstrzymywać, żeby w euforii nie zaczepić gościa siedzącego dwa fotele dalej i nie wykrzyknąć do niego: „Widzi pan tego glinę? To porucznik Jackson. Jest zielony na twarzy. Wygląda na to, że zaraz zwymiotuje”.

Na ekranie reporterka nie dawała za wygraną.

„Poruczniku Jackson, czy to Kim? Czy znaleziono ciało tej supermodelki Kim McDaniels?”.

Jackson odezwał się niechętnie, jakby potykał się o kolejne zdania.

„Żadnych komentarzy... na temat tego. Jesteśmy w trakcie... czegoś. Mamy mnóstwo pilnych rzeczy... do wykonania. Proszę zabrać tę kamerę. Nigdy nie komentujemy śledztwa w toku, pani McBride. Doskonale pani o tym wie”.

Kai McBride spojrzała w obiektyw kamery.

„Pozwolę sobie na śmiałe twierdzenie, że porucznik Jackson, odrzucając piłkę w moją stronę z dopiskiem »bez komentarza«, potwierdza tylko moje domysły, Glorio. Czekamy na potwierdzenie tożsamości ofiary, którą jest Kim McDaniels. Z Maui relacjonowała Kai McBride”.

Rozdział 57

Przy odpływie dach samochodu wyglądał jak skorupa ogromnego żółwia. Zauważył go jakiś entuzjasta porannego joggingu i zawiadomił policję. System szybkiego reagowania zadziałał błyskawicznie.

Gdy ja z Keolą znaleźliśmy się na miejscu, dźwig podniósł już w górę pełen wody samochód i opuszczał go na plażę. Ratownicy ze straży pożarnej i SAR oraz policjanci z Maui i Oahu stali w kilku grupkach na piasku i patrzyli na Pacyfik wylewający się strugami z podwozia na piasek.

Jeden z policjantów otworzył tylne drzwi auta.

— Widzę dwoje denatów przypiętych pasami bezpieczeństwa — oznajmił. — Jezu Chryste! Rozpoznaję ich. To McDanielsowie. Rodzice.

Ścisnął mi się żołądek i bluznąłem stekiem niecenzuralnych wyrazów. Trochę belkotałem, bo dławilem się podchodzącą mi do gardła żółcią i usiłowałem powstrzymać wymioty.

Staliśmy za żółtą taśmą, która biegła od wyrzuconego przez morze pniaka do oddalonej o prawie trzydzieści metrów czarnej skały. Dobrze było mieć Keolę obok siebie. Nie tylko umożliwiał mi wejście na miejsce zbrodni i uzyskanie niejawnych informacji ze śledztwa, ale

stał się w tych dniach jakby młodszym bratem, którego nigdy nie miałem.

W rzeczywistości w ogóle nie byliśmy do siebie podobni, ale w tym momencie obydwaj wyglądaliśmy jak dwa zafajdane dupki.

Nadjeżdżały nowe pojazdy, niektóre z włączonymi syrenami, wszystkie ostro hamowały, zwalniając na biegnącej nad plażą wyboistej drodze, teraz zamkniętej dla ruchu z powodu remontu. Z czarnych aut typu SUV wysypali się funkcjonariusze w kurtkach oznakowanych FBI.

Podszedł do nas zaprzyjaźniony z Keolą glina.

— Niewiele wiem, mogę wam tylko powiedzieć, że dwa dni temu widziano McDanielsów w sali jadalnej hotelu Kamehameha. Siedzieli przy jednym stoliku z jakimś gościem. To był biały mężczyzna, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, miał szpakowate włosy i okulary. Wyszli razem z nim, i to wszystkie informacje, jakie zebraliśmy. Taki opis pasuje praktycznie do każdego.

— Dziękuję ci — powiedział Eddie.

— To tyle. A teraz, chłopcy, musicie stąd odejść.

Wspięliśmy się na piaszczystą wydnię i wsiedliśmy do jepea Eddiego.

Byłem zadowolony, że stamtąd poszliśmy.

Nie chciałem oglądać zwłok tych dwojga ludzi, na których losie zaczęło mi tak bardzo zależeć. Eddie podwiózł mnie do Marriotta i usiedliśmy na chwilę w holu, żeby przetrwać sprawę.

Śmierć każdej z osób włączonych w tę serię zabójstw była przemyślana, wykalkulowana, dokonana przez artystę w sztuce zabijania, inteligentnego i doświadczonego mordercę, niepozostawiającego żadnych tropów. Współczułem ludziom, którzy będą musieli rozwiązać tę kryminalną zagadkę. Bo mnie to już nie dotyczyło, gdyż Aronstein dał sygnał, że skończyły się moje bezpłatne wakacje na Hawajach.

- O której godzinie masz lot? — spytał Keola.
- Około czternastej.
- Podrzucić cię na lotnisko? Zrobię to z przyjemnością.
- Dziękuję, ale i tak muszę zwrócić samochód.
- Przykro mi, że tak to się skończyło.
- Mamy do czynienia z jednym z tych przypadków, które albo pozostają niewyjaśnione, albo wyjaśniają się po upływie kilkunastu lat — powiedziałem. — Dzięki wyznaniu na łożu śmierci albo układowi z więziennym kapusiem.

Pożegnałem się z Eddiem, spakowałem swoje rzeczy i wymeldowałem z hotelu. Wracalem do Los Angeles w nastroju niespełnienia i żałoby, zostawiając na Maui część siebie. Założyłbym się z każdym, że dla mnie ta historia się skończyła.

Znowu byłem w błędzie.

Część trzecia

Liczenie ofiar

Rozdział 58

Przystojny dżentelmen o platynowych włosach szedł wyłożonym czerwonym chodnikiem korytarzem, prowadzącym do przestronnego holu, otwartego na podmuchy lekkiego zefirka. Za marmurowym koniuarem siedział młody recepcjonista, który powitał gościa uśmiechem i unizonym spojrzeniem.

— Pański apartament jest gotowy, panie Meile. Witamy w hotelu Pradha Han.

— Jestem szczęśliwy, że znowu tu trafiłem — powiedział Henri. Przesunął okulary na włosy i podpisał rachunek płatny kartą kredytową. — Czy podgrzałeś dla mnie wody zatoki, Rahpee?

— Oczywiście, sir. Nie moglibyśmy sprawić zawodu naszemu dostojnemu gościowi.

Henri otworzył drzwi luksusowego apartamentu, rozebrał się w bogato urządzonej sypialni, niedbale rzucił ubranie na ogromne łożo z baldachimem chroniącym przed moskitami. W jedwabnym szlafroku, pogryzając czekoladki i suszone mango, oglądał BBC World, zachwycony najnowszym komentarzem na temat „serii morderstw na Hawajach, z czym w dalszym ciągu policja sobie nie radzi”. Pomyślał z zadowoleniem, że taka relacja spotka się z uznaniem Podglądaczy.

Gdy rozległy się dźwięki melodyjnego gongu przy drzwiach, wiedział, że to przychodzą jego młodzi ulubieńcy. Aroon i Sakda, drobnej budowy nastoletni chłopcy o krótko ostrzyżonych włosach i złocistej karnacji, najpierw złożyli głęboki ukłon mężczyźnie, którego znali jako pana Paula Meilego, a gdy zawołał jednego i drugiego po imieniu, podbiegli ze śmiechem i rzucili mu się w ramiona.

Stół do masażu był już przygotowany na balkonie, z którego rozciągał się widok na plażę. Chłopcy wygładzili prześcieradła, wyjęli ze swoich toreb olejki i płyny do ciała, a Henri ustawił kamerę tak, by objęła to, co chciał sfilmować.

Aroon pomógł Henriemu zdjąć szlafrok, Sakda owinął go prześcieradłem od pasa w dół i obydwaj chłopcy przystąpili do wykonywania synchronicznego masażu na cztery ręce, specjalności hotelu Pradha Han.

Henri wzdychał, gdy nastoletni chłopcy, zabrawszy się w zgodnym tandemie do pracy, nacierali mu skórę kremem sporządzanym według oryginalnej receptury ludu Hmong, a potem uciskali po kolei wszystkie mięśnie, usuwając napięcie narosłe w ciągu ostatniego tygodnia. Dzioborożce powrzaskiwały w dżungli, powietrze pachniało jaśminem. Ten masaż Henri uważał za jedno z najprzyjemniejszych zmysłowych doznań i dlatego przyjeżdżał do Hua Hin przynajmniej raz w roku.

Chłopcy wprawnie obrócili go na plecy i unisono masowali jego ręce od barków po koniuszki palców, a potem nogi i stopy. Gdy skończyli, wyrwali go z transu, delikatnie dotykając jego czoła. Henri otworzył oczy.

— Aroonie, przynieś mój portfel, leży na toaletce — powiedział po tajsku.

Gdy Aroon wrócił, Henri wyjął z portfela pokaźny plik banknotów, znacznie więcej niż kilkaset batów tajskich należnych za masaż, i pomachał nimi zachęcająco.

— Chcielibyście zostać i pobawić się ze mną? — zapytał po tajsku.

Chłopcy zachichotali i pomogli bogaczowi podnieść się ze stołu.

— W co będziemy się bawili, tato? — zapytał Sakda.

Henri wyjaśnił, na czym tym razem będzie polegała zabawa, na co obydwaj zaklaskali, wyraźnie podekscytowani tym, że będą mogli sprawić mu przyjemność i wyświadczyć przysługę. Ucałował ich dłonie, każdą po kolei.

Kochał tych słodkich chłopców.

Czerpał wiele radości z przebywania w ich towarzystwie.

Rozdział 59

Henriego obudziła melodyjka gongu. Był w sypialni sam.

— Proszę wejść! — zawołał.

Weszła młoda dziewczyna z czerwonym kwiatem we włosach, skłoniła się i postawiła na łóżku tacę ze śniadaniem: *nahm prik*, czyli kluseczki ryżowe z chili w sosie arachidowym, świeże owoce i dzbanek mocnej czarnej herbaty.

Henri jadł z przyjemnością, ale jego umysł pracował intensywnie, odtwarzając sekwencje scen z poprzedniego wieczoru, z których trzeba było zrobić montaż dla Przymierza.

Usiadłszy przy biurku z dzbankiem herbaty pod ręką i laptopem przed sobą, otworzył plik z materiałem filmowym z wczorajszego dnia, przebiegł oczami scenę masażu i wyciął te kadry. Zaczął od strumieni wody napełniających wielką wannę stojącą pod okrągłym okiem świetlika. Opatrzył film tytułem *Ochiba shigure*.

Z lubością patrzył na następne sceny, w których kamera ukazywała w zwolnionym tempie najpierw niewinne twarze chłopców, potem ich młodziutkie nagie ciała, zatrzymując się najdłużej na linach, którymi związane były ich ręce i nogi.

Kiedy wkroczył do akcji, podnosząc po kolei chłopców i wkładając ich do wanny, widoczna była wyraźnie jego twarz, więc zaznaczył ją i

zastosował rozmycie gaussowskie, żeby zniekształcić rysy. To ujęcie też uznał za piękne.

Wycinał i starannie montował następne sekwencje. Chodziło mu o wrażenie ciągłości akcji i uwydatnianie takich efektownych momentów, jak zbliżenie na jego ręce, które przytrzymują pod wodą głowy miotających się i walczących o życie chłopców, potem na bąbelki powietrza uciekające w górę z ich ust, wreszcie na bezwładne ciała na wodzie — *ochiba shigure*, jak zapowiadał japoński tytuł — „liście na tafli stawu”.

Następnie zdecydował się na skok montażowy na zroszoną wodą twarz Sakdy i mieniące się kropelki na jego włosach i skórze, a końcowa scena ukazywała dwóch chłopców leżących nieruchomo na leżakach koło wanny. Ręce i nogi mieli malowniczo rozłożone jak w jakiejś figurze tanecznej.

Na mokrym policzku Sakdy przysiadła zabłąkana mucha.

Zbliżenie kamery na ten końcowy efekt, i ekran pociemniał. Poza kamerą Henri pytał przenikliwym szeptem: „Czy wszyscy są szczęśliwi?”. To miał być jego podpis jako twórcy.

Obejrzał film jeszcze raz, podrasował go i skrócił do dziesięciu minut. Powstało cyfrowe arcydzieło filmowe dla Horsta i grona jego perwersów, mające zaostriżyć im apetyt na dalszą twórczość Henriego.

Napisał e-maila: *Przyjemnego oglądania, dwa młode książątka w cenie jednego*, i dołączył jeden kadr z filmu — dwaj chłopcy pod wodą, z szeroko otwartymi oczami i grymasem śmiertelnego przerażenia na twarzach.

Zdażył wysłać pocztę, gdy zadźwięczał gong. Henri zawiązał pasek szlafroka i otworzył drzwi. Do pokoju ze śmiechem wpadli chłopcy

— Więc już nie żyjemy, tato? A wcale nie czujemy się jak trupy! — wykrzyknął Aroon.

— I wyglądacie na całkiem żywych. Kocham was, moi chłopcy. Teraz idziemy na plażę — oznajmił Henri i położywszy ręce na szczupłych

ramionach jednego i drugiego, wyprowadził ich tylnym wyjściem ze swego segmentu. — Patrzcie, ocean wygląda zachęcająco.

— Żadnych zabaw, tato? — zapytał ze śmiechem Sakda.

Henri zmierzwił jego czuprynę.

— Nie, dzisiaj tylko popływamy i pochłapiemy się wodą. A potem wracamy na mój ukochany masaż.

Rozdział 60

Dobrze zasłużony odpoczynek Henri kontynuował w Bangkoku, w jednym z jego ulubionych miast.

Na nocnym targu poznał młodą Szwedkę, spiesząc jej z pomocą, gdy biedziła się z przeliczaniem batów na euro przy zakupie drewnianego słonika. Mówiła do niego po szwedzku i jego znajomość tego języka wystarczyła na początek, ale wreszcie oznajmił ze śmiechem, że wyczerpał już cały zasób szwedzkich słówek.

— Spróbujemy międzynarodowego języka — powiedziała nienaganną oksfordzką angielszczyzną. Przedstawiła się jako Mai-Britt Olsen, podróżowała podczas wakacji z koleżankami z Uniwersytetu Sztokholmskiego.

Przyciągała wzrok, miała dziewiętnaście, może dwadzieścia lat i ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Proste włosy koloru lnu sięgające ramion sprawiły, że Henri zaczął przyglądać się jej długiej szyi.

— Ma pani przepiękne niebieskie oczy — powiedział.

— Ooou! — wykrzyknęła i udając kokieterię, zatrzepotała rzęsami, na co Henri szczerze się roześmiał. Potrząsnęła słonikiem i zakomunikowała, że szuka jeszcze małpki z drewna.

Wsunęła mu rękę pod ramię i poszli dalej razem między kolorowymi stoiskami ze sztuczną biżuterią, słodyczami i owocami.

— Oglądałam dzisiaj z koleżankami zawody polo na słońcach — pochwaliła się Mai-Britt. — Na jutro mamy zaproszenie do pałacu królewskiego. Jako drużyna siatkówki. Startujemy w olimpiadzie w dwa tysiące ósmym roku — wyjaśniła z dumą.

— Naprawdę? To fantastyczne. Słyszałem, że pałac jest imponujący. Ja, niestety, będę jutro rano zapinał pasy bezpieczeństwa, lecąc do Kalifornii.

— Niech zgadnę — Mai-Britt się zaśmiała — oczywiście leci pan tam w sprawach biznesowych.

Henri błysnął zębami.

— Trafiłaś bezbłędnie. Ale to będzie dopiero jutro, Mai-Britt. Jadał już kolację?

— Kolację nie, przekąsiłam coś tutaj, na targu.

— Niedaleko stąd jest miejsce znane tylko nielicznym turystom. Bardzo ekskluzywne i trochę ekstrawaganckie. Czy masz ochotę na małą przygodę?

— Czy jestem zaproszona na kolację?

— Czy to pytanie oznacza, że przyjmujesz zaproszenie?

Wzdłuż ulicy ciągnęły się kawiarniane ogródki, na Selekam Road mijali hałaśliwe bary i nocne kluby, wreszcie doszli do zakamuflowanego wejścia do japońskiej restauracji o nazwie Edomae.

Maitre d'hotel poprowadził Mai-Britt i Henriego do efektownego wnętrza o ścianach z zielonych szklanych tafli, przedzielonego od podłogi po sufit wielkim akwariem, w którym pływały rybki mieniące się wszystkimi barwami tęczy.

Nagle Mai-Britt złapała Henriego za rękę i stanęła, nie wierząc własnym oczom.

— Co oni robią?

Ruchem głowy wskazała nagą dziewczynę leżącą na kontuarze baru sushi. Jeden z gości pił z kielicha utworzonego przez jej zaciśnięte uda.

— To się nazywa *wakesame* — wyjaśnił Henri. — Można to przetłumaczyć jako „pływające wodorosty”.

— Niebywałe! Pierwszy raz o tym słyszę — powiedziała Mai-Britt. — Czy robiłeś to, Paul?

Henri puścił do niej oko, odsunął krzesło od stolika, zapraszając, żeby usiadła. Jego towarzyszka nie była piękna, ale niewątpliwie pociągająca, a przy tym żądna wrażeń. Henri poradził jej spróbować sashimi z surowej koniny i sushi *edomae*, od którego restauracja przyjęła nazwę.

Już był w niej prawie zakochany, gdy nagle jego sentymentalny nastrój prysł. Poczul na sobie wzrok mężczyzny siedzącego przy jednym ze stolików.

Był w takim szoku, jakby ktoś wrzucił mu nagle za koszulę bryłkę lodu. Carl Obst, znajomy sprzed wielu lat. Siedział przy stoliku ze swoją „lady”, drogą prostytutką, transwestytą.

Henri był wprawdzie pewien, że w ciągu tych lat zmienił się tak bardzo, iż jest nie do rozpoznania, ale gdyby Obst go zidentyfikował, nie byłoby fajnie.

Obst obojętnie odwrócił od niego wzrok i zajął się swoją towarzyszką. Henri poczuł się bezpiecznie, jednak jego dobry nastrój minął.

Przestała go cieszyć czarująca dziewczyna i efektowne wnętrze. Powrócił myślami do czasu, gdy stanął oko w oko ze śmiercią — to cud, że teraz oddycha.

Rozdział 61

Henri powiedział wtedy do Marty'ego Switzera, że czuł się w izolacji jak wewnątrz własnego jelita. Było ciemno i cuchnęło, ale na tym analogia się kończyła. Nic, co Henri kiedykolwiek widział, o czym kiedykolwiek słyszał i co mógł sobie wyobrazić, nie dawało się porównać do owej ponurej nory.

Ta historia zaczęła się dla niego jeszcze przed atakiem na wieżowce World Trade Center. Zaciągnął się w szeregi prywatnej agencji wojskowej Brewster-North, która stosowała metody bardziej okrutne i bezwzględne niż osławiona agencja Blackwater.

Został wysłany na misję zwiadowczą do Iraku, z czterema innymi agentami wywiadu, ale był w tej grupie postacią kluczową z uwagi na talenty lingwistyczne.

Gdy ich grupa odpoczywała w rzekomo bezpiecznym domu, zadźgano stojącego na straży wartownika. Reszta została porwana, pobito ich niemal na śmierć i zamknięto w jakimś więzieniu. Pod koniec pierwszego tygodnia w tym piekle Henri znał już imiona oprawców i ich upodobania. „Gwałciciel” śpiewał, kiedy podwieszał więźniów pod sufitem jak pająki i całymi godzinami trzymał ich zwisających z łańcuchów, którymi mieli oplecione ręce. „Ogień” uwielbiał bawić się w

przypalanie papierosami. „Lód” podtapiał więźniów w lodowatej wodzie. „Podstęp”, który prowadził z Henrim długie rozmowy, zwodził go obietnicami rozmów telefonicznych, listów do domu, a nawet uwolnieniem.

Niektórych nazwałby bestiami, inni się hamowali, ale wszyscy byli sadystami. Henri musiał przyznać jedno: lubili swoją robotę.

Któregoś dnia nastąpiła zmiana w rutynie tortur.

Zabrano go z celi i silnym kopniakiem rzucono w kąt pomieszczenia bez okien razem z trzema pozostałymi członkami jego grupy. Wszyscy byli zakrwawieni, ich zaropiałe rany i złamania cuchnęły.

Rozbłysło ostre światło i gdy jego oczy przystosowały się do takiej jasności, zobaczył kamery i sześciu mężczyzn w kapturach stojących rzędem pod ścianą.

Jeden z nich złapał za rękę Switzera, powlókł go po podłodze na środek pokoju i brutalnym szarpnięciem postawił na nogi.

Switzer odpowiadał na ich pytania, mówił, że jest Kanadyjczykiem, ma dwadzieścia osiem lat, rodziców i dziewczynę mieszkających w Ottawie, przyznał się również do tego, że jest tajnym agentem, sam siebie nazwał szpiegiem.

A potem kłamał, jak od niego oczekiwano, mówiąc, że jest dobrze traktowany. Kiedy inscenizacja się zakończyła, jeden z zakapturzonych mężczyzn rzucił go na ziemię, złapał za włosy i uniósłszy w górę jego głowę, przeciągnął ząbkowanym nożem po szyi. Krew trysnęła strumieniem do wtóru głosów wielbiących Allaha: *Allahu akbar*.

Mimo szoku Henri był zafascynowany łatwością, z jaką ostrze noża odcinało od ciała głowę Switzera — szybki i nieodwracalny akt przecięcia ludzkiego życia.

Gdy kat trzymał głowę Switzera przed kamerą, Henri na widok trwogi i rozpaczki na twarzy przyjaciela chciał coś do niego krzyknąć, jakby ten mógł mu odpowiedzieć.

Jeszcze jednej rzeczy nigdy nie zapomniał. Choć czekał wtedy na własną śmierć, czuł coś w rodzaju ekscytacji. Nie rozumiał, skąd wzięło się to uczucie i nie potrafił go stłumić. Leżąc na podłodze i wiedząc, że pójdzie pod nóż, był w euforii. Czy dlatego, że zbliżał się moment wyzwolenia?

A może wtedy zdał sobie sprawę, kim naprawdę jest i co stanowi o jego prawdziwej naturze?

Ekscytacja śmiercią — nawet własną.

Rozdział 62

Kelner dolał mu do filiżanki świeżej herbaty i Henri na moment powrócił do rzeczywistości. Automatycznie podziękował za obsługę, ale sącząc herbatę, nie mógł uwolnić się od wspomnień.

Miał przed oczami katów w kapturach, bezgłowe ciała przyjaciela, niemal czuł lepkość tamtej podłogi. Pamiętał, że jego zmysły były wtedy tak wyostrzone, iż słyszał melodyjny szum prądu płynącego w przewodach.

Nie odwracał wzroku, gdy pozostałych dwóch towarzyszy kolejno wyciągano z kąta, w którym wszyscy leżeli. Raymond Drake, niegdyś żołnierz piechoty morskiej, błagał Boga o zmiłowanie. Lonnie Bell z Luizjany, służący uprzednio w elitarnym komando „Foki”, nie mógł z powodu szoku wydobyć z siebie ani słowa i nawet nie krzyknął.

Obydwu obcięto głowy przy akompaniamencie triumfalnych okrzyków. Potem wyciągnięto na środek pokoju Henriego. Z ciemności poza kręgiem światła lamp dobiegł twardy głos:

— Powiedz do kamery swoje nazwisko. Powiedz, skąd jesteś.

Odpowiedział po arabsku:

— Będę czekał na was uzbrojony w piekle. Prześlijcie ode mnie Saddamowi wyrazy bezdennej pogardy.

Wybuchnęli śmiechem. Zaczęli przedrzeźniać jego akcent. Ktoś zbliżył się do niego i uderzył go smród gówna. Zawiązano mu przepaskę na oczy. Czekał, że powalą go kopniakiem na ziemię, lecz zamiast tego narzucono mu na głowę koc.

Prawdopodobnie stracił przytomność, bo gdy się ocknął, był skrzepowany linami i leżał z tyłu jakiegoś pojazdu. Po kilku godzinach jazdy wyrzucono go na granicy syryjskiej.

Nie wierzył, że to dzieje się naprawdę.

Nie był martwy. Żył.

— Opowiedz Amerykanom, co zrobiliśmy, niewierny bandyto. I co potrafimy. Żyjesz, bo próbujesz mówić naszym językiem.

Poczęstowali go brutalnym kopniakiem w nerki i szybko odjechali.

Zdołał powrócić do Stanów Zjednoczonych dzięki sieci przyjaznych przyczółków w Syrii i Libanie. W Bejrucie wyrobił sobie nowe papiery i samolotem transportowym poleciał do Vancouver. Okazją dojechał do Seattle, gdzie ukradł samochód. Osiadł na jakiś czas w górniczym miasteczku w Wisconsin. Nigdy nie skontaktował się z prowadzącym go agentem z Brewster-North.

Miał nadzieję, że już nigdy i nigdzie nie zobaczy Carla Obsta.

Doceniał jednak, co agencja Brewster-North dla niego zrobiła. Gdy go wynajmowali, wymazali całą jego przeszłość, wykreślili ze wszystkich rejestrów jego prawdziwe nazwisko, odciski palców, historię życia. Po incydencie z terrorystami został uznany za zmarłego.

Na to odtąd liczył.

Mai-Britt, siedząca naprzeciwko niego w ekskluzywnym japońskim nocnym klubie, zauważyła, że myśli Henriego błędzą gdzieś daleko.

— Dobrze się czujesz, Paul? — zapytała. — Czy rozzłościło cię to, że tamten facet się na mnie gapił?

Obydwoje patrzyli z zadowoleniem, jak Carl Obst wychodzi z sali ze swoją partnerką. Nie obejrzał się ani razu. Henri uśmiechnął się z ulgą.

— Nie, nie jestem zły. Wszystko w porządku.

— To świetnie, bo przyszło mi do głowy, że moglibyśmy kontynuować ten wieczór sam na sam.

— Och, niczego bardziej nie pragnę, ale czas mi nie pozwala — powiedział Henri do dziewczyny z najpiękniejszą szyją od czasów drugiej żony Henryka VIII. — Przykro mi, ale tak fatalnie się składa, że mam samolot jutro z samego rana.

— Pieprzyć ten twój biznes — zażartowała Mai-Britt. — Dzisiaj w nocy jeszcze masz wakacje.

Henri pochylił się do przodu i nad stolikiem pocałował ją w policzek.

Wyobraził sobie jej nagość w swoich rękach i puścił wodze fantazji. Myślał także o tym, co ma do załatwienia w Los Angeles, i śmiał się w duchu na myśl o niespodziance, jaką będzie dla Bena Hawkinsa jego widok.

Rozdział 63

Na trzydniowy weekend Henri zatrzymał się w Sheratonie w porcie lotniczym w Los Angeles, wtapiając się w anonimowy tłum innych podróżujących biznesmenów. Wykorzystał czas na ponowne przeczytanie powieści Bena Hawkinsa i wszystkich jego reportaży prasowych.

Zaopatrzył się w prowiant i odbył próbne wypadki do Venice Beach i na ulicę, gdzie mieszkał Ben, tuż przy japońskiej dzielnicy zwanej Little Tokyo.

W poniedziałkowe popołudnie o siedemnastej wjechał wynajętym autem na autostradę nr 105. Żółtawe cementowe ściany po obydwu stronach ośmiopasmówki obsadzone były z rzadka kolczastymi pnączami bugenwilli i upstrzone latynoskim graffiti, co nadawało bezbarwnej kalifornijskiej drodze karaibskiego posmaku, a przynajmniej tak kojarzyło się to Henriemu.

Zjechał na autostradę 110 przy Los Angeles Street i dalej posuwał się w korku Alamedą, główną arterią prowadzącą na przedmieścia.

Była godzina szczytu, ale Henriemu się nie spieszyło. Pochłaniał go ekscytujący pomysł, jaki przyszedł mu do głowy jakiś czas temu, concept wprost genialny, który zapowiadał spektakularną zmianę w jego życiu i pełen dramaturgii finał.

Główną postacią dramatu miał być Ben Hawkins, dziennikarz, powieściopisarz, kiedyś oficer śledczy.

Ów plan zaczął się wykuwać w głowie Henriego już na Maui, gdy stojąc przed hotelem Wailea Princess, zobaczył, jak Henri kładzie rękę na ramieniu Barbary McDaniels.

Gdy światła zmieniły się na zielone, skręcił w Traction, uliczkę w pobliżu torów linii Union Pacific biegnących równolegle do rzeki Los Angeles.

Włokąc się za niemrawym SUV-em, Henri dotarł wreszcie w okolice Bena, do bezpretensjonalnej dzielnicy znanej z hipisowskich knajpek i butików z wyprzedażą. Znalazł miejsce do zaparkowania dokładnie naprzeciwko ośmiopiętrowej kamienicy z białej cegły, w której mieszkał Ben.

Wysiadł z auta, otworzył bagażnik i wyjął z torby sportową marynarkę. Za pasek spodni wsunął rewolwer, zapiął marynarkę i przeczeszał palcami kasztanowe włosy z pasemkami siwizny.

Wsiadł do auta, znalazł dobrą stację muzyczną i słuchając Beethovena i Mozarta, przez dobre dwadzieścia minut obserwował pieszych, przemierzających tę sympatyczną uliczkę. Wreszcie zobaczył mężczyznę, na którego czekał.

Ben, w dockersach i koszulce polo, niósł w prawej ręce skórzaną teczkę. Wszedł do restauracji Ay Caramba, więc Henri cierpliwie odczekał, aż obiekt jego zainteresowania wyjdzie na ulicę z meksykańskim obiadem w foliowej torbie.

Wtedy Henri znowu wysiadł z auta, zablokował drzwi i ruszył za Benem ulicą, a potem wspiął się za nim po kilku schodkach do frontowych drzwi.

— Przepraszam, czy pan Hawkins?! — zawołał.

Ben odwrócił się z lekko czujną miną.

Henri uśmiechnął się i odciągając połę marynarki, pokazał zatkniętą za pasek broń.

— Nie chcę zrobić panu krzywdy — zapewnił.

Ben odezwał się tonem, w którym wyczuwało się dawnego glinę.

— Mam przy sobie trzydzieści pięć dolarów. Weź je sobie. Portmonetkę mam w tylnej kieszeni spodni.

— Nie rozpoznasz mnie, przyjacielu? — spytał Henri.

— A powinienem?

— Pomyśl o mnie jak o swoim ojcu chrzestnym, Ben — rzekł Henri, zmieniając głos na niższy i grubszy. — Mam dla ciebie propozycję...

— I nie mogę jej odrzucić? Wiem, kim jesteś. Rozpoznałem cię po głosie. Jesteś Marco.

— Zgadłeś. Zaproś mnie do siebie, przyjacielu. Musimy porozmawiać.

Rozdział 64

— O co ci, do cholery, chodzi, Marco?! — krzyknąłem. — Przypomniały ci się jakieś informacje o McDanielsach?

Marco nie odpowiedział, na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

Stojąc plecami do ulicy, wyciągnął zza paska rewolwer i przystawił mi do brzucha.

— Otwieraj drzwi.

Nogi wrosły mi w ziemię, byłem w szoku. Marco Benevenuto nie był dla mnie osobą z ulicy, przez parę godzin siedziałem obok niego w samochodzie, a teraz, w nowym wcieleniu — bez czapki kierowcy i wąsów, w marynarce za sześćset dolarów, chciał mnie wystraszyć na śmierć.

Było mi wstyd, że dałem się zaskoczyć, i nie wiedziałem, jak się zachować.

Zabije mnie, jeśli nie wpuszczę go do środka? Trudno powiedzieć. Irracjonalny impuls zachęcał mnie, żeby faceta wpuścić.

Ciekawość brała górę nad ostrożnością, ale najchętniej zaspokajałbym ją z bronią w ręku. Moja dobrze naoliwiona beretta leżała w szufladce nocnej szafki i liczyłem na to, że gdy znajdę się z tym łajdakiem w mieszkaniu, uda mi się po nią sięgnąć.

— Możesz schować tego gnata — powiedziałem i wzruszyłem ramionami, gdy drwiącym uśmiechem dał do zrozumienia, że nie jest idiotą. Otworzyłem drzwi kluczem i ruszyłem na czwarte piętro, czując na plecach oddech fałszywego kierowcy państwa McDanielsów.

Moja kamienica była niegdyś magazynem, których pełno było w okolicy i które w ciągu ostatnich dziesięciu lat przebudowano na domy mieszkalne. Bardzo odpowiadało mi to miejsce. Jedno mieszkanie na piętro, wysokie sufity i grube ściany. Żadnych głośnych sąsiadów. Żadnych niepożądanych hałasów.

Przekręciłem klucz w zamku solidnej zasuwę i wpuściłem faceta. Zasunął zasuwę.

Postawiłem teczkę na podłodze.

— Siadaj — rzuciłem i udałem się do kuchni. — Czego się napijesz, Marco?! — zawołałem, wchodząc w rolę gościnnego gospodarza.

— Doceniam uprzejmość, ale nic nie będę pił, dziękuję — usłyszałem tuż za plecami.

Omów nie podskoczyłem, ale opanowałem ten odruch i wyjąłem z lodówki butelkę wody mineralnej dla siebie. Wróciliśmy do salonu, ja usiadłem na końcu skórzanego narożnika, on wybrał fotel.

— Kim naprawdę jesteś? — zapytałem faceta, który rozglądał się uważnie po moim mieszkaniu, zawieszając wzrok na oprawionych zdjęciach, starych czasopiśmie w kącie, tytułach książek na półce. Miałem wrażenie, że mam do czynienia z niezwykle spostrzegawczym agentem.

Zwlekał z odpowiedzią. Położył na długiej ławie rewolwer, który teraz znajdował się w odległości paru metrów od miejsca, gdzie siedziałem, a więc poza moim zasięgiem. Potem poszperał w wewnętrznej kieszeni marynarki, dwoma palcami wyciągnął z niej wizytówkę i pchnął ją przez szklany blat ławy w moją stronę.

Odczytałem wydrukowane nazwisko i zamarło mi serce.

Rozpoznałem tę wizytówkę:

Charles Rollins. Fotograf. „Talk Weekly „.

W mojej głowie zaczęła się przewijać do tyłu taśma filmowa. Wyobraziłem sobie Marca bez wąsów, potem odgrzebałem w pamięci zarys twarzy Rollinsa, widzianej owej nocy, kiedy wynoszono z wody poskręcane ciało małej Rosy Castro. Wtedy miał na głowie basebalówkę i twarz częściowo zasłoniętą okularami. Jedno z przebrań.

Ciarki przeszły mi po plecach. Nie było wątpliwości, że ten gładki, porządnie wyglądający dżentelmen, który siedzi teraz kilka metrów ode mnie, przez całe dwa tygodnie mojego pobytu na Hawajach krążył koło mnie. Niemal od momentu, kiedy się tam pojawiłem.

Obserwował mnie.

A ja w ogóle nie byłem tego świadomy.

O co mu chodzi?

Rozdział 65

Mężczyzna okupujący mój ulubiony skórzany fotel wpatrywał się we mnie uważnie, a ja rozpaczliwie próbowałem poskładać do kupy okruchy mojej wiedzy o nim.

Przypomniałem sobie dzień, kiedy po zaginięciu państwa McDaniels próbowaliśmy z Keolą odszukać Marca, kierowcę, który nie był kierowcą.

Tego samego ranka, co dobrze pamiętałem, ponieważ wtedy usłyszałem w telewizji, że znaleziono ciało Julii Winkler, Amanda próbowała pomóc mi zlokalizować tabloidowego paparazzo o nazwisku Charles Rollins, ponieważ był ostatnią osobą, która widziała Julię Winkler.

Przypomniałem sobie jeszcze Nilsa Bjorna, fantomowego biznesmena, który przebywał w hotelu Wailea Princess w tych samych dniach, co Kim McDaniels. Nie był przesłuchiwany, ponieważ we właściwym czasie zniknął.

Policja uznała, że Bjorn nie miał nic wspólnego z porwaniem Kim, natomiast ja wyszperałem w Internecie, że facet posługiwał się nazwiskiem osoby nieżyjącej.

Powyższe fakty sugerowałyby, że pan Smooth, jak mi się przedstawił, w najlepszym razie jest tylko oszustem, „mistrzem kamuflażu”. Jeżeli tak, jeżeli Marco, Rollins i najprawdopodobniej Bjorn to jedna i ta sama osoba, co jeszcze się za tym kryje?

Walczyłem z tsunami czarnych przeczuć szalejącym w mojej głowie. Otwierając trzęsącą się ręką nakrętkę od butelki z wodą mineralną, zastanawiałem się, czy jeszcze kiedykolwiek pocałuję Amandę.

Sporządzałem w myśli listę niezakończonych spraw: niezłożony w terminie reportaż, na który czeka Aronstein, testament, którego nigdy nie spisałem, polisa ubezpieczeniowa — czy zapłaciłem ostatnią składkę?

Do strachu dołączyła wściekłość. Do kurwy nędzy, to nie może być ostatni dzień mojego życia, pomyślałem. Potrzebuję czasu na uporządkowanie swoich spraw.

Czy mam szansę na użycie swojego pistoletu?

Wydawało się to niemożliwe.

To Marco/Rollins miał w zasięgu ręki swój rewolwer Smith&Wesson. Jego pewna siebie mina doprowadzała mnie do szału. Prawą nogę oparł na kolanie lewej i obserwował mnie, jakbym był na ekranie telewizora.

Przeciągając się chwilę grozy wykorzystałem na zapamiętanie ni-jakich symetrycznych rysów twarzy tego kutasa. Na wypadek, gdybym miał jeszcze szansę opisanego jego wyglądu glinom.

— Możesz mówić do mnie Henri — odezwał się.

— Henri, a dalej?

— Nieważne. To i tak nie jest moje prawdziwe imię.

— Więc, Henri, co zamierzasz teraz zrobić?

Uśmiechnął się.

— Ile razy słyszałeś od kogoś prośbę, żebyś opisał historię jego życia?

— Słyszę to przynajmniej raz w tygodniu — odparłem. — Każdemu się wydaje, że jego biografia będzie hitem.

— Coś podobnego? A ilu z tych ludzi morduje na zamówienie?

Rozdział 66

W sypialni zadzwonił telefon. Prawdopodobnie Amanda. Henri pokręcił głową, więc pozwoliłem najdroższej nagrać miłosne przesłanie na sekretarkę.

— Mam ci dużo do opowiedzenia, Ben. Odpręż się. Skup się na chwili obecnej. Porozmawiamy trochę dłużej.

— Przydałby się magnetofon. Skoczę po niego do sypialni.

— Jeszcze nie teraz. Najpierw popracujemy nad kontraktem.

— Dobrze — zgodziłem się, a w duchu myślałem: Czy on mówi poważnie? Kontraktowy morderca chce zawrzeć kontrakt ze mną?

Rewolwer Henriego był jednak o pół sekundy od jego ręki. Mogłem jedynie zwodzić faceta i czekać na sposobny moment.

Najgorsze amatorskie autobiografie zaczynają się od: *Urodziłem się...* więc rozparłem się wygodnie na kanapie, przygotowany do wysłuchania sagi rodzinnej.

Henri mnie nie rozczarował. Zaczął swoją historię od czasów sprzed swoich narodzin.

Opowiedział o francuskim Żydzie, który w 1937 roku miał małą drukarnię w Paryżu i specjalizował się w starych dokumentach i tuszach. Ten człowiek wcześniej zorientował się, jakim zagrożeniem jest

Trzecia Rzesza, i uciekł wraz z innymi, zanim naziści zajęli Paryż. Pojechał do Bejrutu.

— Ten młody Żyd — opowiadał Henri — ożenił się z Libanką. Bejrut to wielkie miasto, to Paryż Bliskiego Wschodu, więc wrósł w nie bez trudu. Otworzył drukarnię, miał czworo dzieci, wiodło mu się dobrze. Nikt nie pytał go o przeszłość. Ale inni uchodźcy, przyjaciele przyjaciół i znajomych odnaleźli go. Potrzebowali papierów, fałszywych tożsamości, i on zaczął im pomagać w rozpoczęciu nowego życia. To, co wychodzi spod jego ręki, jest doskonałe.

— Wciąż wychodzi?

— On żyje, lecz już nie w Bejrucie. Pracował dla Mosadu i przenieśli go w trosce o jego bezpieczeństwo. Nie odnajdziesz go, Ben, nie fantazjuj. Myśl o tym, co jest tu i teraz. Jesteś ze mną, przyjacielu. Mówię ci o tym fałszerzu staruszku tylko dlatego, że pracuje dla mnie. Dzięki mnie jest syty. I wie, że nie zdradzę jego sekretów. To on dał mi tożsamość Marca, Charliego, Henriego i wiele innych. Po wyjściu z tego mieszkania mogę natychmiast wcielić się w kogoś innego.

Czas płynął szybko.

Zapaliłem światło i wróciłem na swoje miejsce na kanapie. Słuchałem Henriego z takim zainteresowaniem, że zapomniałem o strachu.

Opowiedział o epizodzie irackim, sugerując, że przeżywszy tamto brutalne traktowanie, postanowił, że nie będzie go hamować ani prawo, ani moralność.

— I jak wygląda teraz moje życie? Urzeczywistniam najwymyślniejsze zachcianki, których wyrafinowanie przekracza twoją wyobraźnię, Ben. Ale żeby je spełniać, potrzebuję pieniędzy. Dlatego w moje życie wtargnęli Podglądacze. I z powodu pieniędzy ja wtargnąłem w twoje.

Rozdział 67

Widok lufy rewolweru miał mnie przykuć do kanapy, ale prawdę powiedziawszy, opowieść Henriego wciągnęła mnie tak bardzo, że prawie zapomniałem o broni.

— Kim są Podglądacze?

— Nie teraz. Powiem ci następnym razem. Gdy wrócisz z Nowego Jorku.

— Z Nowego Jorku? Wepchniesz mnie na siłę do samolotu? Będę siedł pod lufą? Życzę szczęścia w przemycaeniu broni na pokład.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki Henri wyciągnął kopertę i pchnął ją przez stół. Wziąłem ją do ręki, otworzyłem i wyjąłem plik zdjęć.

Zaschło mi w ustach. Były doskonałej jakości. Amanda na rolkach w odległości przecznicy od swojego apartamentowca, w białym bezrękawniku i różowych szortach, które miała na sobie, gdy poprzedniego dnia rano umówiliśmy się na śniadanie. Najnowsze zdjęcia.

Na jednym byłem także ja.

— Zachowaj je dla siebie, Ben. Myślę, że są bardzo dobre. Będą ci przypominać, że mam dostęp do Amandy w każdej chwili, więc nawet

nie myśl o powiadamianiu policji. To byłoby samobójstwo i wyrok śmierci dla Amandy.

Poczułem lodowate zimno spływające od karku wzdłuż kręgosłupa. Grozi mi śmiercią z uśmiechem na twarzy. Powiedział, że zabije Amandę, a zabrzmiało to jak propozycja wspólnego lunchu.

— Posłuchaj! — krzyknąłem, wyciągając ręce, jakbym odpychał jak najdalej od siebie Henriego, jego rewolwer, historię jego życia. — Nie nadaję się do tej roboty. Potrzebujesz biografa z prawdziwego zdarzenia, profesjonalisty, który marzy o takiej książce.

— To jest moja wymarzona książka, Ben, a ty jesteś moim wymarzonym pisarzem. Odtrąć mnie, jeżeli chcesz, ale wiedz, że będę musiał zagwarantować sobie bezpieczeństwo. Chyba rozumiesz, co mam na myśli? Spójrz na pozytywy — wabił przyjaznym tonem, przystawiając mi do piersi kaliber trzydzieści osiem. — Zostaniemy partnerami. To będzie wyjątkowa książka. Wspomniałeś o hitach. Moja historia będzie hitem.

— Nawet gdybym bardzo chciał, nie dam rady... zrozum, Henri, jestem tylko pisarzem. Nie przypisuj mi siły przebiccia, jakiej nie mam. Do cholery, człowieku, nie masz pojęcia, o co prosisz.

Uśmiechnął się.

— Przyniosłem coś, czego użyjesz jako karty przetargowej. Około dziewięćdziesięciu sekund inspiracji.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął przedmiot, który zadyndał na łańcuszku. To był pendrive.

— Jeżeli obraz jest wart więcej niż tysiąc słów, to ten tutaj stanowi równowartość... no nie wiem... ale pewnie ponad osiemdziesięciu tysięcy słów i kilku milionów dolarów. Pomyśl o tym, Ben. Możesz zostać bogaty i sławny... albo... umrzeć. Lubię konkretne wybory, a ty?

Klepnął się w kolana, poprosił mnie, żebym odprowadził go do drzwi, a przed wyjściem kazał mi się odwrócić twarzą do ściany.

Zrobiłem to. Gdy się ocknąłem jakiś czas potem, leżałem na gołej cementowej podłodze pod drzwiami. Z tyłu głowy wyrósł mi okazałych rozmiarów guz, a czaszka pękała z bólu.

Skurwysyn, nim wyszedł, dzielił mnie kolbą rewolweru.

Rozdział 68

Dźwignąłem się na nogi i objając o ściany, powlokłem do sypialni. Szarpnąłem za gałkę szufladki w nocnej szafce. Dopiero gdy moje palce poczuły chłód lufy pistoletu, opętańcze łomotanie serca trochę się uspokoiło. Zatknąłem pistolet za pasek od spodni i poczłapałem do telefonu.

Mandy odpowiedziała po trzecim sygnale.

— Nie otwieraj nikomu drzwi — mówiłem, wciąż ciężko dysząc, pocąc się straszliwie i pytając sam siebie: Czy to zdarzyło się naprawdę? Czy Henri groził, że zabije mnie i Mandy, jeżeli nie napiszę książki?

— Ben?

— Nie otwieraj drzwi sąsiadce ani kwestującej harcerce, ani elektrykowi, nikomu, dobrze Mandy? Nie wpuszczaj nawet policji.

— Przeraziłeś mnie śmiertelnie, Ben. Naprawdę, skarbie. Co się dzieje?

— Powiem, gdy przyjdę. Już wychodzę.

Zataczając się, wróciłem do salonu, powkladałem do jednej i drugiej kieszeni marynarki zostawione przez Henriego zdjęcia, wizytówkę i pendrive'a. Przed oczami miałem jego twarz, w uszach wciąż brzmiały jego groźby: „To byłoby samobójstwo i wyrok śmierci dla Amandy...”

będę musiał zagwarantować sobie bezpieczeństwo. Chyba rozumiesz, co mam na myśli?”

Chyba dobrze zrozumiałem.

Chociaż Traction ogarnęła już noc, ulica tętniła życiem. Rozlegały się dźwięki klaksonów, kupujący oblegali stragany, tu i tam ludzie zatrzymywali się, żeby posłuchać jednoosobowej orkiestry.

Wsiadłem do mojej wiekowej beemki i ruszyłem w kierunku międzystanowej nr 10. Nie opuszczał mnie lęk o Amandę. Jak długo leżałem nieprzytomny? Gdzie jest teraz Henri?

Z wyglądu mógł uchodzić za praworządnego obywatela, a dzięki mało charakterystycznym rysom bez trudu udawał każdego. Wyobraziłem go sobie jako Charliego Rollinsa z kamerą w rękę, robiącego zdjęcia mnie i Amandzie.

Niestety, w jego przypadku kamera mogła być równie dobrze pistoletem.

Pomyślałem o osobach zamordowanych na Hawajach: Kim, Rosa, Julia, moi przyjaciele, Levon i Barbara. Przed śmiercią byli torturowani, ale zręczny zabójca nie zostawił żadnych odcisków palców i najmniejszego śladu, jaki mógłby naprowadzić policję na jego trop.

To nie była robota amatora.

Ile osób poza nimi zabił Henri?

Międzystanowa rozgałęziała się na dwie odnogi, 4th Street i Main. Skręciłem w prawo na Pico, mijalem tanie restauracyjki i warsztaty samochodowe, potem jednopiętrowe domki, wreszcie, gdy na skrzyżowaniu Maine i Rose powitał mnie słynny Wielki Kłown, znalazłem się w innym świecie, w kolorowej Venice Beach, dzielnicy młodych i beztroskich i przystani dla bezdomnych.

Zanim na Speedway znalazłem miejsce do parkowania w odległości jednej przecznicy od domu Amandy, niegdyś jednorodzinnego szeregowca, teraz podzielonego na trzy apartamenty, upłynęło dobrych kilka minut.

Idąc ulicą, nasłuchiwałem, czy hamuje za mną samochód lub stukają jednostajnie o chodnik obcasy włoskich mokasynów.

Czy włóczęga, który obrzucił mnie spojrzeniem, to Henri w przebraniu? A może jest tym brodaczem, który właśnie parkuje samochód? Przeszedłem obojętnie obok domu Amandy, ale spojrzałem w górę na trzecie piętro i zobaczyłem, że w kuchni pali się światło.

Dotarłem do kolejnej przecznicy, zanim wróciłem pod dom mojej dziewczyny. Wcisnąłem przycisk dzwonka i zaklinałem w duchu: Proszę, Mandy, proszę, odezwij się...

— Hasło? — usłyszałem.

— Kanapka z serem — odpowiedziałem. — Wpuść mnie.

Rozdział 69

Gdy Amanda mi otworzyła, wziąłem ją w ramiona i zatrzasnąłem kopniakiem drzwi, nie wypuszczając jej z uścisku.

— O co chodzi, Ben? Co się stało? Powiedz, co się dzieje?

Uwolniła się z moich objęć i odsunąwszy na pewną odległość, zinventoryzowała usterki w moim wyglądzie.

— Masz zakrwawiony kołnierzyk. Krwawisz, Ben. Ktoś cię napadł?

Zaryglowałem drzwi, objąłem ją i poprowadziłem do saloniku. Posadziłem na klubowym fotelu, a sam usiadłem na bujanym metr dalej.

— Zacznieś wreszcie mówić?

Nie wiedziałem, jak złagodzić wersję wydarzeń, więc odpowiedziałem krótko i treściwie:

— Zaczepił mnie pod drzwiami mojego domu facet z bronią. Oznajmił, że jest płatnym mordercą.

— Co?

— Przekonał mnie, że to on zabił te wszystkie osoby na Hawajach. Pamiętasz, jak prosiłem cię, żebyś pomogła mi zlokalizować Charliego Rollinsa z „Talk Weekly”?

— Tego Rollinsa, ostatnią osobę, z którą widziano Julię Winkler? To on się u ciebie zjawiał?

Opowiedziałem Amandzie o innych wcieleniach Henriego i że poznałem go nie tylko jako Rollinsa, lecz również faceta o fałszywym nazwisku Marco Benevenuto, z powodzeniem grającego rolę kierowcy państwa McDanielsów.

Niczego nie ukrywając, powiedziałem, że ten człowiek siedział na moim fotelu i celując do mnie z rewolweru, wyznawał, że jest profesjonalnym zabójcą do wynajęcia i zabijał wiele, wiele razy.

— Chce, żebym napisał jego autobiografią. Chce, żeby opublikowało tę książkę wydawnictwo Raven-Wofford.

— Niewiarygodna historia — rzekła Amanda.

— Wiem.

— Nie rozumiesz, to naprawdę jest nie do uwierzenia. Kto spowiadałby się ze zbrodni? Mimo wszystko musisz zadzwonić na policję, Ben. To chyba oczywiste?

— Ostrzegł mnie, żebym tego nie robił.

Wręczyłem Mandy pakiet zdjęć i obserwowałem, jak wyraz szoku na jej twarzy ustępuje miejsca wściekłości.

— No dobrze, facet ma świetny aparat — skomentowała, zaciskając usta w wąską kreskę. — Pstryknął parę zdjęć. To jeszcze niczego nie dowodzi.

Wyjąłem z kieszeni pendrive'a i pomachałem nim przed jej oczami.

— Dostałem to od niego. Powiedział, że to narzędzie przetargowe, które mnie zainspiruje.

Rozdział 70

Amanda wyszła z pokoju i wróciła z laptopem pod pachą oraz dwoma kieliszkami i butelką pinot noir. Gdy włączała komputer, ja nalałem nam wina. Laptop zaszumił i włożyłem pendrive'a do portu USB.

Na ekranie pojawił się film.

Przez półtorej minuty zdjęci grozą oglądaliśmy najbardziej przerażające i obsceniczne sceny, jakie kiedykolwiek widzieliśmy. Amanda wpiła się palcami w moje ramię tak mocno, że zostawiła na nim sinia-ki, a gdy ekran pociemniał, wtuliła się w fotel, szlochając spazmatycznie.

— O, mój Boże, Mandy, co za dupek ze mnie. Przepraszam, powinienem sam najpierw to obejrzeć.

— Przecież nie wiedziałeś, co to jest. Nie uwierzyłabym, że mogą dziać się tak straszne rzeczy, gdybym nie zobaczyła ich na własne oczy.

— Mogę powiedzieć to samo.

Wepchnąłem parzący ładunek do tylnej kieszeni spodni i przeszedłem przez hol do łazienki, gdzie włożyłem głowę pod strumień zimnej wody. Gdy się wyprostowałem, stwierdziłem, że w drzwiach stoi Amanda.

— Ściągaj z siebie wszystko — poleciła.

Pomogła mi zdjąć koszulę, sama się rozebrała i otworzyła prysznic nad wanną. Wszedłem do niej, Amanda usiadła z tyłu za mną, objęła mnie rękami i obydwójce odczuliśmy ulgę pod biczami gorącej wody.

— Jedź do Nowego Jorku i pogadaj z Zagamim — powiedziała Mandy. — Zrób, co ci każe Henri. Zagami nie może przepuścić takiej okazji.

— Jesteś pewna?

— Jasne. Chodzi o to, żeby usatysfakcjonować Henriego. Zyskamy na czasie i zastanowimy się, co dalej.

Odwrociłem się, żeby zobaczyć jej twarz.

— Nie zostawię cię samej.

— Potrafię się o siebie zatroszczyć, nic mi się nie stanie. Wiem, wiem... to ostatnie słowa każdej ofiary. Ale ja naprawdę dam sobie radę.

Mandy wyszła z łazienki i nie było jej tak długo, że zakręciwszy wodę, owinąłem się ręcznikiem i zaniepokojony poszedłem jej szukać.

Znalazłem ją w sypialni, gdzie stojąc na czubkach palców, przeszukiwała górną półkę w szafie. Wyciągnęła śrutówkę i z dumą mi ją pokazała.

Patrzyłem na nią z głupią miną.

— Nie patrz tak, umiem się tym posługiwać — oznajmiła.

— I masz zamiar nosić ją w torebce?

Wyjąłem jej strzelbę z rąk i wsunąłem pod łóżko. Potem posłużyłem się telefonem ukochanej.

Nie zadzwoniłem na policję, ponieważ wiedziałem, że nas nie ochronią. Nie miałem odcisków palców Henriego, a opisywanie jego wyglądu byłoby bezcelowe. Około metra osiemdziesięciu wzrostu, kasztanowe włosy, brązowe oczy — to mógł być każdy.

Nawet gdyby gliny obserwowały i chroniły mnie i Amandę, dajmy na to przez tydzień, po tym czasie znowu byłibyśmy zdani tylko na

siebie, stając się łatwym celem dla snajperskiej kuli lub ofiarami jakiegoś innego ataku w wykonaniu Henriego.

Widziałem go oczami wyobraźni, jak czai się za jakimś autem albo staje za moimi plecami w kawiarni Starbucks, albo obserwuje przez celownik dom Amandy.

Mandy mówiła mądrze: potrzebujemy czasu na opracowanie planu. Jeżeli zacznę współpracować z Henrim i będzie ze mnie zadowolony, być może na czymś się poślizgnie, dostarczając mi wiarygodnego dowodu przeciwko sobie, na podstawie którego policja czy federalni będą mogli go zamknąć.

Zostawiłem wiadomość w skrzynce pocztowej Zagamiego, prosząc o bardzo pilne spotkanie. Potem zamówiłem dwa bilety do Nowego Jorku — dla siebie i Mandy.

Rozdział 71

Gdy Leonard Zagami wpisał mnie na listę autorów, z którymi współpracuje, ja miałem dwadzieścia pięć, on czterdzieści lat, a Raven House było wydawnictwem z ambicjami, ale publikującym rocznie nie więcej niż dwadzieścia parę tytułów. Od tamtych czasów wiele się zmieniło. Raven połączyło się z potężnym Wofford Publishing i teraz gigant Raven-Wofford zajmował sześć piętér wieżowca górującego nad Bloomingdale's.

Leonard Zagami również wspiał się wysoko. Był zarazem dyrektorem generalnym i prezesem, wielką szychą, a nowe wydawnictwo wydawało dwieście pozycji rocznie.

Podobnie jak u konkurencji, większość tytułów z listy RW sprzedawano po cenie kosztów, a nawet ze stratą, ale książki trzech autorów — a nie byłem jednym z nich — przynosiły rokrocznie większe zyski niż pozostałe sto dziewięćdziesiąt siedem tytułów.

Zagami nie widział we mnie dojrzałej krowy, lecz nadal mnie lubił i nic go nie kosztowało utrzymywanie mnie na pokładzie. Miałem nadzieję, że po tym spotkaniu spojrzy na mnie inaczej. Usłyszy przyjemny brzęk kas od Bangor po Yakimę.

A Henri przestanie grozić śmiercią mnie i Amandzie.

Czułem, że mam wielką siłę przekonywania, gdy zjawilem się w okazałej recepcji o godzinie dziewiątej rano. W południe po dywanie w cętki jaguara podeszła do mnie asystentka Zagami, która zakomunikowała, że szef ma dla mnie piętnaście minut, i poprosiła, żebym poszedł za nią.

Przekroczyłem próg jego gabinetu, a Zagami wstał, uściśnął mi rękę, poklepał po plecach i powiedział, że wyglądam jak kupa gówna.

Podziękowałem za komplement, wyjaśniając, że postarzałem się o parę lat, czekając na nasze spotkanie.

Zaśmiał się, przeprosił, powiedział, że zrobił wszystko, co było w jego mocy, żeby mnie wcisnąć w swój grafik, i wskazał krzesło po drugiej stronie biurka. Był niskiego wzrostu, niespełna metr sześćdziesiąt, i za ogromnym biurkiem wyglądał jak posadzone w niewłaściwym miejscu dziecko. Biła jednak od niego siła i jak zawsze miał przebiegłe oczka.

Usiadłem.

— O czym ma być ta książka, Ben? Gdy rozmawialiśmy ostatnio, nie chwaliłeś się, że coś wysmażyłeś w swojej kuchni.

— Czy śledziłeś historię Kim McDaniels?

— Tej modelki ze „Sporting Life”? Jasne, że tak. Ją i jeszcze parę osób zamordowano na Hawajach... Hej, to ty pisałeś reportaże. Już rozumiem, z czym przychodzisz.

— Byłem na miejscu przez dwa tygodnie, poznałem niektóre ofiary...

— Posłuchaj, Ben — przerwał mi Zagami — dopóki nie złapią mordercy, to tylko kąsek dla tabloidów, a nie materiał na książkę, jeszcze nie.

— Nie jest tak, jak myślisz, Len. Tu chodzi o narrację w pierwszej osobie.

— Kto ma być tą pierwszą osobą? Ty?

Zmobilizowałem całą swoją siłę perswazji, jakby od tego miało zależeć moje życie.

— Morderca zgłosił się do mnie incognito. Jest zimnym inteligentnym maniakiem, który zapragnął ujawnić swoje morderstwa światu i mnie wybrał na autora autobiografii. Nie zdradzi swojej tożsamości, ale opowie, jak zabijał i dlaczego.

Oczekiwałem, że Zagami coś powie, ale słuchał mnie z obojętną miną. Skrzyżowałem ręce na pokrytym skórą blacie biurka. Wymusiłem na nim, żeby patrzył mi w oczy.

— Len, czy słyszysz, co mówię? Ten facet jest być może najbardziej poszukiwanym przestępcą w Ameryce. Jest sprytny. Jest na wolności. Nie strzela, zabija własnymi rękami. Chce, żebym opisał jego wyczyny, bo jest żądny pieniędzy i sławy. W tym rzecz. Pragnie uznania, bo dobrze wykonuje swoją robotę. A jeżeli nie napiszę tej książki, zabije mnie. Być może zabije także Amandę. Więc czekam na konkretne „tak” lub „nie”, Len. Jesteś tym zainteresowany?

Rozdział 72

Leonard Zagami rozparł się wygodniej w fotelu, zakołysał kilka razy ciałem, pogładził się po resztkę siwych włosów i wreszcie spojrział na mnie. Mówił z rozbrajającą szczerością i to bolało najbardziej.

— Wiesz, jak cię lubię, Ben. Znamy się od dziesięciu lat, chyba nie krócej?

— Od dwunastu.

— Dwanaście dobrych lat. Dlatego jako przyjaciel nie będę ci wiskał kitu. Zaslugujesz na prawdę.

— Tak sądzę, wał prosto w oczy — rzekłem, lecz krew pulsowała mi tak głośno w skroniach, że ledwie słyszałem, co Len mówi.

— Ubieram w słowa to, co pomyślałby każdy człowiek biznesu, więc nie miej do mnie żalu, Ben. Masz obiecującą, lecz cichą karierę. Przyszło ci teraz do głowy, że trafia się książka, dzięki której zejdziesz z listy mniej chodliwych tytułów, poprawisz swoje notowania u nas i w ogóle w branży. Mam rację?

— Uważasz, że cię nabieram? Myślisz, że jestem desperatem? Chyba żartujesz.

— Pozwól mi skończyć. Wiesz, co się stało, kiedy Fritz Keller wyskoczył z prawdziwą historią życia niejakiego Randolpha Grahama.

— Wybuchła bomba, wiem.

— Najpierw entuzjastyczne recenzje, dają się nabrać Mart Lauer i Larry King. Oprah wciąga książkę na swoją listę klubową. A potem prawda zaczyna powoli wyciekać. Graham nie jest zabójcą, tylko drobnym oprychem, choć z talentem literackim. Podkolorował historię swojego życia dla draki. Niestety, kiedy wybuchła bomba, rozerwała się nad głową Fritza Kellera.

Zagami przypomniał mi smutny finał tej historii, mówiąc, że Keller odbierał nocne telefony z pogrózkami, przeklinali go producenci telewizyjni, jego akcje na giełdzie spadły do wartości papieru toaletowego, wreszcie dostał zawału.

Poczułem, że moje serce też nie wytrzyma napięcia. Zastanawiałem się, czy Leonard uważa Henriego za kłamcę, czy mnie za reportera, który stracił kontakt z rzeczywistością.

Jakkolwiek było, odrzucił moją ofertę.

Czy nie słyszał, co powiedziałem? Henri groził, że zabije mnie i Amandę. Len zamilkł, postanowiłem więc wytoczyć ostatnie działo.

— Len, powiem teraz coś bardzo ważnego.

— Ale streszczaj się, bo mam dla ciebie jeszcze tylko pięć minut.

— Miałem takie same wątpliwości jak ty. Zadawałem sobie pytanie, czy Henri naprawdę jest seryjnym mordercą, czy utalentowanym oszustem, który chce mnie wykorzystać do zrobienia największego szwindlu w życiu.

— Właśnie — przytaknął Len.

— Otóż nie. Henri jest autentyczny. Mogę ci to udowodnić. Położyłem przed nim pendrive'a.

— Co to jest?

— Na tym jest wszystko, co musisz wiedzieć, a nawet więcej. Zobacz Henriego we własnej osobie.

Ciemny ekran komputera rozbłysnął jasnością żółtych ścian pokoju, w którym paliły się świece i którego środek zajmowało łóżko. Kamera zrobiła zbliżenie na młodą kobietę leżącą na brzuchu na prześcieradle. Miała długie jasnoblonde włosy, czerwone bikini i czarne pantofle z czerwonymi podeszwami. Jej ręce przywiązane były misternymi węzłami do ramy łóżka. Wyglądało na to, że jest odurzona narkotykami albo śpi, ale kiedy w polu widzenia pojawił się mężczyzna, zaczęła krzyczeć.

Mężczyzna był nagi, na twarzy miał maskę, a na rękach niebieskie rękawiczki.

Nie chciałem znów tego oglądać. Podeszedłem do szklanej ściany gabinetu Lena i patrzyłem w dół, w głąb studni atrium, gdzie czterdzieści trzy piętra niżej poruszały się małe ludziki.

Dobiegały mnie głosy z komputera, a gdy ucichły, usłyszałem, że Leonard się krztusi. Odwróciłem się i zobaczyłem, że biegnie do drzwi. Kiedy wrócił po kilku minutach, miał twarz białą jak kartka papieru i nie był sobą.

Rozdział 73

Leonard opadł ciężko na fotel, wyszarpnął z portu pendrive'a, odłożył go na biurko, ale nie spuszczał z niego wzroku, jakby miał przed sobą węża kusiciela.

— Zabieraj to — warknął. — Umawiamy się, że nigdy tego nie widziałem. Nie chcę być wplątany w zbrodnie, zrobią ze mnie podżegacza czy Bóg jeden wie kogo. Zawiadomiłeś policję? FBI?

— Henri ostrzegał, żebym tego nie robił, groził, że zabije mnie i Amandę. Nie mogę ryzykować.

— Zaczynam wszystko rozumieć. Masz pewność, że dziewczyna na filmie to Kim McDaniels?

— Stuprocentową. To jest Kim.

Levon chwycił za telefon, odwołał spotkanie o dwunastej trzydzieści i wszystkie inne popołudniowe zajęcia. Zamówił z kuchni kanapki i przenieśliśmy się do wypoczynkowego kąta jego gabinetu.

— Opowiadaj wszystko od początku. Chcę poznać najdrobniejsze detale, wszystko.

Więc zdałem mu relację z zafundowanej mi przez moją gazetę nagłej wyprawy reporterskiej na Hawaje, gdzie z banalnego przypadku zaginięcia młodej dziewczyny wykluła się historia pięciu morderstw.

Powiedziałem o nawiązaniu bliskiego kontaktu z Barbarą i Levonem, nie kryłem, że dałem się nabrać na maskarady Henriego, który mnie podszedł jako Marco Benevenuto i Charles Rollins.

Głos mi się łamał, gdy opisywałem ciała ofiar i opowiadałem o najsłabiej Henriego na moje mieszkanie, pistolecie w zasięgu jego ręki, gdy pokazywał mi zdjęcia Amandy.

— Ile Henri żąda za sprzedanie swojej historii?

Odpowiedziałem, że Henri mówił o milionach, czego mój rozmówca wysłuchał z kamienną twarzą. Przeszedł metamorfozę — ze sceptyka zamienił się w hazardzistę. Z błysku w jego oczach odczytywałem, że podlicza popyt na tę książkę i rysuje mu się wizja rosnącej góry pieniędzy zasypujących dziurę w budżecie firmy.

— Jaki ma być następny krok? — zapytał.

— Henri powiedział, że się ze mną skontaktuje. Jestem pewien, że to zrobi. Na razie wiem tylko tyle.

Leonard wezwał przez telefon Erica Zohna, szefa doradców prawnych wydawnictwa Raven-Wofford, i nie minęły minuty, gdy dołączył do nas wysoki, chudy nerwowy czterdziestolatek.

Len i ja poinformowaliśmy go o oczekiwaniach mordercy co do honorarium i Zohn natychmiast zgłosił zastrzeżenia.

Zacytował tak zwane *Prawo syna Sama*, czyli prawo zakazujące przestępcy czerpania korzyści finansowych z popełnionych zbrodni. Wspominali z Lenem Jeffreyja McDonalda, zabójcę żony, który sprzedał prawa do swojej historii, a potem wytoczył proces autorowi książki, mówili także o słynnej sprawie OJ. Simpsona, od którego rodzina zamordowanego Goldmana domagała się w procesie cywilnym przekazywania na jej rzecz honorarium za książkę będącą spowiedzią tej gwiazdy futbolu. Zohn nie zmieniał zdania.

— Obawiam się, że staniemy się obiektem finansowych roszczeń ze strony rodzin ofiar i będzie nas ścigał każdy z ich krewnych.

Zapomnieli o mnie. Równie dobrze mogło mnie tam nie być, gdy omawiali kruczki prawne i rozpatrywali kwestię z najróżniejszych punktów widzenia, ale widziałem, że Len walczy o książkę.

— Ericu — rzekł z naciskiem do Zohna — nie oceniam tego pochopnie. Mamy w zasięgu ręki rodzący się bestseller wszech czasów. Każdy chce wiedzieć, co siedzi w głowie seryjnego mordercy, a ten opowie o zbrodniach z ostatniej chwili, których zagadki jeszcze nie rozwiązano. Ben nie oferuje fikcji literackiej, lecz relację potwora, który krzyczy: „Oto, co potrafię!”.

Zohn chciał mieć czas na rozważenie ewentualnych konsekwencji, lecz Leonard skorzystał z prerogatyw szefa.

— Uważam, Ben, że zaczynasz pracować dla nas nad książką Henriego — zwrócił się do mnie. — Jeżeli rozejdą się plotki, że u mnie byłeś, powiesz o próbie wlepienia mi nowej powieści, którą odrzuciłem. Gdy Henri się z tobą skontaktuje, powiedz mu, że dopracowujemy niuanse umowy tak, żeby był zadowolony.

— Czy mam rozumieć, że mówisz „tak”? — spytałem.

— Mówię ci „tak”. Pracujesz na umowie z nami. To największe ryzyko wydawnicze, jakie kiedykolwiek podjąłem, i nie mogę się doczekać, kiedy wydam tę książkę.

Rozdział 74

Następnego wieczoru w Los Angeles zanurzyłem się jeszcze głębiej w atmosferę nierealności. Amanda w swojej miniaturowej kuchence przygotowywała czterogwiazdkowy obiad, a ja usiadłem przy jej biurku i zacząłem poszukiwania w Internecie. Towarzyszyły mi niedające się wymazać z pamięci obrazy egzekucji Kim McDaniels. Idąc ich tropem, odwiedziłem wiele stron internetowych, które omawiały zaburzenia osobowości. W krótkim czasie miałem w głowie klarowną charakterystykę seryjnego mordercy.

Wielu ekspertów było zgodnych co do tego, że seryjni zabójcy uczą się na własnych doświadczeniach i błędach. Ewoluuja. Obserwują cierpienia ofiar, szufladkują je w umyśle, nie są zdolni do rozumienia cudzego bólu. Podwyższają próg ryzyka w poszukiwaniu coraz silniejszych doznań.

Dlatego Henri jest taki szczęśliwy i zadowolony z siebie, pomyślałem. Na dodatek płacą mu za to, co uwielbia robić, a książka opisująca jego życiową pasję to ukoronowanie kariery mordercy.

Zawołałem Mandy. Przyszła do pokoju z drewnianą łyżką w ręku.

— Sos się przypali — ostrzegła.

— Chcę ci coś przeczytać. To opinia psychiatry, weterana z Wietnamu, autora wielu publikacji o seryjnych mordercach. Słuchaj: „Każdy z nas nosi w sobie zabójcę, ale gdy stajemy nad przepaścią, zdobywamy się na zrobienie kroku w tył. Faceci, którzy zabili, skoczyli w przepaść, pozostają w niej na całe lata i zabijają znowu, i znowu”.

— Nie będę ci mówiła: „Uważaj, na co się porywasz, Ben”, ale trudno sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała współpraca z tą... kreaturą.

— Uciekłbym od tego, gdybym mógł, Mandy. Uciekałbym, gdzie pieprz rośnie.

Amanda pocałowała mnie w czubek głowy i wróciła do sosu. Nie minęła minuta, gdy zadzwonił telefon. Usłyszałem, jak Mandy mówi:

— Proszę poczekać. Oddaję mu słuchawkę.

Podawała mi telefon z wyrazem twarzy, którego nie dałoby się opisać inaczej, jak śmiertelne przerażenie.

— To do ciebie. Wziąłem telefon.

— Halo?

— Więc jak przebiegło ważne spotkanie w Nowym Jorku? — zapytał Henri. — Czy mamy umowę na książkę?

Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Z najwyższym trudem zdobyłem się na opanowany ton.

— Pracuję nad tematem. Wymaga konsultacji i uzgodnień z wieloma osobami z uwagi na sumy, jakich żądasz.

— Nie to chciałem usłyszeć.

Miałem zielone światło od Zagamiego i powinienem od razu uspokoić Henriego, ale zamilkłem, spoglądając w mrok za oknem i zastanawiając się, gdzie teraz jest i skąd wie, że siedzę u Amandy.

— Zrobimy tę książkę, Ben — przerwał ciszę Henri. — Jeżeli Zagami nie jest zainteresowany, wydamy ją gdzie indziej. Tak czy owak pamiętaj, jaki ty masz wybór: pisać albo umrzeć.

— Nie wyraziłem się jasno, Henri. Mamy zgodę. Kontrakt jest przygotowywany. Papiery. Prawnicy. Trzeba wyliczyć honorarium i przygotować ofertę. To wielka korporacja, Henri.

— Przyjmuję to do wiadomości. Otwieraj butelkę szampana. Kiedy oferta będzie gotowa?

Poinformowałem go, że Zagami obiecał dać znać w ciągu paru dni i natychmiast prześle kontrakt. To wszystko była prawda, poszło dobrze, ale w mojej głowie kłębiły się czarne myśli.

Mam współpracować z wielkim białym rekinem, maszyną do zabijania, która nigdy nie śpi.

Henri obserwuje nas nawet teraz, czyż nie tak?

Obserwuje nas przez cały czas.

Rozdział 75

Henri nie podał mi miejsca docelowego, kiedy opisywał, jak mam jechać.

— Wjedź na międzystanową numer dziesięć i kieruj się na wschód. Zadzwoń i powiem co dalej.

W teczce miałem dokumenty: umowa z Raven-Wofford z załącznikami i zaznaczonymi linijkami do podpisu. Oprócz tego magnetofon, notatniki, laptop, a w tylnej przegródce, zapinanej na suwak, zasilacz do komputera i pistolet. Modliłem się do Boga, żeby dał mi szansę użycia tej broni.

Wsiadłem do samochodu i ruszyłem w kierunku autostrady. Nie czekała mnie zabawa, ale sytuacja była tak dziwaczna, że chciało mi się śmiać.

Miałem kontrakt na „bestseller wszech czasów”, o czym marzyłem przez lata, tyle że obwarowany był szczególną klauzulą: nienumerowanym paragrafem śmierci.

„Pisać albo umrzeć”, dźwięczało mi w uszach.

Czy jakikolwiek autor w czasach współczesnych pisał pod presją kary śmierci? Byłem pewien, że jestem unikatowym przypadkiem.

Była sobota, środek lipca, słoneczny dzień. Znalazłszy się na autostradzie, co minutę lub częściej patrzyłem we wsteczne lustro, żeby sprawdzić, czy mam ogon, ale wyglądało na to, że nie. Zjechałem na

stację benzynową, napełniłem bak, kupiłem kawę i pączka i wróciłem na szosę.

Po stu sześćdziesięciu kilometrach i dwóch godzinach jazdy usłyszałem telefon komórkowy.

— Wjedź na stanową sto jedenaście w kierunku na Palm Springs.

Przejechałem jeszcze około trzydziestu kilometrów, nim zobaczyłem tablicę informującą o zjeździe na drogę sto jedenaście. Zjechałem na nią i pułem naprzód, aż doprowadziła mnie do Palm Canyon Drive, która była ulicą jednokierunkową.

Zadzwoiła komórka i znowu dostałem instrukcje od mojego „partnera”.

— Gdy znajdziesz się w centrum, skręć w prawo w Tabquitz Canyon, a potem w lewo w Belardo. Nie wyłączaj się.

Wykonałem te dwa skręty, czując, że zbliżam się do miejsca naszego spotkania.

— Powinieneś widzieć przed sobą hotel Bristol.

Mieliśmy się więc spotkać w miejscu publicznym. Dobra nowina. Przynosząca ulgę. Niemal wpadłem w euforię. Podjechałem na hotelowy podjazd, wręczyłem kluczyki portierowi stojącemu przy wejściu do tego zacnego, starego eleganckiego hotelu, znanego z wysokiej klasy usług.

Usłyszałem głos Henriego, bo jak sobie życzył, nie rozłączyłem się.

— Idź do restauracji przy basenie. Stolik zarezerwowany jest na moje nazwisko: Henri Benoit. Pewnie jesteś głodny. Smacznego, Ben.

To było coś nowego.

Po raz pierwszy podał mi swoje nazwisko. Prawdziwe czy fikcyjne, nie wiedziałem, ale pomyślałem, że to dowód zaufania.

Idąc przez hol, cieszyłem się myślą, że zapowiada się cywilizowana współpraca.

Z otwieraniem butelek szampana.

Rozdział 76

Nad usytuowaną koło basenu restauracją Desert Rose rozpościerał się wielki dach z niebieskiego szkła. Promienie słońca odbijały się od białej marmurowej posadzki, tak że wchodząc, musiałem przymrużyć oczy. Powiedziałem kierownikowi sali, że jestem umówiony na lunch z panem Benoit.

— Jest pan pierwszy — powiedział uprzejmie.

Zaprowadził mnie do stolika, z którego miałem doskonały widok na basen, salę restauracyjną i alejkę biegnącą wokół hotelu i dalej na parking. Usiadłem plecami do ściany, otwartą teczkę postawiłem na krześle z prawej strony.

Do stolika podszedł kelner, zaproponował wybór drinków, polecając koktajl z grenadyną jako specjalność zakładu. Poprosiłem o wodę Pellegrino i gdy ją przyniósł, wychyliłem całą szklanekę i napełniłem ją znowu. Rozglądałem się, sprawdzając, czy nadchodzi Henri.

Spojrzawszy na zegarek, stwierdziłem, że czekam zaledwie dziesięć minut, a wydawało mi się, że przynajmniej dwa razy dłużej. Obserwując otoczenie, zadzwoniłem do Amandy i powiedziałem, gdzie jestem. Połączyłem się przez komórkę z Internetem i zacząłem szukać w sieci jakiegokolwiek wzmianki o Henrim Benoit.

Niczego, co by mnie mogło zainteresować, nie znalazłem.

Zadzwoiłem do Nowego Jorku do Zagami, zakomunikowałem, że czekam na Henriego, i choć słyszalność była marna, zaabiłem jeszcze trochę czasu, opowiadając Lenowi o jeździe na pustynię, wspaniałym hotelu i nastroju, w jakim jestem.

— Zaczyna mnie to ekscytować — powiedziałem. — Mam nadzieję, że bydlak podpisze kontrakt.

— Zachowaj czujność — przestrzegali Zagami. — Zдай się na instynkt. Dziwi mnie, że facet się spóźnia.

— Nie widzę w tym nic szczególnie dziwnego, chociaż denerwuje mnie czekanie.

Poszedłem do toalety i gdy wracałem, ogarnęła mnie panika. Byłem pewien, że Henri przybył i siedzi naprzeciwko mojego pustego krzesła.

Ciekawiło mnie, jak będzie dzisiaj wyglądał. Czy zobaczę kolejną metamorfozę? Jednak przy stoliku nikt nie siedział.

Podeszła kelnerka z wiadomością, że dzwonił pan Benoit, przeprosza za spóźnienie i prosi, żebym zaczął lunch bez niego.

Złożyłem zamówienie. Toskańską zupę fasolową z czarną kapustą doceniłem, ale *penne* tylko skosztowałem, nie smakowało mi danie, mimo że z całą pewnością pochodziło ze znakomitej kuchni. Zdażyłem poprosić o kawę z ekspresu, gdy zadzwoniła komórka.

Gapilem się na nią przez moment i w końcu, jakbym nie miał już nerwów w strzępach, odezwałem się spokojnie:

— Hawkins, słucham.

— Czy skończyłeś się posilać, Ben? Czeka cię jeszcze trochę siedzenia za kierownicą.

Rozdział 77

Miejscowość Coachella w Kalifornii, oddalona o czterdzieści pięć kilometrów na wschód od Palm Springs, liczy dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców. Przez kilka dni w roku, w kwietniu, podczas dorocznego festiwalu muzycznego, takiego małego Woodstock bez błota, ta liczba wzrasta o kolejne dwadzieścia tysięcy.

Wraz z końcem dni koncertowych Coachella wraca do zwykłego życia prowincjonalnego miasteczka, zagubionego w płaskim rolniczym rejonie, zamieszkanego przez latynoskie rodziny i sezonowych robotników, służącego kierowcom ciężarówek za miejsce krótkiego postoju.

Henri kazał mi szukać Luxury Inn. Motel odnalazłem z łatwością. Stał jako jedyna budowla na dłuższym odcinku autostrady, miał typowy kształt litery „U” z basenem w środku.

Zajechałem na tył motelu, jak kazał Henri, rozejrzałem się, gdzie jest pokój numer 229, bo taki mi podał.

Na parkingu stały dwa inne pojazdy. Jeden z nich było to auto z wypożyczalni, stary model mercedesa w czarnym kolorze. Domyślałem się, że przyjechał nim Henri. Do drugiego, niebieskiego forda pick-upa, doczepiona była stara wielka przyczepa, srebrna z niebieskimi

bocznymi pasami i klimatyzatorem na dachu. Tablica rejestracyjna informowała, że jest z Nevady.

Zgasilem silnik, sięgnąłem po teczkę i otworzyłem drzwi auta.

Na werandzie pokoju 229 pojawił się mężczyzna. Rozpoznałem Henriego dzięki temu, że wyglądał tak samo jak ostatnim razem, gdy go widziałem: kasztanowe włosy zaczesane do tyłu, gładko ogolony, bez okularów, przystojny facet, ale, jak Pan Bulwa, mógłby przeobrazić się w kogoś innego, gdyby dolepić mu wąsy, przewiązać opaskę na oku czy założyć na głowę baseballówkę.

— Zostaw teczkę w samochodzie, Ben! — krzyknął.

— Ale umowa...

— Sam po nią pójde. Teraz wysiądz z samochodu i odłóż komórkę na fotel kierowcy. Dziękuję.

Moje prawdziwe ja krzyczało: „Uciekaj! Gaz do dechy i spieprzaj”. Wziął jednak górę głos rozsądku. Podpowiadał: „Zostań, bo niczego nie osiągniesz, uciekając. Henri nie odpuści. Zabije ciebie i Amandę przy pierwszej okazji tylko dlatego, że go nie posłuchałeś”.

Zostawiłem teczkę i komórkę w samochodzie, po czym wysiadłem. Henri zbiegł po schodkach i kazał mi położyć ręce na masce. Obszukał mnie z wprawą zawodowca.

— Załóż ręce do tyłu, Ben — powiedział przyjaźnie.

Tyle tylko, że na plecach poczułem dotknięcie lufy.

Poprzednim razem, gdy stałem plecami do Henriego, znokautował mnie uderzeniem kolbą rewolweru w tył głowy. Nie miałem teraz czasu na przemyślenie konsekwencji, instynkt i doświadczenie gliniarza podpowiadały mi, co zrobić. Uskoczyłem w bok i już miałem się odwrócić, żeby go rozbroić, kiedy zamroczył mnie potworny ból.

Ręce Henriego ścisnęły mnie jak imadło, uniosły w powietrze i rzuciły na ziemię. Grzmotnąłem o beton plecami i tyłem głowy.

Upadłem ciężko, bolało strasznie, ale nie miałem czasu na sprawdzanie, czy jestem cały.

Henri położył się na mnie, przygniatając mnie do chodnika ciężarem swojego ciała, tak że stanowiliśmy jedność — jego pierś przylegająca do mojej, nogi splecione razem.

Teraz poczułem lufę rewolweru w uchu.

— Jeszcze jakieś pomysły? Daj spokój, Ben. Zaprezentuj mi się z lepszej strony.

Rozdział 78

Leżąc pod nim, nie mogłem nawet drgnąć, miałem wrażenie, że pękł mi kręgosłup i jestem sparalizowany. Amatorski zapaśnik weekendowy z czarnym pasem nie potrafiłby powalić mnie z taką siłą na matę.

— Mógłbym ci skrócić kark. Będziesz grzeczny?

— Tak — wydyszałem.

Wstał, złapał mnie za ramię i postawił na nogi.

— Teraz bez żadnych sztuczek. Odwróć się i ręce do tyłu. Zakul mnie w kajdanki. Szarpnął za nie tak mocno, że niemal wyrwał mi ręce ze stawów.

Popchnął mnie i przycisnął do mojego samochodu. Sięgnął po teczkę i postawił ją na chwilę na dachu auta. Wyjął z niej pistolet i rzucił pod siedzenie, aż wreszcie zablokował drzwi i podprowadził mnie do przyczepy.

— O co do diabła chodzi? — spytałem. — Dokąd jedziemy?

— Będiesz wiedział, gdy się dowiesz — odpowiedziała ta kreatura.

Otworzył drzwi przyczepy, szarpnął za kajdanki i wgramoliłem się do środka.

To była stara przyczepa, ale bardzo funkcjonalna. Na lewo część kuchenna ze stołem przymocowanym do ściany, dwa krzesła przykręcone

do podłogi. Na prawo kanapa, która prawdopodobnie pełniła również funkcję rozkładanego łóżka. We wnęce toaleta i łóżko połowe.

Manewrując mną, Henri doprowadził mnie do krzesła. Wyczułem pod kolanami jego krawędź. Usiadłem. Zarzucił mi na głowę czarny płócienny worek, a po chwili poczułem solidną opaskę zaciskającą się na mojej nodze. Zabrzęczał łańcuch i rozległ się szczęk zamka.

Zostałem przykuty do podłogi.

Henri poklepał mnie po ramieniu.

— Odpręż się. Nie zrobię ci krzywdy. Bardziej zależy mi na tym, żebyś napisał moją książkę, niż na zabiciu ciebie. Jesteśmy partnerami, Ben. Wzbudź w sobie trochę zaufania do mnie.

Byłem na łańcuchu i praktycznie oślepiiony. Nie wiedziałem, dokąd Henri mnie zabiera. Z pewnością nie miałem do niego ani krzty zaufania.

Usłyszałem trzask zamykanych drzwi i obrót kluczyka w zamku. Henri zapalił silnik. Klimatyzator pompował do środka zimne powietrze przez wentylator na dachu.

Przez mniej więcej pół godziny jechaliśmy po gładkiej nawierzchni, potem skręciliśmy w prawo w wyboistą drogę. Skręciliśmy kilka razy. Próbowałem wpierać się mocno w plastikowe krzesło, ale raz po raz uderzałem bądź w ścianę, bądź w stół.

Po jakimś czasie zgubiłem się w liczeniu zakrętów i straciłem poczucie czasu. Byłem potwornie upokorzony, że tak łatwo dałem się unieszkodliwić. Musiałem spojrzeć w oczy brutalnej, choć prostej prawdzie: to Henri dyktuje warunki. To jego gra. Mnie zabrał ze sobą w drogę.

Rozdział 79

Po godzinie, może półtorej, zatrzymaliśmy się i drzwi przyczepy się otworzyły. Henri ściągnął mi kaptur z głowy.

— Końcowy przystanek, stary. Jesteśmy w domu.

Przez otwarte drzwi zobaczyłem płaską niegościnną pustynię. Piaszczyste wydmy ciągnęły się po horyzont, upstrzone drzewami Jozuego* z kwiatostanami przypominającymi mopy, po niebie krążyły myszołowy. [*Jucca brevifolia* – juka krótkolistna, zwana też drzewem Jozuego]

Mój umysł również krążył wokół jednej myśli: jeżeli Henri mnie tu zabije, nikt nigdy nie odnajdzie mojego ciała. Mimo zimnego powietrza z klimatyzatora, pot spływał mi po szyi i karku. Henri oparł się o wąski blat pokryty laminatem.

— Dowiadywałem się tu i ówdzie, jak wygląda taka współpraca – powiedział. — Wygląda na to, że potrzeba około czterdziestu godzin wywiadu, żeby zebrać wystarczający materiał na książkę. Podzielasz tę opinię?

— Zdejmij mi kajdanki, Henri. Tu nie istnieje ryzyko, że ucieknę.

Otworzył niedużą lodówkę za sobą i pokazał mi jej zawartość. Butelki z wodą mineralną, regenerującym napojem o nazwie Gatorade,

rozliczne puszki i opakowania z jedzeniem. Wyciągnął dwie butelki wody mineralnej i jedną postawił przede mną na stole.

— Założmy, że pracujemy osiem godzin dziennie. Spędzimy tutaj, jak z tego wynika, około pięciu dni.

— Tutaj, to znaczy...

— Miejsce zwane Joshua Tree, od rosnących tu drzew, które widzisz. Kemping jest zamknięty z powodu naprawy drogi, ale prądu nie wyłączyli.

Park Narodowy Joshua Tree to osiemset tysięcy akrów dzikiego pustynnego krajobrazu, piaski porośnięte juką i wypiętrzające się formacje skalne o dziwnych kształtach. Podobno z lotu ptaka widoki są niesamowite, ale normalnych ludzi nie ciągnie do biwakowania w potwornym upale w środku lata. W moim pojęciu mało kto chciałby przyjechać na ten kemping.

— Jeśli przyjdzie ci do głowy, że możesz się stąd wydostać, oszczędź sobie trudu — powiedział Henri. — To jest Alcatraz w pustynnym wydaniu. Tkwimy tu w oceanie piasku. Temperatura w dzień sięga niemal pięćdziesięciu stopni. Nawet gdybyś wystartował w nocy, nie zdążysz dojść do drogi, wcześniej usmażysz się na słońcu. Więc proszę i szczerze radzę, nie ruszaj się stąd.

— Pięć dni, tak?

— Wrócisz do Los Angeles na weekend, słowo skauta.

— Dobrze. Więc co z tym?

Wyciągnąłem rękę, a Henri zdjął mi kajdanki.

Rozdział 80

Potarłem nadgarstki, wstałem z krzesła i jednym haustem wypilem szklanką zimnej wody. Te proste przyjemności odczułem jak zastrzyk pozytywnej energii. Przypomniałem sobie entuzjazm Zagamiego. Pomyślałem, że dawne, pokryte kurzem zapomnienia sny o pisarskiej sławie mogą się urzeczywistnić.

— Dobrze, zabierzmy się do roboty — powiedziałem.

W cieniu przyczepy rozłożyliśmy przedsiónek, ustawiliśmy dwa składane krzeselka i stolik do kart. Z otwartych drzwi przyczepy płynął lekki strumień chłodnego powietrza, mile łaskoczący po karku. Najpierw przystąpiliśmy do omówienia kwestii formalnych.

Pokazałem Henriemu umowę, wyjaśniając, że jest na moje nazwisko, ponieważ Raven-Wofford może płacić tylko autorowi.

— Ja będę płacił tobie — powiedziałem. — Wyплаты będą dokonywane w ratach, pierwsza zaliczka po podpisaniu kontraktu, druga po akceptacji maszynopisu, a ostateczne rozliczenie po ukazaniu się książki.

— Sprytne ubezpieczenie na życie dla ciebie — zarechotał Henri.

— To standardowe warunki umowy zabezpieczające wydawcę w razie śmierci autora w wypadku samochodowym lub innych podobnych okolicznościach.

Przedyskutowaliśmy podział pieniędzy, jeżeli za negocjacje można uznać dyktowanie warunków przez jedną stronę.

— To moja książka, zgadza się? — rzekł Henri. — A będzie na niej twoje nazwisko. To więcej warte niż jakiekolwiek pieniądze, Ben.

— Więc dlaczego nie miałbym pracować za darmo?

Henri się roześmiał.

— Masz pióro?

Podąłem mu długopis i Henri wpisał swoje aktualne nazwisko na wykropkowanej linii. Potem zapisał mi numer swojego konta bankowego w Zurychu.

Odłożyłem umowę na bok, a Henri pociągnął z przyczepy kabel elektryczny. Włączyłem komputer, potem magnetofon, i sprawdziłem, czy dobrze działa.

— Jesteś gotowy? — spytałem.

— Jestem gotowy opowiedzieć wszystko, co będzie ci potrzebne do napisania tej książki, ale nie zdradzę niczego, co mogłoby kogokolwiek naprowadzić na mój trop. Czy to jasne?

— To twoja historia, Henri. Opowiesz ją tak, jak zechcesz.

Usiadł wygodnie na plażowym krzeselku, skrzyżował ręce na twardym brzuchu i zaczął od początku.

— Wychowywałem się w zapadłej dziurze, w prowincjonalnym miasteczku... gdzieś tam. Rodzice mieli fermę drobiu, byłem ich jedynym dzieckiem. Tworzyli żalostną parę. Ojciec pił. Bił matkę, bił mnie. Ona też mnie tłukła i nieraz przywaliała jemu.

Henri opisał czteropokojowy domek i swój pokój na strychu nad sypialnią rodziców.

— Między deskami podłogi była szczelina — mówił. — Nie widziałem ich łóżka, ale widziałem cienie i słyszałem, co robili. Seks i rękoczyn. Każdej nocy. Nad tym spałem.

Opowiadał o trzech zaniedbanych kurnikach i że jako sześciolatek musiał zabijać kurczaki przedpotopową metodą ucinania im głów na drewnianym kłocu.

— Staralem się wypełniać swoje obowiązki jak grzeczny chłopiec. Chodziłem do szkoły. Chodziłem do kościoła. Robiłem wszystko, co mi kazano, i próbowałem unikać ojcowskich razów. Ale wciąż spotykały mnie z jego strony upokorzenia.

— Moja matka... Przebaczyłem jej. Ale przez lata prześladował mnie sen, że zabijam ich obydwoje. Taki koszmar, w którym widziałem ich głowy na kłocu na podwórzu. Brałem zamach siekierą i patrzyłem, jak uciekają ich bezgłowe ciała. Gdy budziłem się z tego snu, przez chwilę wydawał mi się rzeczywistością. Wierzyłem, że naprawdę to zrobiłem. — Spojrzał na mnie. — I tak żyłem. Wyobraź to sobie, Ben. Widzisz chłopaczka z siekierą w ręku w obryzganych krwią ogrodniczkach?

— Potrafię to sobie wyobrazić. Bardzo smutna historia. Ale jak na początek książki, brzmi dobrze.

Henri pokręcił głową.

— Na początek mam dla ciebie coś lepszego.

— Zamieniam się w słuch.

Henri pochylił się i objął rękami kolana.

— Film poświęcony mojemu życiu zacząłbym od scen na letnim jarmarku. W centrum akcji będę ja i piękna blondynka, która miała na imię Lorna.

Rozdział 81

Co chwila rzucałem okiem na magnetofon, by upewnić się, że rolki się kręcą.

Podmuch suchego wiatru sypnął piaskiem, po moim bucie przebiegła jaszczurka. Henri przecesał włosy palcami obu rąk. Wydawał się zdenerwowany, podminowany. Nie widziałem dotąd u niego takiego niepokoju. Jego zdenerwowanie udzieliło się i mnie.

— Opisz tę scenę, Henri. To był letni jarmark, tak?

— Nazwij to, jak chcesz. Plody rolne i zwierzęta po jednej stronie drogi, wesołe miasteczko i kioski z żarciem po drugiej. Żadnych bliższych tropów, Ben. To mogło być w szwajcarskim Wengen, brytyjskim Chipping Camden czy w Cowpat w Arkansas. Nieważne, gdzie to było. Wystarczy, że wyobrazisz sobie kolorowe lampiony, roześmianych ludzi i naprzeciwko plac z wystawianymi zwierzętami, gdzie dobijano targów. Tam gra szła o wszystko, o gospodarstwa, o przyszłość tych ludzi. Miałem czternaście lat — ciągnął. — Rodzice prezentowali egzotyczną odmianę kurcząt w namiocie z ptactwem. Robiło się późno i ojciec kazał mi przyprowadzić naszą ciężarówkę z oddalonego o kawałek drogi parkingu wydzielonego dla wystawców. Mijając pawilony zjedzeniem, zobaczyłem w jednym z nich Lornę. Sprzedawała ciastka.

Była w moim wieku i w tej samej klasie w szkole. Blondynka, trochę nieśmiała. Książki nosiła zawsze przyciśnięte do piersi, tak że nie mogłem oglądać jej dekoltu. Trochę jednak dało się zobaczyć. Nie było w niej ani jednej rzeczy, której bym nie pragnął.

Kiwnąłem głową ze zrozumieniem i Henri kontynuował:

— Pamiętam, że tamtego dnia była ubrana na niebiesko. Dzięki temu jej włosy były jaśniejsze niż zwykle, a gdy po wiedziałem „cześć”, wydawała się zadowolona. Zapytała, czy nie chciałbym kupić coś do zjedzenia. Wiedziałem, że ojciec mnie zabije, jeżeli nie wrócę z ciężarówką, byłem jednak gotów na najgorsze, bo szalałem za tą piękną dziewczyną.

Henri kupił ciastko nie sobie, lecz Lornie, i poszli razem do wesołego miasteczka, a gdy kolejka górską pikowała w dół, Lorna trzymała go za rękę.

— Narastała we mnie jakaś dzika czułość wobec tej dziewczyny. Gdy zesliśmy z karuzeli, pojawił się inny chłopak, Craig czy jakoś tak. Parę lat starszy. Ignorując mnie, powiedział Lornie, że ma bilety na diabelski młyn, a z takiej wysokości jarmark pod rozgwieżdżonym niebem i w świetle lamp wygląda bajkowo. „Och, chciałabym to zobaczyć!”, wykrzyknęła Lorna i zapytawszy na odczepne, czy nie mam jej tego za złe, odwróciła się na pięcie i odeszła z tamtym chłopakiem. Ba, ale ja miałem za złe, Ben. Patrzyłem, jak się oddalają, a potem powlokłem się z ciężkim sercem po ciężarówkę i tęgie lanie. Na parkingu nasza ciężarówka stała obok przyczepy do przewozu bydła. Przy niej zobaczyłem inną dziewczynę ze szkoły, Molly, która próbowała zmusić dwa cielaki z ozdobnymi kokardami na ogłowie do wejścia na przyczepę. Zaoferowałem jej pomoc, ale zbyła mnie niezachęcająco: „Dziękuję, dam sobie radę sama”, i nadal siłowała się z cielakami, które za nic nie chciały wleźć na rampę.

Źle mnie potraktowała, Ben, to mi się nie spodobało. Uważałem, że przekroczyła granice dobrego wychowania. Złapałem łopatę opartą o

przyczepę, i gdy Molly odwróciła się tyłem do mnie, uderzyłem ją w tył głowy. Usłyszałem głuchy trzask, przeszył mnie dziwny dreszcz. Molly osunęła się na ziemię.

Henri zamilkł. Cisza się przeciągała, ale go nie popędzałem. Wreszcie zdecydował się mówić dalej:

— Wciągnąłem ją do przyczepy i zamknąłem tylną klapę. Zaczęła głośno zawodzić. Ostrzegalem, że nikt jej nie usłyszy, ale nie przestała. Moje ręce same zacisnęły się wokół jej szyi i dusiły ją, jakby odtwarzały czynność, którą już kiedyś wykonywały. Prawdopodobnie dusiłem niejedną raz we śnie.

Henri obrócił zegarek na rękę i spojrzał na pustynię. Gdy znowu na mnie popatrzył, jego oczy były pozbawione wyrazu.

— Usłyszałem śmiech i rozmowę przechodzących obok przyczepy mężczyzn. Zacisnąłem ręce na jej szyi tak mocno, że aż mnie zaboląły. Poprawiłem chwyt i dusiłem Molly, aż przestała oddychać. Zwolniłem uścisk, zacerpnęła powietrza, ale już nie kwiczała. Wymierzyłem jej policzek i w tym momencie mi stwardniał. Zdarłem z niej ubranie, obróciłem twarzą do mnie i rznąłem ją, nie odrywając rąk od jej szyi. Kiedy wytrysnąłem, zadusiłem ją na dobre.

— Powiedz mi, co myślałeś, kiedy jej to robiłeś?

— Chciałem, żeby to trwało wiecznie. Takie przeżycie nie powinno się kończyć. Wyobraź sobie, Ben, szczytowanie z poczuciem, że masz władzę nad życiem i śmiercią. Uważałem, że zasługuję na takie doznania. Chcesz wiedzieć, jak się czułem? Czułem się, jakbym był Bogiem.

Rozdział 82

Następnego ranka obudził mnie odgłos rozsuwanych drzwi oraz potok światła, prawie białego słońca, zalewający wnętrze przyczepy. I głos Henriego:

— Czekam z kawą i bułkami, koleś. Będą też jajka. Śniadanie dla partnera.

Usiadłem na rozkładanym łóżku, a Henri włączył kuchenkę, rozbił jajka w miseczce, zaskwierczał tłuszcz na patelni. Gdy skończyłem jeść, mój „partner” zawiózł mnie do zamkniętego posterunku straży leśnej odległego o półtora kilometra.

Podczas jazdy trzymałem rękę na klamce i rozglądałem się po piaszczystych wydmach. Między głazami przebiegł dziki królik, drzewa Jozuego rzuciły na piasek ostre cienie — więcej oznak życia nie było.

Gdy wyszedłem spod natrysku, wróciliśmy do naszej bazy i rozpoczęliśmy kolejny dzień pracy pod daszkiem przedsionka. Wciąż myślałem o tym, że Henri przyznał się do popełnienia morderstwa. Gdzieś na prowincjonalnym jarmarku została uduszona czternastoletnia dziewczynka. Musi istnieć świadectwo jej zgonu.

Czy Henri pozwoli mi żyć, skoro wiem o tym dziecku?

Powrócił do historii z Molly w miejscu, w którym przerwał poprzedniego wieczoru.

Był bardzo ożywiony, gestykulował, opowiadając, jak ciągnął ciało Molly do lasu i zakopywał pod stosem liści, wyobrażając sobie strach, jaki padnie na uczestników jarmarku i okoliczne miasteczka, gdy zostanie zgłoszone zaginięcie dziewczyny.

Wziął udział w poszukiwaniach, rozklejał plakaty, był obecny na czuwaniu przy ciele w świetle świec, cały czas pielęgnując w sercu swój sekret, dumny, że to on zabił Molly i udaje mu się uniknąć kary.

Opisał mi pogrzeb dziewczynki, białą trumnę pod kobiercem z kwiatów, płaczących ludzi, rozpacz matki i ojca Molly, jej rodzeństwa.

— Zastanawiałem się, co czują ci ludzie w żałobie — mówił. — Znasz historie najślawniejszych seryjnych morderców, Ben? Gacy, BTK, Dahmer, Bundy. Oni wszyscy działali pod wpływem niekontrolowanego, wzmożonego popędu seksualnego. Przemyślałem tę kwestię w nocy. Ważne jest, żebyś w tej książce wypunktował wyraźną różnicę między nimi a mną.

— Chwileczkę, Henri. Opowiedziałeś mi, co przeżywałeś, gwałcąc i mordując Molly. A film z tobą i Kim McDaniels? I wmawiasz mi teraz, że nie jesteś podobny do tamtych? Jak mam to rozumieć?

— Nie chwytasz sedna. Posłuchaj uważnie, Ben. To klucz do mnie. Zabiłem parę tuzinów kobiet, a przedtem uprawiałem z nimi seks. Lecz z wyjątkiem Molly, gdy zabijałem, robiłem to dla pieniędzy.

Dobrze, że mój magnetofon nagrywał to wszystko, ponieważ moje ja rozpadło się na trzy części.

Ja, pisarz, kombinowałem, w jaki sposób skleić przekazywane mi przez Henriego opowieści we frapującą fabułę.

Ja, glina, starałem się wyłapać z tego, co mówił Henri i o czym mówić nie chciał, oraz ze słabych punktów, o których istnieniu nie wiedział,

jakieś tropy umożliwiające ustalenie jego prawdziwej tożsamości.

Najciężej pracowała jednak ta część mojej jaźni, która chciała przeżyć.

Henri powiedział, że zabijał dla pieniędzy, ale Molly udusił z wściekłości. Zagroził mi, że mnie zabije, jeżeli mu się nie podporządkuję. Wynikało z tego, że łamię własne zasady w dowolny sposób.

Słuchałem. Poznawałem wszystkie aspekty osobowości Henriego Benoit. Miałem wyciągnąć z tego wnioski, jak się zachowywać, żeby ujść z życiem.

Rozdział 83

Henri przyszedł z kanapkami i winem. Gdy odkorkował butelkę, zadałem mu pytanie:

— Jak wygląda twoja umowa z Podglądaczami?

— Nazywają swoją grupę Przymierzem. — Napelnił dwa kieliszki i podał mi jeden. — Raz mi się zdarzyło nazwać ich Podglądaczami i to się więcej nie powtórzy. Nie będę dla nich pracował, nie będę miał pieniędzy. — Przeszedł na niemiecki akcent. — „Jesteś niedobrym chłopcem, Henri. Nie próbuj z nami żartować” — przedrzeźniał swoich mocodawców.

— Rozumiem, że ci z Przymierza to Niemcy?

— Jeden z nich jest Niemcem. Horst Werner. To prawdopodobnie fałszywe nazwisko. Nigdy nie sprawdzałem. Inny Podglądacz nazywa się Jan van der Heuvel, Holender. To jest, a może nie jest fałszywe nazwisko. Rozumie się samo przez się, że zmienisz w książce wszystkie nazwiska, Ben, jasne? Tak czy owak, ci ludzie to nie głupcy, nie dadzą się na niczym przyłapać.

— Oczywiście, rozumiem.

Kiwnął głową i mówił dalej, ale jego ożywienie zgasło, głos nabral twardości, zniknęła nuta kpiny.

— Jest jeszcze kilka innych osób w Przymierzu. Nie wiem, kim są. Żyją w cyberprzestrzeni. No tak, jedną z nich znam: Ginę Prazzi. Ona mnie zwerbowała.

— To brzmi interesująco. Zwerbowano cię? Opowiedz mi o Ginie.

Sącząc wino, Henri zaczął opowiadać o pięknej kobiecie, którą poznał wkrótce po swoich ponurych doświadczeniach w irackim więzieniu.

— Gdy jadłem lunch w ogródku niewielkiego bistra w Paryżu, przyciągnęła moją uwagę wysoka, szczupła, niezwykła kobieta siedząca przy sąsiednim stoliku. Miała bardzo bladą karnację, gęste, rude włosy przytrzymywała okularami przeciwsłonecznymi, podziwiałem jej wysokie piersi i długie nogi. Zwróciłem uwagę na trzy zegarki z brylantami na nadgarstku. Wyglądała bogato, wytwornie, zdecydowanie niedostępnie, i zapragnąłem ją mieć. Położyła pieniądze na rachunku i wstała, żeby wyjść. Chciałem ją zagadnąć, ale wykrztusiłem tylko pytanie o godzinę. Przesuwała po mnie wzrokiem od oczu do czubków butów i z powrotem. Miałem na sobie tani garnitur. Zaledwie kilka tygodni temu byłem jeszcze w więzieniu. Rany się zagoiły, siniaki zniknęły, ale wyglądałem nędznie. W moich oczach przetrwało wspomnienie tortur, potworności, na które się na patrzyłem, koszmarów na jawie. Coś ją jednak we mnie zaintrygowało. To anielskie zjawisko, ta kobieta, której imienia jeszcze nie znałem, powiedziała nieoczekiwanie: „Mam czas paryski, nowojorski, szanghajski... i mam również czas dla ciebie”.

Głos Henriego zmiekkł, gdy mówił o Ginie Prazzi. Jakby przeżywał na nowo tamto spełnienie, które przyszło po latach życia spędzonych w nędzy i poniżeniu.

Powiedział, że zostali przez tydzień w Paryżu, do którego Henri jeździ odtąd co roku we wrześniu. Spacerowali po placu Vendôme, robili zakupy, Gina obdarowała go kosztownymi prezentami, kupowała mu drogie ubrania, płaciła za wszystko.

— Pochodziła z rodziny majątnej od wieków — wyjaśnił Henri. — Należała do świata bogaczy, o którym nie miałem pojęcia.

Po tym paryskim tygodniu krążyli jachtem Giny po Morzu Śródziemnym. Lazurowe Wybrzeże to jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie, zapewniał mnie Henri.

Opowiadał o miłosnych nocach na jachcie, rozkołysanych falach, najdroższych winach, wytwornych kolacjach w ekskluzywnych restauracjach.

— Piłem Glen Garloch, whisky z rocznika tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego, której butelka kosztowała dwa tysiące sześćset dolarów. I jeszcze ci powiem o posiłku, którego nie zapomnę. Ravioli z nadzieniem z morskiego jeżowca, bitki z królika z koprem włoskim, mascarpone i cytryną. Pomyśl tylko, takie żarcie dla chłopaka ze wsi i jeńca wojennego al-Kaidy.

— Ja mogę jeść na okrągło steki z frytkami — mruknąłem.

Henri się zaśmiał.

— Nie masz za sobą kulinarnej podróży po restauracjach tamtego rejonu. Mógłbym być twoim przewodnikiem. Zabrałbym cię też do paryskich cukierni, do La Maison du Chocolat. Zmieniłbyś nawyki, Ben... Ale mówiłem o Ginie, kobiecie o wyrafinowanych gustach. Któregoś dnia przy naszym stole pojawił się nieznany mi facet, Holender, Jan van der Heuvel.

Twarz Henriego stężała. Opowiedział mi, że poszli z nim do ich pokoju hotelowego, gdzie van der Heuvel, siedząc w kącie na fotelu, wykrzykiwał do nich, niczym reżyser spektaklu, instrukcje, gdy się kochali.

— Nie spodobał mi się ten gość ani jego upodobania, ale parę miesięcy wcześniej sypiałem we własnym gównie, jedząc robactwo. Jest van der Heuvel — dobrze, nie ma go — drugie dobrze. Zrobiłbym wszystko, żeby zostać z Giną.

Głos Henriego zagłuszył warkot helikoptera lecącego nisko nad pustynną doliną. „Partner” groźnym spojrzeniem przygwoździł mnie do krzesła.

Wróciła cisza pustyni, ale potrzebował trochę czasu, żeby podjąć swą opowieść.

Rozdział 84

— Nie kochałem jej — mówił. — Fascynowała mnie jednak, miałem obsesję na jej punkcie. No dobrze, może na swój sposób ją kochałem. — Po raz pierwszy przyznał się do ludzkiej słabości, wrażliwości. — Któregoś dnia w Rzymie Gina wypatrzyła dziewczynę...

— Był z wami ten Holender czy zniknął ze sceny?

— Niezupełnie zniknął. Wrócił do Amsterdamu, ale jego i Ginę łączyła dziwna więź. Bez przerwy wisieli na telefonie. Ściszała głos, gdy z nim rozmawiała, śmiała się. Musiałem to znosić, wyobrażasz sobie? Gość lubił patrzeć. Fizycznie Gina była ze mną.

— Wróć do tej dziewczyny. Byliście w Rzymie — przypomniałem mu o wątku, który zaczął.

— Tak, tak. No więc Gina wypatrzyła dziewczynę, która zarabiała dupą na chesne, znana sprawa. Debiutująca kurewka z Pragi na Universita degli Studi di Roma. Nie pamiętam, jak miała na imię, ale dupę miała gorącą i ufała ludziom. Gdy byliśmy w łóżku, we trójkę, Gina zasugerowała, żebym zacisnął ręce na szyi dziewczyny. To technika erotyczna zwana „zabawą w podduszanie”. U obu stron wzmacnia orgazm. I żeby uprzedzić twoje pytanie, tak, oczywiście, podnieciła

mnie perspektywa ponownego odwiedzenia rajów, w którym znalazłem się z Molly. Kiedy nasza prazanka straciła przytomność, rozluźniłem ucisk, żeby złapała oddech. A potem Gina wzięła do ust mojego kutasa. Nagle powiedziała: „Załatw ją, Henri”. Zacząłem włożyć na dziewczynę, na co Gina: „Nie zrozumiałeś, Henri. Załatw ją na dobre”. Sięgnęła do nocnego stolika, zgarnęła kluczyki od ferrari i pomachała mi nimi przed nosem. To była oferta: samochód za odebranie dziewczynie życia. Zabiłem tę dziewczynę. Kochaliśmy się z Giną obok leżącego na łóżku nieruchomego ciała. Gina była naelektryzowana jak nigdy, wiała się dziko w moich rękach. Szczytowała w misterium śmierci i życia, zmartwychwstała jako łagodniejsza, cieplejsza kobieta.

Henri też się odprężył, jakby nie potrzebował już mowy ciała. Opowiadał o fascynujących jazdach ferrari, trzydniowym wypadzie do Florencji, całkowitej adaptacji do nowego stylu życia, które miało trwać już zawsze.

— Wkrótce po powrocie z Florencji Gina powiedziała mi o istnieniu Przymierza, nie kryjąc, że Jan jest jego ważnym członkiem.

Relacja z podróży po Europie Zachodniej się zakończyła. Henri wyprostował się i nadał tempo opowiadaniu. Stał się rzeczowy.

— Gina przedstawiła mi Przymierze jako tajną organizację ludzi „najlepszych”, przez co rozumiała bogatą, zdemoralizowaną elitę. Powiedziała, że chętnie mnie wykorzystają, to znaczy „wykorzystają moje talenty”, jak to ujęła. Zapewniła, że będę sownie wynagradzany. Nie kochała mnie. Wybrała mnie z premedytacją. To mnie zabolalo. Początkowo chciałem ją zabić. Ale nie miałyby to sensu, przyznaj, Ben. Popęlniłbym głupstwo.

— Ponieważ dzięki niej wynajęli cię do zabijania?

— Właśnie.

- Jednak nie do końca rozumiem, co oni z tego mają?
- Benjaminie — Henri przemawiał cierpliwie, jakby tłumaczył coś dziecku — oni nie wynajęli mnie do brudnej roboty. Ja filmuję swoją robotę. Robię dla nich filmy. Płacą za oglądanie mnie w akcji.

Rozdział 85

Po tym wyjaśnieniu przypadek Henriego i cała układanka nabrały dla mnie klarowności. Zabijał, a seks i egzekucje w swoim wykonaniu filmował dla wybranej publiczności, która płaciła mu ogromne honoraria. Wyrafinowana scenografia śmierci Kim przestała dziwić, miała sens. Filmowe tło wyczynów seksualnego zbrojcy. W dalszym ciągu nie rozumiałem jednak, dlaczego Henri utopił Levona i Barbara. Jak to wytłumaczyć?

— Wracając do Podglądaczy, opowiedz o realizacji ich zamówienia na Hawajach.

— Zrozumiałem ich intencję i miałem w pamięci, że zostawiają mi dużą swobodę twórczą — mówił Henri. — Wybrałem Kim, ponieważ zachwyliły mnie jej zdjęcia. Użyłem fortelu, żeby uzyskać informacje od jej agencji. Dali się nabrać na bajkę, że chcę ją zaangażować. Zapytałem, kiedy wróci z... tu zawiesiłem głos. Jakaś cipa dopowiedziała, że z Hawajów, a mając tę wskazówkę, bez trudu ustaliłem, na której wyspie będzie przebywała, kiedy i w jakim hotelu. Czekając na Kim, dla zabicia czasu zamordowałem Rosę. Potraktowałem to jako zachętę dla Podglądaczy, jako *amuse-bouche*...

— Jako co?

— Przystawkę na rachunek firmy. W przypadku Rosy Castro Przymerze nie złożyło zamówienia. Wystawiłem film na aukcji, bo trzeba ci wiedzieć, że jest duży rynek na te rzeczy. Zarobiłem ekstra pieniądze i dopilnowałem, żeby film trafił do Holendra. Jan lubi małe dziewczynki, a chciałem rozbudzić w Podglądaczach duży apetyt na moje dzieła. Kiedy Kim przyleciała na Maui na sesję, nie spuszczałem jej z oka.

— Czy meldowałeś się w hotelu pod nazwiskiem Nils Bjorn?

Zaskoczyłem Henriego. Ściągnął brwi.

— Skąd o tym wiesz?

Popełniłem błąd. Nieświadomie. Gina Prazzi skojarzyła mi się z nieznajomą, która dzwoniła do mnie na Hawaje, radząc sprawdzić w recepcji faceta o nazwisku Nils Bjorn. Skojarzenie okazało się najwyraźniej strzałem w dziesiątkę — Henri był wzburzony.

Ja tymczasem zastanawiałem się, dlaczego Gina go zdradziła. Czego jeszcze nie wiem o nich dwojgu?

Ten wątek wydawał się kryć jakiś haczyk na Henriego, lecz ostrzegłem sam siebie. Musisz być ostrożny, nie wkurzać go. Musisz być ostrożny. Dla własnego bezpieczeństwa.

— Ktoś dał cynk policji — odpowiedziałem na jego pytanie. — Handlarz bronią o tym nazwisku opuścił Wailea Princess mniej więcej w tym czasie, kiedy zaginęła Kim. Nie udało się go przesłuchać.

— Zdradzę ci coś, Ben. To ja byłem tym Bjornem, ale wymazałem ślady po nim. Już nigdy nie posłużę się jego tożsamością. Ten trop jest dla ciebie bezużyteczny.

Rozdział 86

Osloniłem ręką oczy, by nie raziło mnie słońce, i spojrzałem na drogę ciągnącą się przez pustynię na zachód. Zza wzgórza wyłonił się ciemny sedan.

— Zbieraj swoje rzeczy, szklankę i krzesło i włącz do środka. Natychmiast!

Zrobiłem, co kazał, zwinąłem się błyskawicznie. Henri wszedł za mną do przyczepy. Odpiął łańcuch od podłogi i przypiął go pod umywalkę. Podał mi moją marynarkę i kazał wejść do łazienki.

— Jeżeli nasz gość okaże się zbyt wścibski — powiedział Henri, myjąc szklanki po winie — będę musiał go unieszkodliwić. To będzie oznaczało, że staniesz się świadkiem morderstwa, a to dla ciebie nic dobrego.

Wcisnąłem się do maleńkiej łazienki i nim zgasilem światło, spojrzałem w lustro. Miałem trzydniowy zarost i pomiętą koszulę. Wyglądałem niechlujnie. Jak menel.

Ścianka łazienki była cienka i mogłem wszystko przez nią słyszeć. Rozległo się pukanie do drzwi, Henri otworzył. Dobiegło mnie ciężkie stąpanie po schodkach.

— Proszę wejść, poruczniku. Jestem brat Michael — usłyszałem Henriego.

— Porucznik Brooks z ochrony parku. — Kobieta miała mocny, autorytatywny głos. — Ten kemping jest zamknięty, proszę pana. Nie widział pan blokady drogi i tablicy, na której wielkimi literami napisano „Wstęp wzbroniony”?

— Przepraszam, chciałem się pomodlić w ciszy i spokoju. Jestem z zakonu kamedułów z Big Sur. Przyjechałem tu na indywidualne rekolacje.

— Jak dla mnie może pan być równie dobrze akrobatą z Cirque du Soleil. Nie ma pan tu czego szukać.

— Bóg mnie tu przyprowadził — tłumaczył Henri. — Jego tutaj szukam. Nie chcę nikomu przeszkadzać. Przepraszam.

Wyczuwałem napięcie za ścianką. Jeżeli strażniczka zdecyduje się wezwać przez radio pomoc, już jest martwa. Lata temu, jeszcze podczas służby w Portlandzie, cofając radiowóz, przewróciłem wózek inwalidzki ze starym człowiekiem. Kiedy indziej wziąłem na celownik chłopaczka, który wyskoczył pomiędzy dwóch aut, mierząc we mnie z pistoletu na wodę. Za jednym i drugim razem serce waliło mi jak młotem, ale teraz, Bóg mi świadkiem, wyskakiwało mi z piersi.

Nie śmiałem nawet drgnąć, bo niechby, dajmy na to, sprzączka od paska brzęknęła o umywalkę — strażniczka nie mogłaby tego nie usłyszeć. Gdyby mnie zobaczyła i chciała przepytować, Henri nie wahałby się do niej strzelić. Miałbym ją na sumieniu.

Niedługo, bo potem rozwaliliby łeb mnie.

Modliłem się, żeby nie kichnąć.

Rozdział 87

Funkcjonariuszka powiedziała, że rozumie potrzebę ucieczki na pustynię na czas modlitwy i medytacji, ale pustynia jest niebezpieczna.

— Gdyby nie to, że pilot śmigłowca zauważył przyczepę, nie dotarłby tu żaden patrol. A co by się stało, gdyby zabrakło panu benzyny? Lub skończył się zapas wody? Nikt by pana nie odnalazł i śmierć pewna. Poczekam, aż się pan spakuje — zdecydowała porucznik Brooks.

Zatrzeszczało radio i usłyszałem, jak porucznik odpowiada:

— Mam go, Yusefie.

Czekałem na nieunikniony odgłos strzału, szykowałem się na otwarcie drzwi kopniakiem i próbę wyrwania broni z ręki Henriego, licząc na to, że uratuję biednej funkcjonariuszce życie.

Znowu usłyszałem jej głos. Mówiła do swojego partnera:

— To zakonnik. Pustelnik. Tak, jest sam. Nie, nie, wszystko mam pod kontrolą.

Zamilkła i odezwał się Henri:

— Pani porucznik, robi się późno. Wyjadę rano, to żaden problem. Byłbym wdzięczny za zezwolenie na nocną medytację.

Zapadło milczenie, widać porucznik rozważała, czy ulec prośbie Henriego. Wypuściłem z płuc powietrze i nieśmiało zrobiłem wdech. Modliłem się w duchu: kobieto, zgódź się i uciekaj stąd w cholerę.

- Nie mogę na to pozwolić.
- Proszę tylko o jedną noc.
- Czy ma pan pełny bak?
- Oczywiście. Napelniłem go przed wjazdem do parku.
- A jak z wodą? Ma pan, ile trzeba?

Zapiszczały otwierane drzwi lodówki.

- Jutro z samego rana zabiera się pan stąd. Umowa stoi?
- Przyrzekam. I przepraszam za kłopot.
- Dobrze. Dobranoc, bracie Michaelu. Szczęść Boże.

Usłyszałem odgłos zapalnego silnika. Po minucie Henri otworzył drzwi łazienki.

— Zmiana planów — ogłosił. — Przygotuję sutą kolację. Czeka nas nocna nasiadówka.

- Nie ma problemu — mruknąłem.

Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem światła reflektorów wozu patrolowego, który wracał do cywilizowanego świata. Za moimi plecami Henri wrzucił na patelnię hamburgery.

- Mamy de przerobienia w nocy wiele tematów — rzucił.

Wyobraziłem sobie, że jutro w południe będę w Venice Beach, gapiąc się na kulturystów i dziewczyny w stringach, rolkowców i rowerzystów na krętych betonowych alejkach przecinających plażę i ciągnących się wzdłuż brzegu. Z rozczeniem myślałem o pieskach z kokardkami i w okularach przeciwsłonecznych, malcach na trzykołowych rowerkach, no a przede wszystkim o lunchu z Mandy w meksykańskiej knajpce u Scotty'ego, gdzie spałaszujemy jajka sadzone na tortilli z podwójną porcją salsy.

Tyle mam Amandzie do opowiedzenia.

Henri postawił przede mną ogromnego hamburgera i keczup.

— Smacznego, wielbicielu steków i frytek. — Zabrał się do przygotowania kawy.

Cichutki głosik w mojej głowie ostrzegwał: „Jeszcze nie jesteś w domu”.

Rozdział 88

Słuchanie kogoś podczas przeprowadzania wywiadu to nie to samo, co słuchanie kogoś na co dzień. Musiałem się skupiać na każdym zdaniu Henriego, zastanawiać się, co przyda się do fabuły, decydować, czy dany temat wymaga rozwinięcia, czy też możemy iść dalej.

Zmęczenie osnuwało mnie jak mgła, zwalczałem je kolejną kawą, a przyświecał mi jeden cel: przebrnąć przez to i wydostać się z tego miejsca jako żywy człowiek.

Henri cofnął się do okresu służby w wojskowej agencji Brewster-North. Docenili go tam od razu, bo znał kilka języków, a podczas różnych misji opanował jeszcze parę innych.

Opowiadał, jak nawiązał bliski kontakt z owym fałszerzem w Bejrucie, a gdy opisywał bardziej szczegółowo pobyt w więzieniu i egzekucję przyjaciół, skulił się.

Zadawałem pytania, w stosownym momencie zagadnąłem jeszcze o Ginę Prazzi. Zapytałem, czy Gina знаła jego prawdziwą tożsamość, i usłyszałem, że nie. Podał jej nazwisko, które miał w dokumentach spreparowanych przez fałszerza: Henri Benoit z Montrealu.

— Czy utrzymujesz kontakt z Giną?

— Nie widziałem jej od lat. Od pobytu w Rzymie. Ona nie brata się z ludźmi, którym płaci.

Zakończywszy historię trzymiesięcznego romansu z Giną, przeszliśmy do zabójstw popełnianych na zamówienie Przymierza. Do pracowicie nanizywanego w ciągu czterech lat łańcuszka morderstw.

— Zabijałem głównie młode kobiety — mówił Henri. — Podróżowałem, zmieniałem tożsamość, wiesz, jak to robię, Ben.

Przystąpił do wyliczania ofiar: dziewczyny w Dżakarcie, Sabra w Tel Awiwie...

— Zapamiętałem tę Sabrę. Dziko walczyła o życie. Mój Boże, o mało mnie nie zabiła.

Wyłaniała się w sposób naturalny linia fabuły. Czuję podniecenie, uświadamiając sobie, że w mojej głowie zarysowuje się wstępny szkic. Niemal zapomniałem, że nie piszę scenariusza filmowego.

Te morderstwa popełnione zostały naprawdę.

Rewolwer Henriego przez cały czas był naładowany.

Numerowałem kasety i wkładałem kolejne, zapisywałem pytania do Henriego, gdy rozszerzał listę zabójstw: młode prostytutki w Korei, Wenezueli i Bangkoku...

Wyjaśnił, że od zawsze fascynował go film i kręcenie filmów dla Przymierza uczyniło z niego wyrafinowanego mordercę. Zabijał w sposób coraz bardziej wymyślny, potęgował dramaturgię aktu.

— Czy nie masz obaw w związku z tym, że twoje filmy idą w świat?

— Zawsze ukrywam twarz — odpowiedział. — Albo wkładam maskę, jak zrobiłem to w przypadku Kim, albo obrabiam film w programie do rozmywania obrazu. Wiesz, co to *blur tool*? Program, którego używam, umożliwi dokonanie w prosty sposób całkowitego zniekształcenia twarzy.

Powiedział mi także, że doświadczenie nabyte w agencji wojskowej nauczyło go, że ciało i broń należy pozostawiać na miejscu zbrodni, lecz pilnować nie tylko wytarcia odcisków palców, lecz również oczyszczenia miejsca zbrodni ze wszystkiego, co mogłoby ułatwić identyfikację sprawcy.

Opowiadając o zabiciu Julii Winkler, wyznał, że ją pokochał. Przygryzłem język i powstrzymałem się od komentarza, tylko w duchu pomyślałem z ironią, co znaczy być obiektem miłosnych westchnień Henriego. Kiedy jednak mówił, że podziwiał McDanielsów, omal nie poderwałem się z krzesła i nie skoczyłem mu do gardła.

— Dlaczego, Henri, dlaczego skazałeś ich na śmierć?

— To mi pasowało jako naturalna sekwencja filmu robionego dla Podglądaczy. Filmu dokumentalnego. Za Maui uzgodnione było najwyższe honorarium. Pięć dni pracy i forsy tyle, ile nie zarobisz w ciągu całego roku.

— Dobrze, a sama praca, jak ją nazywałeś? Co czułeś, odbierając życie tym wszystkim ludziom? O ile dobrze liczę, zabiłeś około trzydziestu osób.

— Być może o kilku zapomniałem.

Rozdział 89

Dochodziła trzecia nad ranem, gdy Henri powiedział mi, co najbardziej fascynuje go w jego fachu.

— Interesuje mnie ulotna chwila między życiem i śmiercią. — Pomyślałem w tym momencie o dniach spędzanych przez niego w dzieciństwie na obcinaniu głów kurczakom i wynaturzonym doświadczeniu z Molly, w następstwie którego upodobał sobie zboczenia seksualne.

Henri mówił mi więcej, niż chciałbym wiedzieć.

— Jest takie plemię w Amazonii, które kultywuje szczególny obyczaj. Zaciągają pętlę pod szczęką ofiary i przeciągają pod jej uszami, a drugi koniec liny przywiązują do gałęzi młodego drzewa. Kiedy odcinają głowę, unoszona jest w górę przez odginającą się do naturalnego położenia gałąź. Ci Indianie wierzą, że to bardzo dobra śmierć, bo w ostatnim momencie ofiara ma wrażenie, że ulatuje do nieba. Czy znasz mordercę, który żył w Niemczech na początku dwudziestego wieku? — zapytał. — Peter Kürten, wampir z Dusseldorfu.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Niby zwykły facet. Jego pierwszą ofiarą była śpiąca dziewczynka, na którą natknął się, gdy pod nieobecność właścicieli włamał się do

gospody. Udusił ją, a dla pewności poderżnął jej gardło nożem i na widok krwi tryskającej z arterii dostał orgazmu. To był początek kariery, przy której wyczyny Kuby Rozpruwacza wydają się amatorszczyzną.

Henri wdał się w opowieść o Kurcie, który zabił znacznie więcej osób, niż mu udowodniono, mężczyzn, kobiet i dzieci, posługując się najróżniejszymi narzędziami, a wszystko brało się stąd, że podniecał go seksualnie widok krwi.

Zanim Peter Kürten położył głowę pod gilotynę — opowiadał Henri — zadał więziennemu psychiatrze ciekawe pytanie. Powtórzę ci je dokładnie, dobrze? Otóż Kürten zapytał, czy po odcięciu mu głowy — Henri podniósł palce do góry, imitując znak cudzysłowu — „Czy usłyszę chłopot krwi tryskającej z mojej szyi? To byłaby rozkosz będąca ukoronowaniem wszystkich dotychczasowych rozkoszy”.

— Henri, czy chcesz powiedzieć, że do zabijania motywuje cię chęć dowiedzenia się, jak wygląda moment przechodzenia od życia do śmierci?

— Chyba tak. Mniej więcej trzy lata temu zabiłem pewną parę w Big Sur. Założyłem im pętle na szyje — z kciuka i palca wskazującego zrobił literę V — a drugie końce lin przywiązałem do ramion sufitowego wentylatora. Odciąłem im głowy maczetą i patrzyłem, jak kręcą się na wentylatorze. Uważam, że Podglądacze docenili mnie po zobaczeniu tego filmu. Zażądałem wyższych honorariów, a oni płacili. Wciąż się zastanawiam, czy tamta para kochanków miała wrażenie, że fruwa po śmierci?

Rozdział 90

Gdy wschodziło słońce, padałem ze zmęczenia. Pracowaliśmy od trzydziestu sześciu godzin i chociaż słodziłem kawę i wypijałem ją z fusami do dna, oczy mi się zamykały, a pofałdowany pustynny pejzaż wokół przyczepy zamazywał się.

— To bardzo ważne, Henri... — odezwałem się.

I zupełnie zapomniałem, co chciałem powiedzieć. Henri potrząsnął mną z niecierpliwością.

— Skończ zdanie. Co jest ważne?

Chodziło mi o pytanie, które przyjdzie do głowy każdemu czytelnikowi zaraz na początku lektury. Powinien uzyskać odpowiedź na nie na końcu książki. Ocknąłem się na moment.

— Dlaczego zależy ci na powstaniu tej książki?

Położyłem głowę na stole, jak mi się wydawało dosłownie na sekundę.

Słyszałem, że Henri krząta się koło przyczepy. Chyba wycierał z odcisków wszystkie powierzchnie. Mówił coś, ale nie byłem pewien czy do mnie.

Kiedy się obudziłem, zegar na mikrofalówce wskazywał dziesięć po jedenastej.

Zawołałem Henriego, nie było odpowiedzi, więc wygramoliłem się z krzesła wciśniętego między stół i ścianę przyczepy. Otworzyłem drzwi.

Pick-up zniknął.

Powoli ruszyły trybiki mojego zamulonego mózgu. Wszedłem do przyczepy. Mój laptop i teczka leżały na kuchennym blacie. Koło nich stosik taśm, starannie przeze mnie ponumerowanych. Na stole podłączony do kontaktu magnetofon. Obok niego zauważyłem karteczkę.

Ben, nagrałem wiadomość.

Uruchomiłem magnetofon i usłyszałem głos Henriego:

„Dzień dobry, partnerze. Mam nadzieję, że odpocząłeś. Potrzebowałeś snu, więc wyspałem ci do kawy środek nasenny. Nie gniewaj się. Potrzebowałem trochę czasu dla siebie. Słuchaj dalej. Pójdiesz drogą przez park na zachód. Czeka cię ponad dwudziestokilometrowy marsz, zanim dotrzesz do autostrady. To będzie Palms Highway dwadzieścia jeden. Zostawiłem ci dużo wody i jedzenia. Jeżeli wybierzesz się w drogę o zachodzie słońca, rano powinieneś wyjść z parku. Najprawdopodobniej jednak wpadnie do ciebie porucznik Brooks albo któryś z jej kolegów i cię podwiozą. Uważaj, żebyś czegoś nie wypaplał. Na razie nie zdradzaj naszych sekretów. Jesteś powieściopisarzem, więc wymyślisz wiarygodną bajkę. Twój samochód czeka na tyłach Luxury Inn, gdzie go zostawiłeś. Kluczyki włożyłem do kieszeni twojej marynarki. Och, byłbym zapomniał o najważniejszej rzeczy: zadzwoniłem do Amandy i poinformowałem ją, że jesteś bezpieczny i wkrótce znajdziesz się w domu. Ciao, Ben. Pracuj bez wytchnienia. Pracuj dobrze. Będę w kontakcie”.

Taśma zaszumiała, to był koniec nagrania.

Skurwysyn zadzwonił do Amandy. Kolejna groźba.

Na zewnątrz przyczepy pustynia smażyła się w piekielnym żarze, więc do zachodu słońca zmuszony byłem czekać z rozpoczęciem przymusowej wędrówki. Gdy ja siedziałem beczynn timerze, Henri niechybnie

zacierał ślady, wcielał się w nową postać, bez przeszkód wsiadał na pokład jakiegoś samolotu.

Do reszty straciłem poczucie bezpieczeństwa i wiedziałem, że go nie odzyskam, chyba że Henri Benoit będzie martwy lub za kratami. Pragnąłem powrotu do normalnego życia i byłem gotowy na wszystko, żeby do tego doprowadzić.

Nawet gdybym miał uśmiercić Henriego własnymi rękami.

Część czwarta

Polowanie na grubego zwierza

Rozdział 91

Pierwszego dnia po moim powrocie z pustynnej niewoli zadzwonił Zagami, by mnie ponaglić. Zależało mu na jak najszybszym wydaniu książki, żeby prasa podchwyciła i nagłośniła spowiedź mordercy, zanim zagadka zbrodni popełnionych na Maui zostanie rozwiązana przez policję.

Wykonałem telefon do „Los Angeles Timesa” i uzyskawszy od Aronsteina zgodę na urlop, zamieniłem salon w bunkier, nie tylko dlatego, że naciskał mnie Zagami. Nie było chwili, żebym nie czuł obecności Henriego, jakby był wężem boa owiniętym wokół mojej klatki piersiowej i zerkającym nad moim ramieniem w ekran komputera. Niczego bardziej nie pragnąłem, jak tylko skończyć tę brudną opowieść mordercy i pozbyć się go z mojego życia.

Od powrotu do domu pracowałem od szóstej rano do północy. Przepisywanie nagrań okazało się bardzo pouczające.

Siedząc w ciszy zamkniętego pokoju, wsłuchiwałem się w głos Henriego, wyłapując wszelkie modulacje, westchnienia, mruknięcia pod nosem, jakie uszły mojej uwagi w obecności tego czyhającego obok pytona, ponieważ byłem stale zaabsorbowany myślą, czy wyjdę żywy z pustynnej pułapki.

Nigdy przedtem nie pracowałem tak ciężko i prawie bez przerwy, ale pod koniec drugiego tygodnia siedzenia przy laptopie skończyłem przepisywanie i miałem gotowy szkic książki.

Brakowało mi jednego ważnego ogniwa spinającego całość. We wstępie powinno paść kluczowe pytanie, nadające siłę całej fabule, pytanie, na które Henri nie odpowiedział: dlaczego zapragnął napisać autobiografię?

Czytelnik będzie chciał to wiedzieć, tymczasem ja sam tego nie rozumiałem. Facet miał zaburzoną, wynaturzoną psychikę, był przy tym typem twardziela. Wciąż wychodził na spotkanie śmierci, jakby nie była groźniejsza od poruszania się w niedzielnym korku. Był sprytny, właściwie na swój sposób genialny, więc dlaczego chciał utrwalić na papierze spowiedź życia, która mogła spowodować schwywanie go i oskarżenie o zbrodnie? Chodzi o pieniądze? O rozgłos? Czy jego narcystryczna osobowość doprowadziła go do zastawienia pułapki na samego siebie?

Był piątek, dochodziła szósta po południu. Skończywszy pracę, pakowałem kasety do pudła na buty. Wziąłem do ręki ostatnią, na której Henri nagrał instrukcję, jak mam się wydostać z Parku Narodowego Joshua Tree.

Uświadomiłem sobie, że nie odsłuchałem jej po raz drugi, gdyż wiadomość od Henriego wydawała mi się nieistotna z punktu widzenia książki, ale teraz, zanim włożyłem kasetę numer trzydzieści jeden do pudła, wsunąłem ją do magnetofonu i przewinąłem taśmę do początku.

Natychmiast dotarło do mnie, że Henri nie użył nowej kasety, tylko nagrał się na tę, która była już w magnetofonie.

Usłyszałem swój bełkotliwy głos: „To bardzo ważne...”. Zapadła cisza i przypomniałem sobie, że w tamtym momencie chciałem zadać Henriemu istotne pytanie, ale nie pamiętałem teraz jakie. Ciszę przerwał głos Henriego: „Co jest ważne?”. I padła moja odpowiedź: „Dlaczego zależy ci na powstaniu tej książki?”. Potem dało się słyszeć, jak

uderzam głową w stół. Wtedy głos Henriego docierał do mnie jak przez gęstą mgłę, nie rozumiałem, co mówi.

Teraz był głośny i wyraźny.

— To dobre pytanie, Ben. Jeżeli choć w połowie jesteś tak dobrym pisarzem, jak myślę, jeśli choć w połowie nadal jesteś tym gliną, jakim byłeś, sam wykocypujesz, dlaczego chcę, żeby ta książka wyszła. Zdziwisz się, gdy poznasz odpowiedź.

Miałem być zdziwiony? Co on, do cholery, sugerował?

Rozdział 92

Obrót klucza w zamku. Wzdrygnąłem się, zrobiłem półobrót na krześle. Henri?

Do domu weszła Amanda, przyciskając do piersi torbę z zakupami. Podbiegłem do mojej dziewczyny i ucałowałem ją.

— Załapałam się na dwa ostatnie młode kurczaki kornwalijskie. Patrz tylko! I mam dziki ryż, zieloną fasolkę...

— Ty jesteś najsmaczniejsza, wiesz o tym?

— Oglądałaś wiadomości?

— Nie. A co?

— Znaleziono dwie dziewczyny na Barbadosie. Jedna uduszona, drugiej odcięto głowę.

Nie oglądałem telewizji od tygodnia. Nie wiedziałem, o czym Amanda mówi.

— O tej historii trąbią wszystkie stacje, nie wspominając o Internecie. Musisz się wynurzyć z tej nory i zaczerpnąć powietrza, Benji.

Poszedłem za nią do kuchni, wyłożyłem zakupy na ladę i włączyłem podwieszony pod szafką kuchenną telewizor. Wybrałem MSNBC. Dan Abrams rozmawiał właśnie z Johnem Manzim, specjalistą od portretów psychologicznych przestępców, niegdyś pracującym w FBI.

Manzi miał ponurą minę.

„Mówi się o seryjnym mordercy, gdy mamy do czynienia z trzema, pięcioma zabójstwami, po których następuje okres wyciszenia. Ten morderca zostawił narzędzie zbrodni w pokoju hotelowym, w którym znaleziono ciało Sary Russo z odciętą głową. Wendy Emerson została znaleziona w bagażniku samochodu, była spętana linami, śmierć nastąpiła na skutek uduszenia. Te zbrodnie kojarzą się z morderstwami popełnionymi miesiąc temu na Hawajach. Mimo że dokonano ich w miejscach od siebie odległych, łączyłbym je ze sobą. Założę się, że to robota tego samego człowieka”.

Na podzielonym ekranie pokazano obok Manziego zdjęcia dwóch młodych kobiet. Russo wyglądała na siedemnaście, osiemnaście lat, Emerson musiała mieć ponad dwadzieścia. Dwie dziewczyny, uśmiechające się do życia, zostały zabite przez Henriego. Tak jak Manzi szedłbym o zakład, że zrobił to znany mi oprawca.

Manzi mówił dalej:

„Nie wiemy, czy morderca zostawił ślady DNA, na to jeszcze za wcześnie, ale brak motywu i pozostawienie narzędzi zbrodni pozwalają kreślić portret profesjonalnego zabójcy. Nie zaczął na wyspie Barbados, Dan. Pytanie tylko, ile osób zabił przedtem, jak długo uprawia ten proceder i w jakich miejscach”.

Podczas przerwy na reklamę nakreśliłem Amandzie portret psychologiczny Henriego.

— Słucham tego, co mówi Henri o sobie, od tygodni. Mogę powiedzieć z absolutną pewnością, że nie ma żadnych wyrzutów sumienia. Jest z siebie dumny. Więcej, działa jak w ekstazie.

Powiedziałem Mandy o fragmencie nagrania, kiedy to Henri rzuca mi wyzwanie, żebym sam rozgryzł, co motywuje go do książkowej wypowiedzi.

— Prowokuje mnie jako pisarza i byłego glinę. Hej, może naprawdę chce zostać złapany? Czy potrafisz dopatrzeć się w tym jakiegoś sensu?

Mandy jak dotąd jakoś się trzymała, ale w tym momencie przestała ukrywać, że się boi. Złapała mnie za rękę i wbiła we mnie spojrzenie.

— Nic z tego nie ma sensu, Benji. Ani dlaczego robi to, co robi, ani czego chce, ani tym bardziej dlaczego wybrał ciebie, żebyś napisał mu tę książkę. Jedno jest pewne: to zboczony psychol, który wie, gdzie mieszkamy.

Rozdział 93

Obudziłem się z walącym sercem. Podkoszulek i spodenki miałem przesiąknięte potem.

We śnie odbyłem podróż z Henrim na Barbados, mówił do mnie, gdy odcinał głowę Sary Russo i potem trzymał tę głowę za włosy: „Teraz widzisz, co lubię. Lubię ten ulotny moment między życiem a śmiercią”. Jak to w koszmarze sennym bywa, Sara zamieniła się w Mandy. Mandy patrzyła w moim śnie na krew ściekającą po rękach Henriego i powiedziała: „Ben, zadzwoń pod dziewięćset jedenaście”.

Otarłem pot z czoła.

Nietrudno było zinterpretować ten sen. Umierałem ze strachu, że Henri zabije Amandę. I czułem się winny. Gdybym poszedł na policję, dziewczyny z Barbadosu być może nadal cieszyłyby się życiem.

Czy myślałem przez sen? A może taka była prawda?

Wyobraziłem sobie, że idę do FBI i opowiadam, jak Henri przystawił mi rewolwer do pleców, zrobił zdjęcia Amandzie i groził, że nas zabije.

Powiedziałbym, że Henri przykuł mnie łańcuchem do podłogi w przyczepie, wywiózł na trzy dni na pustynię i opisał ze szczegółami, jak zabił trzydzieści osób. Ale czy to była spowiedź, czy bzdurne urojenia?

Nie miałem żadnego dowodu na to, że to, co mówił Henri, jest prawdą. Tylko jego słowa.

Wyobraziłem sobie sceptyczną minę agenta FBI, a potem komunikat w mediach: „Poszukiwany biały mężczyzna, metr osiemdziesiąt wzrostu, ciężar ciała w normie, między trzydziestym i czterdziestym rokiem życia”. Henriego by to rozśmieszyło, ale sam fakt zgłoszenia organom ścigania mógłby go wkurzyć. Przy pierwszej okazji by nas zabił.

Czy Henri podejrzewa mnie o taki krok?

Patrzyłem na odbłaski świateł samochodów przesuujące się po suficie.

Pamiętałem nazwy restauracji i kurortów, w jakich Henri był z Giną Prazzi. Cały szereg innych tropów i szczegółów, których nie uznał za istotne, a którymi można by jak po nitce do kłębka dojść do niego.

Mandy przekręciła się we śnie, zarzuciła mi rękę na pierś i przytuliła się do mnie. Objąłem ją mocno i pocałowałem w czubek głowy.

— Nie zadreęczaj się — wymruczała.

— Nie chciałem cię obudzić.

— Chyba żartujesz! O mało nie wydmuchałeś mnie z łóżka, tak ciężko wzdychasz i sapiesz.

— Która godzina?

— Za wcześnie albo za późno na wstawanie, Benji. Ogarnęła cię obsesja na jego punkcie, to niczemu nie służy.

— Sądzisz, że mam obsesję?

— Zacznij myśleć o czymś innym. Daj sobie trochę wytchnienia.

— Zagami czeka...

— Pieprzyć Zagamiego. Moja głowa też pracuje. I coś wymyśliłam. Ale nie wiem, czy ci się spodoba.

Rozdział 94

Chodziłem w tą i z powrotem przed domem z torbą podróżną na ramieniu, czekając na Mandy. Zajechała z rykiem na swoim bezlitośnie eksploatowanym harleyu sportsterze, zadającym szyku siodełkiem z czerwonej skóry.

Wskoczyłem na tył i objąłem rękami szczupłą kibić Mandy. Moja dziewczyna ruszyła zawadiacko, a jej długie włosy smagały mnie po twarzy. Śmignęliśmy do międzystanowej numer 10, a z niej zjechaliśmy na Pacific Coast Highway, urzekającą, zdającą się nie mieć końca autostradę wijącą się nad brzegiem oceanu.

Po lewej, poniżej szosy, wypiętrzały się białe grzywy fal, które przelewając się w stronę brzegu, niosły na sobie miniaturowe sylwetki surferów. Nagle uderzyła mnie myśl, że nigdy nie surfowałem — jak dla mnie, było to zbyt niebezpieczne.

Wtulałem się w plecy Amandy, kurczowym chwytem obejmowałem ją wpół, gdy dodawała gazu i brawurowo zmieniała pasy. Krzyknęła do mnie:

- Nie wtulaj głowy w ramiona!
- Że co?!
- Odpręż się!

Łatwo radzić, trudniej wykonać, ale uczyniłem wysiłek i przestałem się jej tak kurczowo trzymać.

— Teraz zrób jak pies! — krzyknęła znowu.

Odwróciła głowę, wysunęła język i puściwszy jedną ręką kierownicę, machała mi palcem przed nosem, póki jej nie posłuchałem. Dysząc jak pies, z wywalonym językiem, chłodzonym pędem powietrza przy szybkości stu kilometrów na godzinę, roześmiałem się na głos, a Mandy mi wtórowała, aż obydwójce mieliśmy łzy w oczach.

Wciąż szczyrzyłem zęby, gdy przemykaliśmy przez Malibu i przekraczaliśmy granicę aglomeracji Los Angeles. Po kilku minutach Mandy podjechała pod Neptune's Shack, knajpę serwującą owoce morza. Na parkingu było gęsto od motocykli.

Gdy wchodziliśmy do środka, paru facetów przywitało się z Mandy. Wybraliśmy z akwarium dwa kraby i po dziesięciu minutach odbieraliśmy je w okienku na kartonowych tackach, parujące i polane stopionym masłem. Poradziliśmy sobie z nimi, popijając je lemoniadą, a potem znów wskoczyliśmy na harleya.

Poczułem się swobodniej, niemal jak w domu, a w miarę pokonywania dalszych kilometrów zaczynałem rozumieć, że Mandy chciała mi podarować chwilę oddechu i przypomnieć o radości życia. Szybkość i wiatr przewietrzyły mi głowę, pozwalając ekscytować się beztroskim połykaniem przestrzeni.

Bardziej na północ PCH zrównywała się z poziomem oceanu i wiodła przez urokliwe nadmorskie miasta: Sea Cliff, La Conchita, Rincon, Carpenteria, Summerland i Montecito. Przed zjazdem z autostrady na Olive Mill Road, prowadzącą do Santa Barbara, Mandy krzyknęła, żebym się mocno trzymał.

Patrząc na napisy na kolejnych tablicach drogowych, wiedziałem już, dokąd jedziemy — do miejsca, w którym bardzo chcieliśmy spędzić weekend, ale zawsze brakowało nam czasu.

Drżałem z podniecenia, zsiadając z motoru przed legendarnym hotelem Biltmore, pokrytym czerwoną dachówką, usytuowanym nad oceanem w otoczeniu majestatycznych palm. Zdjąłem kask i wziąłem moją dziewczynę w ramiona.

— Skarbie, kiedy mówisz, że wpadłaś na dobry pomysł, nigdy nie spotyka mnie zawód.

— Trzymałam gwiazdkową premię na rocznicę naszego poznania się, ale wiesz, co pomyślałam wczoraj o czwartej nad ranem?

— Powiedz.

— Nie ma lepszej pory niż teraz. Nie ma lepszego miejsca niż to.

Rozdział 95

Hotelowy hol robił olśniewające wrażenie. Nie jestem jednym z wiernych widzów programu *House Beautiful*, ale doceniam luksus i komfort, i to było właśnie takie miejsce, a Amanda, paradująca tańczonym krokiem u mego boku, dopełniała całości. Zwróciła mi uwagę na bezpretensjonalny śródziemnomorski styl: łukowate sklepienia, belki na suficie, duże, miękkie kanapy i polana żarząca się w wyłożonym kafelkami kominku. No i oczywiście szumiący w dole ocean.

A potem padło z ust Amandy ostrzeżenie, które należało potraktować poważnie.

— Jeśli choć raz wspomnisz tego, jak mu tam, rachunek pójdzie na twoją kartę kredytową, a nie na moją. Zrozumiałaś?

— Tak. — Przyciągnąłem ją do siebie.

Kominek dawał przyjemne ciepło, a kiedy Mandy zaczęła zrzucać ubranie, miałem wizję reszty popołudnia spędzonego na tarzaniu się na ogromnym łożu.

Spostrzegła wiadomy błysk w moich oczach i zaśmiała się.

— Oho, domyślam się. Ale poczekaj, dobrze? Mam inny pomysł.

Stawałem się coraz większym fanem pomysłów Mandy. Wciągnęła na siebie bikini w cętki leoparda, a ja wskoczyłem w szorty i poszliśmy

nad basen znajdujący się pośrodku ogrodu. Zanurkowałem w ślad za nią i usłyszałem pod wodą — nie bardzo wierząc własnym uszom — dźwięki muzyki.

Gdy wróciliśmy do pokoju, rozwiązałem troczki od bikini Amandy, ściągnąłem z niej figi, a gdy zawisała mi na ramionach z nogami na moich biodrach, zaniósłem ją pod natrysk. Po kilku minutach wtoczyliśmy się na łóżko, gdzie zapomnieliśmy o wyglupach, namiętnie się kochając.

Potem się zdrzemnęliśmy. Mandy zasnęła mi na piersi, obejmując mnie z boków kolanami. Po raz pierwszy od kilku tygodni spałem głęboko, bez budzenia się z szeroko otwartymi oczami, z czającym się w nich sennym koszmarem.

Wieczorem Mandy wślizgnęła się w małą czarną i upięła wysoko włosy, a mnie stanęła przed oczami Audrey Hepburn. Zeszliśmy po krętych schodach do restauracji Bella Vista, gdzie wskazano nam stolik przy kominku. Pod nogami mieliśmy marmur, wokół mahoniową boazerię, przed sobą widok na białe grzywy oceanu, nad głowami szklany dach, przez który zaglądał kobaltowy zmierzch.

Rzuciłem okiem na kartę, ale odłożyłem ją, gdy podszedł kelner. Mandy złożyła zamówienie dla nas obojga.

Uśmiech nie schodził mi z twarzy. Amanda Diaz z pewnością wiedziała, jak zmienić szary dzień w święto, którego wspomnienie będzie nam towarzyszyć do starości.

Zaczęliśmy naszą pięciogwiazdkową kolację od mały saute, przechodząc do przepysznego strzępiela w ziołach i miodowej polewie z dodatkiem grzybów i zielonego groszku. Potem kelner przyniósł schłodzonego szampana i kartę deserów.

Przekręciłem butelkę i odczytałem naklejkę: Dom Perignon.

— Chyba tego nie zamawiałaś, Mandy? Butelka kosztuje trzysta dolarów.

— Nie zamawiałam. Dostaliśmy przez pomyłkę cudze bąbelki.

Sięgnąłem po kartonik, który kelner zostawił na srebrnej tacy. Preczytałem:

Dom Perignon na mój rachunek. To dobry szampan. Z poważaniem, H.B.

Henri Benoit.

Dreszcz strachu przebiegł mi wzdłuż kręgosłupa. Skąd ten kutas wie, gdzie jesteśmy, skoro ja sam nie miałem pojęcia, dokąd jedziemy?

Zerwałem się na równe nogi, przewracając krzesło. Obróciłem się wokół własnej osi, zrobiłem kolejny obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni w przeciwnym kierunku. W polu mojego widzenia znalazła się każda twarz w sali restauracyjnej: starszy pan z resztką zupy na wąsach, łysy turysta z widelcem wzniesionym nad talerzem, nowożeńcy stojący przy wejściu i wszystkie osoby z obsługi.

— Gdzie on jest? Gdzie się czai?

Stałem tak, żeby własnym ciałem zasłaniać Mandy, czułem, jak z mojego gardła wrywa się krzyk:

— Henri, ty sukinsynu, pokaż się!

Rozdział 96

Wróciliśmy na górę, zamknąłem drzwi na klucz, sprawdziłem klamki w oknach, zasunąłem kotary. Nie wziąłem pistoletu i to był poważny błąd. Przysięgłem sobie, że więcej go nie popełnię.

Posadziłem Mandy na łóżku obok siebie. Była blada, drżała.

— Kto wiedział, że tu przyjeżdżamy? — spytałem.

— Zrobiłam rezerwację dzisiaj rano, po wyjściu od ciebie, kiedy poszłam do domu się spakować.

— Jesteś pewna?

— Chodzi ci o to, że zadzwoniłam także z informacją na prywatny numer Henriego, tak?

— Pytam poważnie. Czy rozmawiałaś z kimś dziś rano? Pomyśl, Mandy. Przecież wiedział, że tu będziemy.

— Tylko ty wiedziałaś, że wyjeżdżamy. Nikomu więcej o tym nie mówiłam. Podałam recepcjoniście numer mojej karty kredytowej. To wszystko. Wszystko.

— Już dobrze, dobrze, przepraszam.

Byłem pewien, że zachowałem najwyższą czujność. Absolutnie pewien. Wróciłem pamięcią do nocy sprzed miesiąca, kiedy przyjechałem z Nowego Jorku i Henri dopadł mnie telefonicznie w mieszkaniu Amandy dosłownie kilka minut po tym, jak przekroczyłem jego próg.

Sprawdziłem wtedy telefon Amandy i swój, przeszukałem obydwa mieszkania, czy nie ma pluskiew.

Podczas jazdy autostradą nie rzuciło mi się w oczy nic szczególnego. Tym bardziej nie było możliwości, żebym nie zauważył kogoś jadącego za nami po tym, jak skręciliśmy na Santa Barbara. Jechaliśmy sami przez wiele kilometrów, praktycznie mieliśmy całą drogę dla siebie.

Dziesięć minut temu szef sali, odprowadzając nas do wyjścia, powiedział, że szampan został zamówiony telefonicznie, obciążona została karta kredytowa na nazwisko Henri Benoit. To niczego nie wyjaśniało. Henri mógł dzwonić z dowolnego miejsca na ziemi. Ale skąd wiedział, gdzie jesteśmy?

Jeżeli Henri nie założył podsłuchu na telefonie Mandy i nie jechał za nami...

Jak błyskawica przemknęła mi przez głowę odkrywczą myśl.

Poderwałem się na nogi.

— Doczepił chipa do twojego harleya.

— Nawet nie myśl o tym, że zostawisz mnie samą w tym pokoju — ostrzegła Amanda. Usiadłem znowu obok niej, wziąłem jej rękę w obydwie dłonie i ucałowałem. Nie mogłem zostawić jej w pokoju i nie potrafiłem ustrzec jej na parkingu.

— Jutro o świcie rozbiórę twój motor na części i znajdę nadajnik.

— Nieprawdopodobne, co on z nami wyrabia — jęknęła Mandy i rozplakała się.

Rozdział 97

Leżeliśmy przytuleni do siebie pod kołdrą, z szeroko otwartymi oczami, wsłuchując się w każdy krok w pokoju nad nami, każdy odgłos na korytarzu, łowiąc szum klimatyzatora. Nie wiedziałem, czy dopadła mnie paranoja, czy jeszcze myślę racjonalnie, ale byłem pewien, że Henri nas obserwuje.

Mandy obejmowała mnie mocno i pochlipywała, lecz nagle wykrzyknęła:

— O rany, o Boże...

Próbowałem ją pocieszyć.

— Skarbie, przestań. Nie jest tak źle. Znajdę tego chipa i potwierdzi się, w jaki sposób nas wyszedził.

— O Boże, to jest... — Dźgnęła mnie palcem w prawy pośladek. — To coś na twojej pupie. Mówiłam ci o tym. Odpowiadałeś, że to nieważne, jakiś pryszcz.

— A, ten tutaj? To nic takiego.

— Przyjrzyj się temu.

Odrzuciłem kołdrę, zapaliłem wszystkie światła, przeszedłem do łustra w łazience, a Mandy za mną. Wykręcałem szyję, jak mogłem, ale nie mogłem zobaczyć tego miejsca, za to wiedziałem dobrze, o czym mówi Amanda. Wyczułem ten obrzęk następnego dnia po tym, jak

Henri dzielił mnie kolbą w moim mieszkaniu.

Myślałem, że to siniak albo że coś mnie ukąsiło. Nie przywiązywałem do tego wagi, zwłaszcza że obrzęk po kilku dniach zniknął.

Amanda pytała mnie kilkakrotnie o ten guzek i rzeczywiście zbywałem ją byle czym. Teraz pomacałem małą wypukłość wielkości dwóch ziarenek ryżu ułożonych w jednej linii.

Gorączkowo rozejrzałem się w poszukiwaniu kosmetyczki, wytrzymałem z niej wszystko na toaletkę obok lustra i znalazłem maszynkę do golenia. Tłukłem nią o marmurową umywalkę, aż oprawka roztrzaskała się na kawałki.

— Chyba nie masz zamiaru... Ben! Chyba nie myślisz, że to zrobię?

— Nie panikuj, mnie będzie bolało bardziej niż ciębie.

— Jesteś bardzo dowcipny.

— Cholernie boję się tego zabiegu.

Mandy wzięła ostrze z moich rąk, oblała je płynem do płukania ust i skropiła nim w odpowiednim miejscu mój zadek. Potem ścisnęła w palcach fałdkę skóry i zrobiła nacięcie.

— Mam to — oznajmiła.

Upuściła ten cholerny kawałek szkła i metalu na moją otwartą dłoń. To mogła być tylko jedna rzecz: nadajnik GPS. Taki, jaki wszczepia się psom pod skórę na szyi. Henri musiał mi go wstrzyknąć, gdy leżałem nieprzytomny pod drzwiami. Chodziłem z tym przeklętym chipem od tygodni.

— Spuść go z wodą w sedesie — poradziła Amanda. — Henri będzie miał sporo roboty.

— Nie. Urwij kawałek taśmy z tej rolki, dobrze?

Przycisnąłem gadżet do boku, a Mandy urwała zębami kawałek taśmy samoprzylepnej. Przykleiłem nią chipa do skóry. Znów znalazł się na moim ciele.

- Jaki to ma sens? — spytała Mandy.
- Póki mam to na sobie, Henri nie wie, że ja wiem, że mnie namierza.
- I... co z tego wynika?
- Piłka zaczyna się toczyć w drugą stronę. My wiemy o czymś, o czym nie wie on.

Rozdział 98

Francja

Henri pogłaskał pośladek Giny Prazzi, jego oddech się uspokajał. Miała cudowną dupę w kształcie gruszki: dwa doskonałe półdupki z uroczym dołeczkiem w każdym.

Chciał ją znowu pieprzyć. Bardzo chciał. I miał zamiar to zrobić.

— Możesz mnie już rozwiązać — powiedziała.

Poklepał ją po pupie, wstał, sięgnął pod krzesło po swoją torbę, a potem podszedł do kamery przypiętej do ciężkich fałd zasłony.

— Co ty robisz, Henri? Wracaj do łóżka. Nie bądź okrutny.

Zapalił stojącą lampę, uśmiechnął się do obiektywu, i wrócił do wytwornego łóżka z baldachimem, kładąc się obok Giny.

— Wydaje mi się, że nie mam tego ujęcia, kiedy wzywałaś Boga. A szkoda.

— Co masz zamiar zrobić z tym filmem? Nie wyślesz go przecież do... Jesteś szalony, Henri, myśląc, że ci za to zapłacą.

— Nie zapłacą?

— Zapewniam cię, że nie.

— Zostanie w mojej prywatnej kolekcji. Miej do mnie większe zaufanie.

— Rozwiąż mnie, Henri. Bola mnie ręce. Chcę się pobawić w coś innego. Żądam.

— Myślisz tylko o własnej przyjemności.

— Dogadzaj sobie, ale cena za to może być wysoka.

— Wciąż mowa o pieniądzach — zaśmiał się.

Wziął pilota z inkrustowanego nocnego stolika i włączył telewizor. Przeszedł kliknięciem od powitania hotelowego do przewodnika po programach i wybrał kanał CNN.

Najpierw podawano wiadomości sportowe, potem notowania giełdowe, aż wreszcie ukazały się twarze dwóch kobiet, Wendy i Sary.

— Pokochałem Sarę — oznajmił Ginie, która usiłowała poluzować węzły, jakimi przywiązał jej ręce do ramy łóżka. — Nigdy nie zadawała głupich pytań.

— Gdybym miała wolne ręce... Au, boli! Zajęłyby się sprawieniem ci przyjemności — zachęcała go.

— Pomyślę o tym.

Henri odłożył pilota, usiadł okrakiem na fantastycznych pośladkach Giny, położył dłonie na jej ramionach i zataczał kciukami kółka na szyi. Znowu mu stwardniał. Aż do bólu.

— To zaczyna być nudne — westchnęła. — Nasze ponowne spotkanie jest chyba pomyłką.

Henri delikatnie objął jej szyję rękami, tak dla zabawy. Gina zdrętwiała, jej skóra pokryła się kropelkami potu.

Bardzo dobrze, pomyślał. Spodobało mu się, że się przestraszyła.

— Wciąż jest nudno? — spytał. Wzmocnił ucisk palców na jej szyi, Gina zakaszłała, szarpnęła za więzy. Oddychając ze świstem, wyszeptwała jego imię, z trudem łapała powietrze.

Przestał ją przyduszać i gdy mogła już oddychać i się odprężyć, uwolnił jej ręce. Potrząsnęła nimi parę razy i przekręciła się na plecy.

— Wiedziałaś, że nie mógłbyś tego zrobić.

— To prawda. Tobie bym nie mógł.

Wstała z łóżka i pobiegła do łazienki. Kiedy zniknęła z pola widzenia, Henri wstał i znowu sięgnął do torby.

Kiedy stanął za nią w łazience, ich spojrzenia spotkały się w lustrze.

— Czego chcesz? — spytała.

— Nadszedł twój czas — odparł.

Przystawił lufę do jej szyi i strzelił. W obryzganym krwią lustrze widział jej szeroko otwarte oczy, potem patrzył, jak ciało osuwa się na podłogę. Wpakował jeszcze dwie kulki w jej plecy, sprawdził puls, wytarł rewolwer i tłumik i położył broń obok ciała.

Wszedł pod prysznic, potem szybko się ubrał, zgrał film na laptop, wytarł odciski w pokoju, spakował torbę i rzucił okiem, czy wszystko jest w porządku.

Wpatrywał się przez chwilę w trzy zegarki z brylantami leżące na stoliku przy łóżku i przypomniał sobie dzień, w którym poznał Ginę.

„Mam czas dla ciebie”.

Wszystkie trzy zegarki warte były w sumie ze sto tysięcy euro. Mimo to nie zaryzykował. Nie ruszył ich. Miła niespodzianka dla pokojowej.

Gina opłaciła pokój kartą kredytową, więc spokojnie wyszedł i zamknął drzwi. Przeszedł przez parking do wypożyczonego auta i odjechał na lotnisko.

Rozdział 99

W niedzielę po południu znowu znalazłem się w moim „bunkrze” i usiadłem nad książką. Zaopatrzyłem się w śmieciowe jedzenie na cały miesiąc i pochyliłem nad niedokończoną wersją szkicu książki z tytułami rozdziałów i skrótom ich zawartości. Zagami oczekiwał, że znajdzie to w swojej skrzynce następnego dnia rano.

O dziewiętnastej włączyłem telewizor. Zaczynał się program *60 Minutes* i na początku przedstawiono doniesienia na temat morderstw na Barbadosie.

Mówił Morley Safer:

„Specjaliści od medycyny sądowej wyrażają opinię, że pięć morderstw na Maui i zabicie Wendy Emerson i Sary Russo wpisują się w ten sam schemat brutalnych, sadystycznych aktów i, niestety, nic nie wskazuje na to, żeby miały się skończyć. Oficerowie śledczy w wielu krajach badają na nowo przypadki niewyjaśnionych zabójstw, szukając czegokolwiek, co mogłoby naprowadzić na trop seryjnego mordercy, który nie zostawia żadnych świadków swoich zbrodni, żadnej ofiary, która przeżyła, żadnej rzeczy, która by do niego należała. Bob Simon, korespondent BBC, rozmawiał z niektórymi detektywami”.

W program wpleciono nagrania wywiadów z byłymi glinami.

Patrzyłem na emerytowanych policjantów, z którymi rozmawiano w ich domach. Posępne przygnębione twarze, drżące głosy. Jeden miał nawet lzy w oczach, gdy pokazywał zdjęcie brutalnie zamordowanej dwunastoletniej dziewczynki. Sprawcy nie wykryto.

Wyłączyłem telewizor i dosłownie zawyłem, zakrywając oczy rękami.

Henri żyje w moim umyśle — w przeszłości i terażniejszości, i będzie ze mną w przyszłości. Poznałem jego metody, jego ofiary, a teraz piszę książkę pod jego dyktando, wsłuchując się w czasie pracy w intonację jego głosu.

Czasami wydawało mi się, i to mnie przerażało, że staję się nim.

Zdjąłem kapsel z butelki piwa i wyzłopałem je przy otwartej lodówce. Wróciłem do laptopa. Połączyłem się z siecią i sprawdziłem pocztę, czego nie robiłem od wyjazdu z Mandy na weekend.

Otworzyłem dwanaście wiadomości, wzdrygnąłem się przy następnej, gdy przeczytałem tytuł: *Czy wszyscy są szczęśliwi?* Wiadomość miała załącznik.

Palce zdrętwiały mi na klawiaturze. Nie rozpoznałem adresu nadawcy, wpatrywałem się w tytuł przez długi czas, zanim kliknąłem w klawisz.

Ben, ja pracuję jak wariat. A ty? — przeczytałem.

Wiadomość podpisana została inicjałami H.B.

Dotknąłem plastra na lewym boku, wyczuwając małe świństwo, które informowało Henriego o tym, gdzie jestem.

A potem otworzyłem załącznik.

Rozdział 100

Ekran rozbłysnął, ukazała się w zbliżeniu cyfrowo rozmyta twarz Henriego. Odwrócił się od obiektywu i podszedł do łóżka z baldachimem w pokoju, który, sądząc po wyglądzie, znajdował się w ekskluzywnym hotelu. Drogie meble i tradycyjny europejski wzór *fleur-de-lis*, powtarzający się na zasłonach, dywanie i tapicerce.

Wzrok przyciągało łóżko, na którym twarzą do poduszki leżała naga kobieta, szarpiąc za linki, którymi miała przywiązane ręce do ramy.

O nie, tylko nie to, pomyślałem.

Henri przysiadł obok niej i zaczęli przyjazną, jak się wydawało, rozmowę, jakby się przekomarzali. Nie rozróżniałem słów, póki kobieta nie podniosła głosu i nie nakazała ostro, żeby ją rozwiązał.

Uderzyło mnie, że atmosfera tego widowiska jest inna niż w znanych mi filmach Henriego.

W głosie kobiety nie słyszałem lęku. Czyżby była aż tak dobrą aktorką? A może nie zdawała sobie sprawy, jaki będzie punkt kulminacyjny?

Zatrzymałem film.

Przed oczami przewinął mi się dziewięćdziesięcioszekundowy fragment filmu z egzekucji Kim McDaniels. Nigdy nie zapomnę pośmiertnego grymasu na twarzy Kim: malował się na niej wyraz straszliwego bólu, a przecież jej głowa była odcięta od ciała.

Wolałem nie obciążać psychiki jeszcze jednym makabrycznym produktem tego zwyrodnialca.

Nie chciałem tego oglądać.

W dole Traction Street zaczynała żyć normalnym, cywilizowanym nocnym życiem. Usłyszałem melodię *Oh, Domino* w wykonaniu ulicznego gitarzysty, oklaski gapiów, pisk opon na jezdni, stukot obcasów na chodniku. Kilka tygodni temu w noc taką jak ta zszedłbym na dół na piwo do baru U Moego.

Chciałbym to zrobić i teraz. Ale mimo wszystko nie mogłem odejść od laptopa.

Wcisnąłem klawisz „play” i obserwowałem dalsze sceny na ekranie. Henri zarzucał kobiecie, że myśli tylko o własnych przyjemnościach, zawsze o pieniądzach. Wziął do ręki pilota i włączył telewizor.

Mignęło powitanie hotelowych gości, potem prezenter BBC podał krótką relację sportową, głównie o piłce nożnej. Kolejny prezenter mówił o rynkach finansowych. Następnie zaczęły się wiadomości. Na początku powiedziano, że na wyspie Barbados zostały zamordowane dwie dziewczyny.

Na ekranie mojego komputera Henri wyłączył telewizor, usiadł okrakiem na nagiej kobiecie i przyłożył ręce do jej szyi. Wyglądał na spiętego i zdecydowanego, byłem pewien, że ją udusi, a jednak nagle zmienił zamiar — oswobodził jej ręce.

Odetchnąłem i przetarłem oczy. Darował jej życie. Ale dlaczego?

Kobieta powiedziała do Henriego: „Wiem, że nie mógłbyś tego zrobić”. Mówiła po angielsku z akcentem włoskim?

Czy z ekranu patrzy na mnie Gina?

Wstała z łóżka, podeszła do kamery i mrugnęła do obiektywu. Była piękną brunetką dobrze po trzydziestce, być może miała nawet czterdzieści lat. Poszła w stronę drzwi, prawdopodobnie do łazienki.

Henri wyskoczył z łóżka i wyjął z torby pistolet, który wyglądał na dziewięćmilimetrowego rugera z lufą przedłużoną tłumikiem.

Poszedł za kobietą, znikając z kadru.

Słyszałem niewyraźne głosy, potem stłumione „piff” wystrzału z pistoletu. Na progu łazienki przesunął się cień. Potem dał się słyszeć głuchy, ciężki odgłos, jeszcze dwa strzały, a wreszcie plusk wody w kabinie prysznicowej.

Nie widziałem, co się tam działo, miałem tylko przed oczami puste łóżko w pokoju.

Drżały mi ręce, gdy jeszcze raz odtwarzałem film. Tym razem próbowałem wyłapać jakiś szczegół, który podpowiedziałby mi, gdzie Henri był, kiedy zabijał tę kobietę, bo nie miałem wątpliwości, że dokonał egzekucji.

Dopiero za trzecim razem spostrzegłem coś, co dotąd umknęło mojej uwadze.

Zatrzymałem film na kadrze z ekranem włączonego telewizora. Powiększyłem obraz i na górze powitalnej reklamówki hotelowej z kartą menu wypatrzyłem nazwę hotelu.

Na filmie ekran telewizora widoczny był niestety w bocznym ujęciu, co piekielnie utrudniało rozpoznanie liter, ale zapisywałem kolejne, trochę się domyślając, i złożony pełną nazwę, zacząłem szukać w sieci, czy takie miejsce istnieje.

Okazało się, że tak.

Przeczytałem, że hotel Chateau Mirambeau znajduje się we Francji w okolicach Bordeaux, w słynnej krainie winnic. Wzniesiony na fundamentach starej twierdzy z XI wieku, zrekonstruowany na początku XVIII, zyskuje coraz większą popularność. Na zdjęciach zobaczyłem

najpierw malowniczą okolicę — pola słoneczników i winnice — a potem sam zamek, bogatą architektonicznie kamienną budowlę jak z bajki, z ogromnym dziedzińcem, imponującymi wieżami i ogrodem.

Znowu poszperałem w sieci, odszukałem wyniki meczów futbolo-
wych i kursy akcji na zaniknięcie notowań, identyczne z tymi, jakie
podawano w telewizji włączanej w pokoju hotelowym Henriego.

Uświadomiłem sobie, że nagrał ten film w ten sam piątek, gdy
Amanda przyszła do mnie z kurakiem kornwalijskim i gdy dowiedzia-
łem się z telewizji o śmierci Sary i Wendy.

Przyłożyłem rękę do plastra na żebrach, serce mi łomotało. Wszyst-
ko stało się dla mnie jasne.

Dwa dni temu Henri był we Francji, ponad sto kilometrów od Pary-
ża. Nadchodzący tydzień to początek września. Henri powiedział mi, że
od czasu do czasu odwiedza Paryż właśnie we wrześniu.

A więc wiedziałem, gdzie przebywa.

Rozdział 101

Z odrazą zatrzęsnałem wieczko laptopa, jakbym mógł tym gestem wyrzucić z wyobraźni obrazy, którymi zaludnił ją Henri.

Zadzwoiłem do Amandy. Mówiłem zwięźle, wrzucając jednocześnie ubrania do walizki.

— Henri przysłał mi film. Wygląda na to, że zabił Ginę Prazzi. Więc możliwe, że zaciera ślady. Będzie unieszkodliwiał ludzi, którzy go znają i coś o nim wiedzą. Chyba retoryczne jest pytanie, co z nami zrobi, kiedy książka zostanie wydana?

Przedstawiłem jej mój plan. Polemizowała ze mną, ale to ja miałem ostatnie zdanie.

— Nie mogę tu siedzieć. Muszę działać.

Zadzwoiłem po taksówkę i gdy ruszyliśmy, zdarłem plaster z ciała i przyklepiłem chipa z nadajnikiem pod tylnym siedzeniem taksówki.

Rozdział 102

Złapałem bezpośredni samolot do Paryża. Siedziałem pośrodku kabiny, koło okna. Gdy tylko opuściłem oparcie fotela, powieki same mi opadły. Ominął mnie film, odgrzewany posiłek i tani szampan, ale pokrzepiłem się dziewięcioma godzinami snu, budząc się dopiero przed samym lądowaniem.

Mój bagaż wyskoczył na taśmociąg tak szybko, jakby się za mną stęsknił, tak że nie minęło dwadzieścia minut od lądowania, a już siedziałem w taksówce.

Łamaną francuszczyzną powiedziałem kierowcy, że ma mnie zawieźć do hotelu Singe-Vert, czyli „zielona małpa”. Zatrzymałem się tam już, wiedziałem, że jest czysty. Takie dwuipółgwiazdkowe lokum dla dziennikarzy. Czasowo przebywających w Mieście Światel.

Wszedłem do hotelu przez drzwi, przy których nie było portiera, z lewej zachęcał otwarty bar Jacques Americaine, ale skierowałem się w głąb ciemnego holu ze sfatygowanymi kanapami i stojakami z zafolowanymi gazetami we wszystkich językach oraz recepcją pod ścianą, nad którą witał gości landszaft przedstawiający stado afrykańskich zielonych małp.

Niemrawy, tęgawy recepcjonista z identyfikatorem „Georges” był wkurzony, że musiał przerwać rozmowę telefoniczną i mnie obsłużyć.

Gdy tylko uporał się z moją kartą kredytową i schował mój paszport do sejf, wbiegłem na schody, odnalazłem swój pokój na trzecim piętrze od tyłu, na końcu korytarza wyłożonego postrzępionym chodnikiem.

Pokój był wytapetowany papierem z nadrukowanymi różyczkami kapusty ozdobnej i przeładowany od ściany do ściany stuletnimi chyba meblami. Pościel była jednak czysta, stał tam telewizor i dostępne było szybkie łącze internetowe. Mnie to w zupełności wystarczało.

Rzuciłem torbę podróżną na łóżko i rozejrzałem się, szukając książki telefonicznej.

W Paryżu byłem zaledwie od godziny, ale przed podjęciem jakichkolwiek działań musiałem zdobyć broń.

Rozdział 103

Francuzi są dość restrykcyjni w kwestii posiadania broni. Zezwolenia są wydawane tylko policji i wojsku oraz służbom ochrony, przy tym funkcjonariusze mają obowiązek nosić broń w kaburach i na widoku.

Mimo to w Paryżu, jak w każdym innym wielkim mieście, jeśli się bardzo chce, można ją dostać. Spędziłem resztę dnia, krążąc po Goutte d'Or, imigranckim rynsztoku, gdzie kwitnie handel narkotykami pod górującą nad labiryntem wąskich uliczek bazyliką Sacré-Coeur.

Zapłaciłem dwieście euro za stary damski pistolet kaliber .38, z krótką kilkucentymetrową lufą i magazynkiem na sześć naboji.

Gdy znalazłem się z powrotem w hotelu i brałem klucz od Georges'a, wskazał ruchem podbródka skuloną postać siedzącą na jednej z kanap.

Uświadomienie sobie, kogo widzę, zajęło mi chwilę. Podeszedłem do niej, potrząsnąłem za ramię i szepnąłem z niedowierzaniem:

— Amanda?

Otworzyła oczy i przeciągnęła się, gdy usiadłem przy niej. Objęła mnie za szyję i pocałowała, a ja nie byłem nawet zdolny odwzajemnić

pocałunku. Przecież powinna być w Los Angeles, bezpieczna w domu.

— Hej, spróbuj chociaż udawać, że cieszysz się na mój widok, dobrze? Paryż jest dla zakochanych — odezwała się z nieśmiałym uśmiechem.

— Mandy, na miłość boską, co ci strzeliło do głowy?

— Wiem, to spore zaskoczenie, ale mam ci coś ważnego do powiedzenia, Ben, co chyba zmienia wszystko.

— Przejdź do konkretów, Mandy. O czym mówisz?

— Muszę ci to powiedzieć, patrząc ci w oczy...

— I dlatego wsiadłaś do samolotu? Czy to ma związek z Henrim?

— Nie...

— Więc, kochanie, przykro mi, ale natychmiast wracasz do Stanów. Nie, nie kręć głową. Twoja obecność tam to jak glejt bezpieczeństwa dla mnie tutaj. Rozumiesz?

— Aha, dziękuję.

Mandy, najłagodniej mówiąc, nadąsała się, co rzadko jej się zdarzało, lecz wiedziałem z doświadczenia, że im bardziej będę naciskał, tym większy wywołam opór. Już czułem swąd palącego się dywanu, w który kopała obcasem.

— Jadłeś coś? — zapytała.

— Nie jestem głodny.

— A ja jestem. Pracuję we francuskiej restauracji, a jesteśmy w Paryżu.

— To nie są wakacje — przypomniałem jej.

Pół godziny później siedzieliśmy w kawiarnianym ogródku przy rue des Pyramides. Zapadała noc, powietrze było ciepłe, przed oczami mieliśmy widok na złotą statuetkę Joanny d'Arc na koniu, stojącą na skrzyżowaniu naszej ulicy z rue de Rivoli.

Nastrój Amandy wyraźnie zwyżkował. Była radosna, jakby znalazła się w siódmym niebie. Składała zamówienia po francusku, pochłaniała

danie za daniem, opisywała mi receptury, oceniała jakość sałatek, pasztetu i owoców morza.

Ja zadowolilem się krakersami i serami, i piłem mocną kawę, a mój mózg przez cały czas pracował nad wybrnięciem z tej sytuacji, zwłaszcza że czas uciekał.

— Amando — odezwałem się wreszcie z irytacją — wiesz, że nie powinnaś tu być. Nic więcej nie mam ci do powiedzenia.

— Powiedz, że mnie kochasz, Benji. Będę matką twojego dziecka.

Rozdział 104

Patrzyłem na Amandę. Trzydzieści jeden lat, z wyglądu dwadzieścia pięć, w niebieskim sweterku z falbankami przy dekolcie i mankietach, i z uśmiechem Mony Lizy. Była zdumiewająco piękna, jak nigdy dotąd.

— Powiedz, że jesteś szczęśliwy.

Wyjąłem łyżkę z jej ręki i odłożyłem na talerz. Wstałem z krzesła, ująłem w dłonie jej policzki i ucałowałem ją w usta. I jeszcze raz.

— Jesteś najbardziej zwariowaną dziewczyną, jaką znam, *tres étonnant*.

— A ty najwspanialszym facetem.

— Rety, jak ja cię kocham.

— *Moi aussi. Je t'aime* do szaleństwa. Ale, powiedz, Benji, jesteś szczęśliwy?

Skinąłem na kelnerkę.

— Ta pani i ja będziemy mieli dziecko.

— Czy to wasze pierwsze dziecko?

— Tak. Kocham tę dziewczynę nieprzytomnie i czuję się jak wniebowzięty, bo będę miał dziecko. Mógłbym frunąć do księżycy.

Kelnerka uśmiechnęła się szczerze, ucałowała w oba policzki mnie i Amandę, a potem publicznie ogłosiła nowinę słowami, których nie rozumiałem. Udawała, że kołysze dziecko w ramionach, czym rozbawiła gości przy sąsiednich stolikach, wreszcie wszyscy poderwali się z krzeseł i wykrzykiwali gratulacje, głośno klaszcząc.

Uśmiechałem się do obcych ludzi, skłoniłem się przed błogosławioną Amandą i ogarnęła mnie fala nieprzytomnej wprost radości. Miesiąc temu dziękowałem Bogu, że nie mam dziecka. Teraz czułem, że bije ode mnie blask silniejszy niż od szklanej piramidy I.M. Peia przed Lувrem.

Nie mogłem uwierzyć w tę nowinę.

Mandy urodzi nasze dziecko.

Rozdział 105

Równie gwałtownie, jak wybuchła moja radość i serce poszybowało do nieba, spadła na mnie czarna chmura potwornego lęku o Amandę.

Gdy wracaliśmy spacerem do naszego hoteliku, powiedziałem jej, że musi następnego dnia lecieć z powrotem do domu.

— Nigdy nie będziemy bezpieczni, póki Henri pociąga za sznurki. Muszę go przechytrzyć, a to niełatwe. Nasza jedyna nadzieja w tym, że zdołam wyprzedzić jego ruchy. Zaufaj mi.

Powiedziałem Amandzie, że kiedy Henri opowiadał o paryskim epizodzie z Giną, mówił, że włóczyli się po placu Vendôme.

— To jak szukanie igły w stu stogach siana, ale intuicja podpowiada mi, że on tu jest.

— Założmy, że tak, ale co masz zamiar zrobić w związku z tym, Benji? Naprawdę chcesz go zabić?

— Masz lepszy pomysł?

— Mnóstwo.

Gdy weszliśmy na górę, kazałem Amandzie się cofnąć i, otworzyłem drzwi z moim filigranowym smithem&wessonem w rękę. Sprawdziłem w pokoju szafy i łazienkę, rozsunałem zasłony i wyjrzałem przez okno, gdzie w ciemności czaiły się oczywiście potwory.

Będąc pewnym, że pokój jest w porządku, zwołałem Amandę.

— Wróć za godzinę — powiedziałem. — Najwyżej za dwie. Siedź tutaj, dobrze? Pooglądaj telewizję. Przysięgnij, że nie wyjdiesz z pokoju.

— Benji, proszę, zadzwoń na policję.

— Skarbie, powtarzam ci, policja nie jest w stanie zapewnić nam ochrony. Nas się nie da chronić. Nie przed nim. Obiecuj, że się nie ruszysz, proszę.

Mandy niechętnie podniosła trzy środkowe palce, jak w harcerskim przyrzeczeniu, i zamknęła za mną drzwi na klucz.

Już przedtem odrobiłem zadanie domowe. Z licznych paryskich hoteli pierwszej klasy wytypowałem początkowo hotele George V i Plaza Athenee, ale intuicja podpowiadała mi ten trzeci.

Do Ritza przy placu Vendôme miałem dwadzieścia minut drogi piechotą.

Rozdział 106

Henri z irytacji wyłamywał palce w stawach, siedząc na tylnym siedzeniu taksówki marki Mercedes, która miała go zawieźć na rue de Rivoli, a stamtąd na plac Vendôme. Był głodny, co zwiększało jego irytację, a tymczasem auto utknęło w absurdalnym korku i z trudem posuwało przez Pont Royal przed wjazdem na rue des Pyramides.

Gdy taksówka stała na światłach, Henri pokręcił głową na wspomnienie błędu, który popełnił, a właściwie wielkiej gafy, którą strzelił, nie upewniwszy się, jadąc rano do Amsterdamu, czy Jan van der Heuvel będzie w domu. Nie zastał go i zamiast natychmiast wyjechać, zachował się spontanicznie i nieobliczalnie, co mu się nigdy nie zdarzało.

Wiedział, że van der Heuvel ma sekretarkę, bo raz miał z nią styczność. Wiedział też, że pod koniec dnia to ona zamyka biuro.

Czekał więc cierpliwie i rzeczywiście punktualnie o piątej po południu Mieke Helsloot, zgrabna, szczupła dziewczyna w krótkiej spódniczce i sznurowanych butach, zniknęła wielkie frontowe drzwi biura van der Heuvela. Szedł za nią nabrzeżem kanału. Panowała cisza, przerywana tylko melodyjnym biciem kościelnych dzwonów i krzykiem mew.

Szedł cicho za dziewczyną, w odległości zaledwie paru metrów, a gdy zeszła z mostka nad kanałem i skręciła w krętą boczną uliczkę, zawołał: „Halo, proszę pani”, na co się obejrzała.

Natychmiast ją przeprosił, dostosował swój krok do jej kroku i idąc obok, wyjaśniał, że widział, jak zamyka biuro i że próbował ją dogonić, aż wreszcie mu się udało.

— Współpracuję z panem van der Heuvlem nad poufnym projektem... chyba pani sobie mnie przypomina, Mieke? Jestem Henri Benoit. Widzieliśmy się raz.

— Tak — odpowiedziała z wahaniem. — Niestety nie wiem, jak mogłabym panu pomóc. Pan van der Heuvel będzie jutro rano...

Henri przerwał jej, mówiąc, że zgubił numer komórki van der Heuvla, a zależy mu na tym, żeby go przeprosić i wytłumaczyć się z tego, że pomylił datę ich spotkania. Przeciągał rozmowę, aż Mieke Helsloot stanęła przed frontem kamieniczki, w której mieszkała.

Nie spuszczał z niej wzroku i fantazjował na jej temat, gdy z kluczem w rękę i niecierpliwością na twarzy zastanawiała się, co robić. Zwyciężyła uprzejmość i ofiarność dla szefa, więc zaprosiła Henriego do mieszkania, żeby mógł zadzwonić.

Podziękował, usiadł na jedynym krześle, jakie było w dwupokojowym mieszkaniu dziewczyny, wbudowanym pod klatkę schodową, i czekał na stosowny moment, żeby ją zabić.

Gdy przepłukiwała szklanki, rzucił okiem na regały z książkami, żurnale, lustro nad kominkiem prawie całkiem zakryte fotografiami przystojnego chłopaka Mieke, powtykanymi między ramę i szkło.

Później, gdy zrozumiała, co ten mężczyzna ma zamiar zrobić, protestowała głośno i błagała, żeby ją puścił, bo nikomu nie wyrządziła krzywdy i nic nikomu nie powie, naprawdę nigdy.

— Przepraszam, Mieke. Tu nie chodzi o ciebie — powiedział. — Chodzi o van der Heuvla. To bardzo zły człowiek.

— Więc dlaczego ja...

— Jak widać, Jan ma dzisiaj szczęśliwy dzień. Wyjechał z miasta.

Henri związał dziewczynie ręce na plecach jednym z jej sznurowadeł i zaczął rozpinać pasek od spodni.

— Tylko nie to — błagała. — Mam wyjść za mąż.

Nie zgwałcił jej. Nie miał nastroju po rżnięciu Giny. Więc doradził jej, żeby pomyślała o czymś przyjemnym. Doceniał wagę dobrych myśli w ostatnich momentach życia.

Zawiązał drugie sznurowadło wokół jej szyi i przygniatając ją kolaniem do podłogi, ciągnął mocno za oba końce, póki nie przestała oddychać. Woskowana sznurówka była mocna i ostra jak drut i przecięła szyję dziewczyny, tak że poląła się krew.

Potem Henri ułożył ciało pięknej Mieke na łóżku i przykrył kołdrą, nie zapominając poklepać ją czule po policzku.

Na koniec uświadomił sobie, że był tak wściekły na Jana, iż nawet nie przeszło mu przez myśl, że powinien zabójstwo utrwalić na taśmie.

Trudno, tak czy owak sygnał dotrze do Jana.

Ta myśl sprawiała mu przyjemność.

Rozdział 107

Wciąż uwięziony w korku, Henri wrócił myślami do Giny. Co mówiły jej szeroko rozwarte oczy, gdy padł strzał? Czy rozumiała, dlaczego jej to robi? To ważne. A to dlatego, że była pierwszą osobą, którą zabił dla własnej satysfakcji po dwudziestu pięciu latach, jakie upłynęły od uduszenia Molly w przyczepie dla bydła.

A teraz popełnił kolejne, trzecie zabójstwo z tego samego powodu, a nie dla pieniędzy.

W jego psychice coś się zmieniało.

Mógł tę zmianę porównać do światła przesączającego się przez szczelinę pod drzwiami. Od niego samego zależało, czy otworzy drzwi, by zalała go oślepiająca jasność, czyje zatrzaśnie i ucieknie z powrotem w mrok.

Klaksony się rozryczały, taksówka doczołgała się wreszcie do skrzyżowania ulic des Pyramides i Rivoli, ale znowu stanęła. Kierowca wyłączył klimatyzację i otworzył okna, żeby oszczędzać benzynę.

Niezadowolony z tego Henri pochylił się do przodu i zastukał w dzielącą ich szybę.

Kierowca odjął komórkę od ucha i poinformował Henriego, że ulica się zatkała, ponieważ prezydencka kolumna samo chodów właśnie

wyjechała z Pałacu Elizejskiego i kieruje się do Zgromadzenia Narodowego.

— Nic na to nie mogę poradzić, monsieur. Mam związane ręce. Proszę się odprężyć.

— Ile to jeszcze potrwa?

— Być może kolejne piętnaście minut. Skąd mogę wiedzieć?

Henri był coraz bardziej wściekły na siebie. Powrót do Paryża był głupotą. Czy miało to stanowić ironiczne postscriptum do zabicia Giny, czy może był to akt autodestrukcji? Jeżeli tak... czy rzeczywiście chce zostać złapany?

Obserwował ulicę przez otwarte okno, bezradny wobec absurdu blokowania ruchu przez kawalkadę polityka. Nagle usłyszał wybuchy śmiechu dochodzące z ogródka restauracji na rogu.

Spojrzał w tamtą stronę.

Mężczyzna w niebieskiej sportowej marynarce, różowej koszulce polo i spodniach khaki, co pachniało Amerykaninem, kłaniał się nisko młodej kobiecie w niebieskim swetrze. Ludzie przy stolikach kłaskali. Ta scena wzbudziła zainteresowanie Henriego, bo mężczyzna wydał mu się znajomy. Po sekundzie jego mózg dosłownie przestał pracować.

Nie mógł w to uwierzyć. Chciał zapytać taksówkarza: „Czy pan widzi to co ja? Czy to Ben Hawkins i Amanda Diaz? Bo wydaje mi się, że tracę rozum”.

Hawkins przekreślił się na metalowym krześle i usiadł twarzą do ulicy. Teraz Henri nie miał żadnych wątpliwości. To był Ben. Kiedy ostatnim razem Henri sprawdzał go przez GPS, Ben siedział w Los Angeles. Ale to było jakiś czas temu.

Sięgnął pamięcią do ostatniego weekendu. Późnym wieczorem w sobotę, po zabiciu Giny, przesłał Benowi film, ale nie sprawdził na lokalizatorze GPS, gdzie on jest. Więc nie kontrolował go od paru dni.

Czy Ben odkrył nadajnik i się go pozbył?

Na moment Henriego ogarnęło nieznane uczucie: strach. Bał się, że staje się niekompetentny, traci ciężko wypracowaną dyscyplinę, sprawy wymykają mu się z rąk. To nie może się powtórzyć.

Nigdy więcej.

Warknął do taksówkarza, że nie będzie dłużej czekał na dalszą jazdę. Wetknął mu w garść plik banknotów, złapał torbę i aktówkę i wysiadł z taksówki.

Kluczył między pojazdami, a gdy zdecydował się wejść na chodnik, natychmiast dał nura we wnękę między dwiema wystawami sklepowymi w odległości jakichś dziesięciu metrów od restauracji.

Serce zabiło mu mocno, gdy zobaczył Bena i Amandę wychodzących z knajpy. Trzymając się za ręce, szli rue de Rivoli na wschód.

Kiedy odeszli na bezpieczną odległość, Henri ruszył za nimi i nie tracił ich z oczu, póki nie weszli do Singe-Vert, małego hotelu przy placu Andre Malraux. Gdy zniknęli wewnątrz, Henri wszedł do przylegającego do holu baru Jacques Americaine. Zamówił szkocką u barmana, bardzo zajętego podrywaniem siedzącej przy barze brunetki z końską twarzą.

Sączył drinka i obserwował lobby w odbiciu w lustrze, naprzeciwko którego usiadł. Zobaczywszy, że Ben schodzi na dół, odwrócił się na stolku i patrzył uważnie, jak Ben oddaje klucz w recepcji.

Zapamiętał numer wypisany dużymi cyframi pod haczykiem na klucz.

Rozdział 108

Była już dwudziesta trzydzieści, gdy dotarłem do Vendôme, olbrzymiego placu z pasami ruchu otaczającymi go z czterech boków i wysokim na dwadzieścia kilka metrów pomnikiem Napoleona Bonaparte w centralnym miejscu. Po zachodniej stronie jest rue Saint-Honore, raj zakupowy dla bogaczy, a po przeciwległej olśniewa bajkowa architektura francuskiego gotyku — hotel Ritz, zbudowany z kamienia w kolorze miodowym, ozdobiony połyskującymi żółto markizami nad drzwiami i oknami.

Wszedłem na czerwony dywan rozłożony przed wejściem, pchnąłem obrotowe drzwi i znalazłem się w lobby, gdzie przyćmione łagodne światło kandelabrow padło na kanapy w kolorach klejnotów, stare obrazy i wesołe twarze gości.

Wewnętrzny telefon odkryłem we wnęcie i poprosiłem operatora o połączenie mnie z panem Benoit. Sekundy odliczałem biciem mojego serca, ale operator poinformował mnie po chwili, że monsieur Benoit jest co prawda oczekiwany, ale jeszcze nie zgłosił się w recepcji. Czy zostawię dla niego wiadomość?

— Zadzwońę później, dziękuję — odpowiedziałem.
Zlokalizowałem go. Bez błędnie.

Henri jest w Paryżu, a przynajmniej wkrótce ma się tu zjawić. I zamieszkać w Ritzu.

Gdy odkładałem słuchawkę, załała mnie fala gorącej nienawiści do potwora, który zabił tyłu Bogu ducha winnych ludzi, w tym Levona i Barbarę. Zazgrzytałem zębami na wspomnienie koszmarnych dni i nocy, kiedy uwięziony w duchocie pustyni siedziałem twarzą w twarz z mordercą i szaleńcem.

Nie zapomniałem o groźbie Henriego, że zabije Amandę. Próbowałem zdławić strach. Usiadłem w kącie holu, skąd mogłem obserwować wejście. Zasłoniłem się porzuconym egzemplarzem „Herald Tribune” i poczułem się, jakbym siedział na czatach w wozie patrolowym, tyle że nie sączyłem kawy i nie słuchałem bluzgania partnera.

Gotów byłem czuwać tu bez końca, ponieważ nareszcie przejąłem inicjatywę i wyprzedzałem wkurwiające ruchy tego psychopaty.

Przez długie dwie godziny wyobrażałem sobie, jak Henri wchodzi do hotelu z torbą na garnitury i melduje się w recepcji. Byłem pewien, że rozpoznam go natychmiast, niezależnie od tego, w jakim będzie przebraniu. Wsiądę za nim do windy i skurwysyn poczuje, jak kiedyś ja, co to strach, mogący przyprawić o atak serca.

Nie byłem tylko pewny, co zrobię potem.

Pomyślałem, że mógłbym go obezwładnić, wezwać policję i oddać w ręce glin jako podejrzanego o zabójstwo Giny Prazzi.

Wydało mi się to jednak zbyt ryzykowne. Więc chyba lepiej wpakować mu kulkę w łeb, zgłosić się do ambasady amerykańskiej i wyjaśnić sprawę.

Rozważyłem pierwszą opcję. Gliny pytają mnie: „Kto to jest Gina Prazzi?”, „Skąd pan wie, że ona nie żyje?”. Wyobraziłem sobie, jak pokazuję im film Henriego, na którym w ogóle nie widać ciała Giny. Jeżeli pozbył się zwłok, nie będzie podstaw do aresztowania go.

Wątpliwości wzbudzi moja osoba. Stanę się podejrzanym numer jeden.

Przemyślałem opcję drugą. Oczami duszy zobaczyłem siebie mierzącego do Henriego z pistoletu kaliber .38 z okrzykiem: „Ręce na ścianę, nie ruszać się!”. Ten pomysł, owszem, nawet mi się spodobał.

Rozmyślałem, jednocześnie czujnie obserwując otoczenie, i w pewnym momencie wśród tuzinów osób, które przewijały się przez hol, zauważyłem dwie młode, piękne i stylowo wyglądające kobiety w towarzystwie mężczyzny. Zmierzali do wyjścia. Przechodzili koło mnie, usłyszałem język angielski, babki mówiły jedna przez drugą, śmiejąc się i kokietując wciśniętego między nie mężczyznę.

Obejmowali się ramionami jak szkolni kumple i rozdzielili dopiero przed obrotowymi drzwiami. Facet zatrzymał się i przepuścił panie.

Krew uderzyła mi do głowy, nie byłem w stanie myśleć. Zarejestrowałem tylko przeciętne rysy twarzy mężczyzny, jego sylwetkę i ubranie.

Był teraz blondynem, nosił duże okulary w czarnych oprawkach, lekko się garbił.

W taki właśnie dyskretny sposób Henri zmieniał swój wygląd. Mówił mi, że dzięki temu, iż stosuje proste zabiegi, jego różne wcielenia się sprawdzają. Zmieniał sposób chodzenia, ton głosu i dodawał do tego kilka przyciągających wzrok i zapadających w pamięć szczegółów. W ten sposób zyskiwał sobie nową tożsamość. Jakakolwiek była ta aktualna, jednego byłem pewien: mężczyzna adorowany przez te dwie kobiety nie jest nikim innym, jak tylko panem Benoit.

Rozdział 109

Upuściłem gazetę na podłogę i śledziłem wzrokiem tę trójkę, póki obrotowe drzwi nie wypłuły ich, jedno po drugim, na ulicę.

Pospieszyłem do wyjścia, by sprawdzić, dokąd Henri się udaje, żeby zyskawszy na czasie, obmyślić jakiś plan. Zanim jednak dotarłem do drzwi, wyprzedziła mnie rozchichotana grupa turystów, tłocząc się i przepychając między szklanymi skrzydłami. Stałem wściekły i chciało mi się wrzasnąć: „Wy dupki przekłete, zejźcie mi z drogi!”.

Gdy znalazłem się na zewnątrz, Henri i jego towarzyszki byli daleko przede mną, idąc pasażem handlowym po zachodniej stronie ulicy. Szli rue de Castiglione w kierunku rue de Rivoli. Gdy dobiegłem do rogu, zdołałem jeszcze dojrzeć, że skręcają w lewo w Rivoli.

Potem zobaczyłem te dwie kobiety, przytulone do siebie przed witryną designerskiego butiku z obuwiem, a blond włosy Henriego mignęły mi między głowami przechodniów o wiele dalej.

Starłem się nie stracić go z oczu, ale zniknął w wejściu do stacji metra Tuilleries.

Rzuciłem się przez strumień jadących pojazdów na drugą stronę ulicy i zbiegłem na peron, ale na tej jednej z najruchliwszych stacji metra nie mogłem go wypatrzeć.

Rozglądałem się gorączkowo na wszystkie strony, przewiercając wzrokiem tłum pasażerów.

Nareszcie go dojrzałem. Stał na końcu peronu. Nagle odwrócił się przodem do mnie. Zamarłem. Przez minutą, długą jak wieczność, czułem się tak bezbronny, jakby zalał mnie snop światła z reflektora na ciemnej dotąd scenie.

Nie mógł mnie nie zobaczyć.

Znajdowałem się na linii jego wzroku.

Ale, o dziwo, w ogóle nie zareagował, chociaż nadal wpatrywałem się w niego z nogami wrośniętymi w ziemię.

Zmrużyłem oczy, jego rysy stały się bardziej wyraźne, dostrzegłem długi nos, wysokie czoło, cofnięty podbródek.

Czyżbym oszalał?

Dopiero co byłem pewny swego, ale teraz też byłem pewien, że się pomyliłem. Jako detektyw okazałem się kretynek, cymbałem i kompletnym zerem. Człowiek, którego śledziłem od hotelu Ritz? Bezsprzecznie nie był to Henri.

Rozdział 110

Wyszedłem z metra na ulicę i uświadomiłem sobie, że obiecałem Amandzie, iż wrócę w ciągu godziny, a nie było mnie już od trzech.

Wracałem do hotelu Singe-Vert z pustymi rękami, bez czekoladek, kwiatów czy jakiegoś drobiazgu ze sklepu z biżuterią. Nie mogłem się pochwalić żadnym sukcesem w następstwie eskapady Ritz — metro Tuilleries poza jedną informacją, chociaż była doniosła.

Henri zarezerwował pokój w hotelu Ritz.

W holu naszego hoteliku nikt nie siedział, ale kłęby dymu z papierosów i gwar głośnych rozmów z baru wdzierały się tutaj i rozchodziły po zapuszczonych kątach.

W recepcji nie było nikogo.

Wszedłem za kontuar, ale nasz klucz nie wisiał na haczyku. Czy nie oddałem go, wychodząc? Nie mogłem sobie przypomnieć.

Czy Mandy wyszła z hotelu z kluczem, chociaż prosiłem, żeby nie opuszczała pokoju? Wchodziłem na górę zły na siebie i na nią, ale przede wszystkim spragniony snu.

Zapukałem do drzwi, zawołałem Amandę, a gdy nie odpowiedziała, przekręciłem gałkę. Byłem zdecydowany palnąć Amandzie kazanie,

powiedzieć, że koniec z jej dziecinnym zachowaniem i nieodpowiedzialnością. Odtąd ma się mieć na baczności za dwoje.

Otworzyłem drzwi i w jednej sekundzie wyczułem, że coś jest nie tak. Łóżko było puste. Czy Mandy jest w łazience? Czy coś jej się stało?

Zrobiłem zaledwie kilka kroków, kiedy drzwi zamknęły się za mną z hukiem. Obróciłem się na pięcie i ujrzałem scenę, która nie mogła być rzeczywistością.

Czarnoskóry mężczyzna trzymał Mandy przed sobą, lewą ręką obejmował ją w pasie, prawą przytykał do jej głowy rewolwer. Na rękach miał lateksowe rękawiczki. Niebieskie. Dokładnie takie, jakie już widziałem.

Spojrzałem na twarz Mandy: w połowie zakryta kneblem, a w oczach dziki strach. Spod knebla dochodziły bełkotliwe jęki.

Czarny facet wyszczerzył do mnie zęby, mocniej przycisnął Amandę i wziął mnie na muszkę.

— Amando — powiedział — widzisz, kto wrócił? Czekaliśmy na niego strasznie długo, nieprawdaż, kochanie? Ale nie było nudno, przyznaj.

Fragmenty informacji układały się w moim umyśle w logiczną całość: niebieskie rękawiczki, znany głos i kształt twarzy, sceniczny makijaż. Tym razem się nie myliłem. Miałem za sobą sto godzin słuchania tego głosu tuż przy uchu. To był Henri. Ale jakim cudem nas tutaj znalazł?

Zakotłowało mi się głowie, myślałem o wszystkim naraz. To były ułamki sekundy.

Chociaż przyjechałem do Paryża powodowany strachem, który nie mijał, teraz, gdy Henri zapukał do moich drzwi, strach nagle mnie opuścił. Wpadłem w furję. Moje serce pompowało nie krew, lecz adrenalinę, która dawała mi moc dziecka podnoszącego ciężarówkę i odwagę szaleńca rzucającego się w ogień, by ratować płonący dom.

Wyrwałem zza paska pistolet, odbezpieczyłem i wrzasnąłem:

— Puszczaj ją!

Prawdopodobnie nie wierzył, że strzelę. Uśmiechnął się z wyższością.

— Rzuć broń, Ben. Chcę tylko porozmawiać.

Podszedłem do tego maniaka i przystawiłem mu lufę do czoła. Powitał to szerokim uśmiechem, błysnął złotym zębem, który stanowił ważny szczegół przebrania. Wypaliłem dokładnie w tym momencie, kiedy dostałem kolanem w krocze. Cios posłał mnie na biurko, które zarwało się pod moim ciężarem.

Pierwsza myśl: czy postrzeliłem Mandy? Nie, widziałem krew ciekącą z ramienia Henriego i słyszałem szcęk ślizgającego się po drewnianej podłodze rewolweru, który wypadł mu z ręki.

Henri odepchnął Mandy od siebie z taką siłą, że runęła na mnie. Zsunąłem ją z siebie i próbowałem wstać, ale zdążył przygnieść mi nadgarstek butem do podłogi. Spojrzał na mnie z pogardą.

— Dlaczego nie zajmujesz się swoją robotą, Ben? Gdybyś siedział przy biurku, nie mielibyśmy tego małego problemu, a teraz już nie mogę ci ufać. Żałuję, że nie wziąłem ze sobą kamery.

Pochylił się, odgiął mi palce zaciśnięte na broni i wyjął ją z ręki. Wycelował: najpierw we mnie, potem w Mandy.

— Kto chce umrzeć jako pierwszy? *Vous czy vous?*

Rozdział 111

Pociemniało mi w oczach. A więc to koniec. Mamy umrzeć, ja i Amanda. Czuję oddech Henriego, gdy wciskał mi lufę mojego własnego pistoletu w prawe oko. Mandy usiłowała krzyczeć przez knebel.

Henri warknął na nią.

— Zamknij się.

Ucichła.

W oczach miałem łzy. Może z bólu, a może z żalu, że już nigdy nie zobaczę Amandy. Że za chwilę ona też umrze. I nasze dziecko nigdy się nie narodzi.

Henri wystrzelił. W dywan tuż koło mojej głowy, ogłuszając mnie. Szarpnął mnie za włosy i zbliżył usta do mojego ucha.

— Napisz tę cholerną książkę, Ben. Wracaj do domu i rób, co do ciebie należy. Co wieczór będę dzwonił do Los Angeles i jeśli nie odbierzesz telefonu, znajdę cię. Wiesz, że to potrafię. I jeszcze jedno obiecuję wam obydwójgu: nie dostaniecie drugiej szansy.

Odsunął broń od mojej twarzy. Zdrową ręką złapał swój marynarski worek i teczkę i trzasnął drzwiami na odchodnym. Słyszać było jego coraz cichsze kroki na schodach.

Odwrociłem się do Mandy. Kneblem był jasek, wepchnięty do jej ust i zawiązany za rogi z tyłu głowy. Drżącymi palcami rozsuplałem węzeł i wzięłem Mandy w ramiona, kołysząc ją jak dziecko w przód i w tył, w przód i w tył...

— Nic ci nie jest, skarbie?

Chlipała, mówiąc, że wszystko jest w porządku.

— Jesteś pewna?

— Idź — powiedziała. — Wiem, że chcesz za nim pójść.

Pełzałem na czworakach po podłodze, czując pod kolanami potrzaskane części staroświeckich mebli.

— Wiesz, że muszę. On nie da nam spokoju.

Rewolwer Henriego znalazłem pod toaletką i zacisnąłem dłoń na kolbie. Przekręciłem spryskaną krwią gałkę w drzwiach i krzyknąłem do Amandy, że wkrótce będę z powrotem.

Trzymając się poręczy, schodziłem na dół, a z każdym krokiem ból w dole brzucha nieco ustępował, więc przyspieszałem, wiedząc, że w taki czy inny sposób muszę unieszkodliwić Henriego.

Rozdział 112

Niebo było czarne, ale latarnie i rozświetlone okna w wiecznie obleganym przez gości sąsiadującym z nami Hotel du Louvre zamieniały noc w dzień. Obydwa te hotele znajdowały się zaledwie kilkaset metrów od ogrodów Tuilleries, wielkiego parku rozciągającego się za Luwrem.

Odbywał się tam tego dnia jakiś festyn z atrakcjami. Dochodziła wrzawa z wesołego miasteczka i dźwięki instrumentów dętych. Była dwudziesta pierwsza trzydzieści, rozbawieni turyści i rodziny z dziećmi przelewali się po chodnikach, wrzaski i głośny śmiech towarzyszyły wybuchom sztucznych ogni i rykom klaksonów. Próbowałem sobie przypomnieć, w jakim francuskim filmie widziałem takie obrazy.

Szedłem nikłym śladem kropel krwi, który parę metrów za drzwiami hotelu zniknął. Henri znowu się ulotnił, to była jego specjalność. Czy skrył się w Hotel du Louvre? Czy sprzyjało mu szczęście i złapał taksówkę?

Bezradnie wypatrywałem go na zatłoczonej ulicy, gdy nagle usłyszałem wycie policyjnej syreny zbliżające się od strony placu Andre Malraux.

Domyśliłem się, że obsługa naszego hotelu zadzwoniła na policję.

Tymczasem ja byłem na ulicy z bronią w ręku. Wepchnąłem rewolwer do żardiniery przed wejściem do Hotel du Louvre. Potem zawróciłem i zasiadłem na wyściełanym krześle w lobby Singe-Vert, czekając dzielnie na pojawienie się funkcjonariuszy policji.

Będę zmuszony do opowiedzenia glinom o Henrim i o wszystkim innym.

Zastanawiałem się, jak to będzie wyglądało.

Rozdział 113

Wycie syreny stawało się coraz głośniejsze, zeszywniała mi szyja i ramiona, a potem odgłos sygnału zaczął cichnąć, gdy minął nasz hotel i oddalał się w kierunku Tuilleries. Gdy było po wszystkim, zacząłem wchodzić na schody jak starzec. Zapukałem do drzwi pokoju.

— Mandy, to ja. Jestem sam. Możesz otworzyć.

Po paru sekundach patrzyłem na jej twarz ze śladami łez i zasinionymi od knebla kącikami ust. Wyciągnąłem ramiona i moja dziewczyna wtuliła się we mnie, szlochając tak, jakby już nigdy nie miała się uspokoić.

Kołysałem Amandę w ramionach przez dłuższą chwilę. Potem rozebrałem ją i siebie, pomogłem jej wejść do łóżka. Zgasilem górne światło, zostawiając tylko małą lampkę na nocnym stoliku. Wsunąłem się pod kołdrę i objąłem Mandy. Przycisnęła twarz do mojej piersi, oplotła mnie rękami i nogami.

— Mów do mnie, skarbie — poprosiłem. — Opowiedz o wszystkim.

— Zapukał do drzwi. Powiedział, że przyniósł kwiaty. Czy nie jest to najbanalniejsza sztuczka? A ja dałam się nabrać, Ben.

— Powiedział, że są ode mnie?

— Chyba tak. Tak mówił.

— Zastanawia mnie... Skąd wiedział, że tu jesteśmy? Co naprowadziło go na nasz trop? Nie pojmuję.

— Gdy tylko przekreśliłam klucz, otworzył drzwi kopniakiem i rzucał się na mnie.

— Żałuję, że go nie zabiłem.

— Nie wiedziałam kto to. Czarny facet. Wykręcił mi ręce do tyłu. Nie mogłam się ruszyć. Powiedział... nie, nie mogę powtórzyć, chce mi się rzygać... — Znowu się rozplakała.

— Co ci powiedział?

— „Kocham cię, Amando”.

Gdy słuchałem Mandy, dzwijało mi w uszach echo głosu Henrie-go. Mówił mi, że kochał Kim. Kochał Julię Winkler. Ile czasu mu zabrakło, żeby udowodnić swą miłość do Amandy aktem gwałtu i uduszeniem jej rękami w tych piekielnych niebieskich rękawiczkach?

— Tak mi przykro, tak mi przykro, Mandy, przepraszam cię — szeptałem.

— To moja wina, wsiadłam do samolotu i przyleciałam tu jak kretyńka. Boże, jak długo on był tu ze mną, Ben? Trzy godziny? Muszę cię przeprosić, bo nie zdawałam sobie sprawy, co znaczyło dla ciebie spędzenie z nim aż trzech dni.

I znowu się rozplakała, a ja gładziłem ją po włosach i powtarzałem w kółko, że wszystko będzie dobrze.

— Nie obraż się — powiedziała głosem, w którym słychać było napięcie, ale też ironię — ale skąd u ciebie ta pewność?

Wstałem z łóżka, otworzyłem laptop i zarezerwowałem dwa bilety do Stanów na poranny samolot.

Rozdział 114

Była północ, a ja chodziłem w tę i we w tę po pokoju. Chociaż wziąłem garść tabletek tylenolu i wsunąłem się pod kołdrę obok Amandy, nie mogłem zasnąć. Nie udawało mi się leżeć z zamkniętymi oczami choćby przez kilka sekund.

Telewizorek był mały i stary, ale włączyłem go i odszukałem CNN.

Po skrócie najważniejszych wiadomości nadano komunikat: „Policja nie ma podejrzanych w sprawie zabójstwa Giny Prazzi, dziedziczki fortuny magnatów okrętowych. Została znaleziona martwa dwadzieścia cztery godziny temu w apartamencie luksusowego hotelu Chateau Mirambeau we Francji, w okolicach Bordeaux”. Zadrzałem.

Kiedy na ekranie pojawiła się twarz Giny Prazzi, miałem wrażenie, że dobrze znam tę osobę. Obserwowałem, jak przechodzi przed kamerą, nieświadoma, że za niedługo skończy życie.

— Mandy, Mandy! — zawołałem i potrząsnąłem jej ramię. Przekreśliła się tylko na drugi bok i jeszcze bardziej zakopała w puchową pościel, nie budząc się z głębokiego snu.

Patrzyłem na ekran. Francuski kapitan policji udzielał wywiadu prasie, tłumaczenie na angielski szło na bieżąco. Pani Prazzi zameldowała się

w Chateau Mirambeau sama. Sprzątaczką twierdziła, że w pokoju były dwie osoby, ale drugiego gościa nikt nie widział. Policja powstrzymała się na razie od dalszych komentarzy.

Mnie nie były potrzebne. Znałem całą historię, teraz dowiedziałem się tylko, że Gina Prazzi to prawdziwe nazwisko.

Jakimi jeszcze kłamstwami karmił mnie Henri? Z jakich powodów to robił? Dlaczego kłamał? Czy to był jego sposób na mówienie prawdy?

Wciąż wpatrzony w telewizor, słuchałem kolejnego komunikatu: „Dzisiaj rano w Holandii znaleziono ciało młodej kobiety w jej mieszkaniu w Amsterdamie. Ta tragedia przyciągnęła uwagę nie tylko miejscowej policji, ale również międzynarodowych kryminologów, ponieważ pewne elementy popełnionej zbrodni zdradzają analogie z zamordowaniem dwóch młodych kobiet na wyspie Barbados oraz z niewyjaśnionymi dotąd zagadkami śmierci dwóch znanych amerykańskich modelek zabitych przed dwoma miesiącami na Hawajach”.

Podkreśliłem głos, na ekranie widziałem kolejno twarze Sary Russo, Wendy Emerson, Kim McDaniels, Julii Winkler i nieznanej mi jeszcze dziewczyny, Mieke Helsloot.

Prezenter mówił dalej: „Pani Helsloot, lat dwadzieścia pięć, była sekretarką znanego architekta, Jana van der Heuvla z Amsterdamu, który w czasie, gdy popełniano morderstwo, uczestniczył w konferencji w Kopenhadze. Nadal tam jest i został przesłuchany przez policję kilka minut temu w jednym z kopenhaskich hoteli”.

Jezus Maria, znam to nazwisko, przeszło mi natychmiast przez głowę.

Kamera pokazała Jana van der Heuvla wychodzącego z hotelu z teczką w ręku. Był po trzydziestce, miał ostre rysy twarzy. Wyglądał na zaszokowanego i wystraszonego. Otoczył go tłum reporterów.

„Przed chwilą dowiedziałem się o tej tragedii — mówił, ledwie widoczny zza gąszcza mikrofonów. — Jestem wstrząśnięty i zrozpaczony. Mieke Helsloot była porządną, uczciwą młodą damą, nie mam pojęcia, kto mógłby chcieć ją skrzywdzić. To straszny dzień i straszna wiadomość. Mieke miała niedługo wyjść za mąż”.

Henri powiedział mi, że nazwisko Jan van der Heuvel to pseudonim jednego z członków Przymierza, którego nazywał Holendrem. To był ten facet, który lubił patrzeć na łóżkowe igraszki Henriego i Giny.

Zadziwiające, że dzień po tym, jak Henri zabił Ginę Prazzi, ofiarą morderstwa padła sekretarka Jana van der Heuvla.

Gdybym nie był gliną, prawdopodobnie uznałbym, że te dwa zabójstwa łączy przypadkowa zbieżność w czasie. Ofiary reprezentowały skrajnie różne typy kobiet. Miejsca zbrodni oddalone były o setki kilometrów. Mimo to na mapie serii morderstw wetknąłbym dwie nowe chorągiewki. Wpisywały się w schemat.

Henri kochał Ginę Prazzi i ją zabił. Nienawidził Jana van der Heuvla. Być może jego też chciał zabić i wybrał się... Przyszło mi nagle do głowy, że mógł nie wiedzieć, iż tego dnia van der Heuvel będzie w Danii.

Dlaczego nie miałby zabić sekretarki zamiast szefa?

Rozdział 115

Obudziły mnie promienie słońca wkradające się do pokoju przez małe okno. Amanda leżała na boku, tyłem do mnie, jej długie ciemne włosy rozrzucone były na poduszce. W jednej sekundzie znowu ogarnęła mnie wściekłość na wspomnienie czarnej twarzy Henriego, rewolweru w jego ręku przy głowie Mandy i obłądnego strachu w jej oczach.

Przestało mnie obchodzić, dlaczego Henri zabija inne kobiety, jakie zbrodnie planuje, dlaczego tak bardzo zależy mu na książce i co sprawia, że wydaje się tracić kontrolę nad sytuacją.

Ważna była tylko jedna rzecz: musiałem zapewnić bezpieczeństwo Amandzie. I dziecku.

Złapałem zegarek, dochodziła siódma trzydzieści. Leciutko potrząsnąłem ramieniem Amandy, a ona natychmiast uniosła powieki, westchnęła, ale widząc nad sobą moją twarz, wtuliła się w poduszkę.

— Myślałam przez moment...

— To był tylko sen.

— Hm...

Delikatnie przyłożyłem głowę do jej brzucha. Amanda zmierzwiła mi włosy.

— Czy tam jest dzidzius?

— Ty głupku. Jestem głodna.

Zwinąłem dłonie w trąbkę i zacząłem udawać, że rozmawiam z dziuziusem, jakby małeńka grudka naszych połączonych DNA mogła mnie słyszeć.

— Halo, halo, łobuziaczku, kochasz tatusia?

Mandy wybuchnęła śmiechem i jej wesołość mnie ucieszyła, ale pod prysznicem, gdy mnie nie widziała, rozplakałem się. Gdybym zabił Henriego, gdy miałem go na celowniku! Gdyby mi się to udało! Teraz byłoby po wszystkim.

Płacąc rachunek w recepcji, nie pozwoliłem Amandzie odejść ani na krok. Potem przywołałem taksówkę i kazałem zawieźć nas na lotnisko Charles'a de Gaulle'a.

— Wracamy do Los Angeles? — spytała.

— Nie możemy.

Otworzyła szeroko oczy.

— Więc co robimy?

Wyjaśniłem, co zaplanowałem. Wręczyłem jej wizytówkę z wypisaną na odwrocie krótką listą nazwisk i numerów telefonów, powiedziałem, że gdy wyląduje, ktoś odbierze ją z lotniska. Słuchała grzecznie i nie protestowała, kiedy mówiłem, że nie wolno jej dzwonić do mnie, wysyłać e-maili, w żaden sposób się ze mną komunikować. Ma odpoczywać i dobrze się odżywiać.

— Jeżeli będziesz się nudziła, pomyśl o wyborze sukienek.

— Wiesz, że nie noszę sukienek.

— Zdaje się, że będziesz musiała zrobić wyjątek.

Wyjąłem flamaster z torby na komputer i narysowałem na jej lewym serdecznym palcu pierścionek z promieniami odchodzącymi od ogromnego „brylantu”.

— Amando Diaz, kocham w tobie wszystko. Czy wyjdiesz za mnie?

— Ben...

— Ty i łobuziaczek.

Wzruszyliśmy się tak, że łzy zrosiły nam policzki. Objęła mnie za szyję.

— Tak, tak, tak — szeptała i przysięgała, że nie zmyje pierścionka z palca, póki nie dostanie prawdziwego.

Na lotnisku kupiłem dla nas na śniadanie croissanty z czekoladowym nadzieniem i kawę z mlekiem. Kiedy zapowiedziano lot Amandy, odprowadziłem ją najdalej, jak mogłem. Oplotłem ją ramionami. Rozplakała się i mnie też nie udało się powstrzymać łez. Czy coś może przerażać bardziej niż ewentualność rozstania na zawsze? Nie sądzę. A co mówić o rozstaniu z kimś, kogo się bardzo kocha?

Całowałem Mandę w usta, z których nie zniknęło jeszcze zasinienie. Jeżeli w miłości tkwi siła, Amanda powinna być bezpieczna, pomyślałem. I wkrótce zobaczę ich obydwoje.

Niestety, jak nóż przeszła mnie inna myśl: być może już nigdy nie zobaczę Amandy. To pożegnanie jest ostatnim, powitania nie będzie.

Wierzchem dłoni wycierałem łzy, patrząc, jak Amanda podchodzi do okienka kontroli paszportowej. Odwróciła się, pomachała mi i przesłała ręką pocałunek.

Gdy straciłem ją z oczu, wyszedłem z lotniska, wziąłem taksówkę do Gare du Nord i wsiałem w ekspres do Amsterdamu.

Rozdział 116

Po czterech godzinach wysiadałem z pociągu na Centraal Station w Amsterdamie. Z dworca zadzwoniłem do Jana van der Heuvla. Już przedtem, przed wyjazdem z Paryża, prosiłem go o jak najszybsze spotkanie. Teraz ponownie zapytał mnie, dlaczego to takie pilne, i tym razem uzyskał odpowiedź:

— Henri Benoit przysłał mi film, który, jak sądzę, powinien pan obejrzeć.

Zapadło długie milczenie, po czym van der Heuvel wskazał mi jako miejsce spotkania most nad kanałem Keizersgracht, oddalony o parę przecznic od dworca.

Czekał na mnie, stojąc pod latarnią i patrząc na wodę. Rozpoznałem go bez trudu — widziałem go w telewizji, gdy opowiadał dziennikarzom, jak się czuje, słysząc o zamordowaniu Mieke Helsloot.

Dzisiaj ubrany był w wytworny, szary garnitur z gabardyny, białą koszulę i grafitowy krawat w połyskliwy wzorek. Miał ostre rysy twarzy, a przedziałek we włosach równiutki jak po cięciu nożem.

Przedstawiłem się jako powieściopisarz z Los Angeles.

— Skąd pan zna Henriego? — spytał po dłuższym milczeniu.

— Spisuję historię jego życia. Jego autobiografię. Zamówił ją u mnie.

— Czy pan go spotkał?

— Tak, oczywiście.

— Jestem tym wszystkim zdziwiony. Czy wymieniał moje nazwisko?

— Piszę tak zwaną powieść z kluczem. Henri powiedział mi o wszystkim.

Van der Heuvel sprawiał wrażenie bardzo skonsternowanego. Zastanawiał się chyba, czy kontynuować rozmowę, i w końcu podjął decyzję.

— Mogę poświęcić panu chwilę. Mój apartament jest w pobliżu. Zapraszam.

Przeszliśmy przez most i znaleźliśmy się przed elegancką pięciopiętrową kamienicą, pasującą do tej elitarnej dzielnicy. Otworzył drzwi i gestem wskazał, żebym szedł przodem. W miarę jak wspinałem się coraz wyżej jasno oświetlonymi schodami, a szliśmy na ostatnie piętro, mój optymizm wzrastał.

Van der Heuvel był pokrętny jak wąż, co do tego nie miałem złudzeń. Jako członek Przymierza ponosił odpowiedzialność za liczne morderstwa, chociaż nie brudził własnych rąk. Jednak potrzebna mi była współpraca tego odrażającego człowieka, więc musiałem udawać, że nie czuję do niego wstrętu.

Miałem nadzieję, że naprowadzi mnie na trop Henriego Benoit i dzięki temu znów będzie dana mi szansa unieszkodliwienia tego potwora w taki czy inny sposób.

Tym razem nie spudłuję.

Van der Heuvel prowadził mnie przez rozległą przestrzeń designerskiego apartamentu z oszczędnym umeblowaniem. Jasne drewno, szkło i wlewające się światło słoneczne. Wskazał mi z pozoru niewygodne krzesło za długim stołem stojącym pod wysokimi oknami.

— To zaiste przezabawne, że Henri opowiada panu historię swojego życia — powiedział. — Potrafię wyobrazić sobie, jak zmyśla.

— Powie mi pan, czy jest zabawne coś, co za chwilę panu pokażę.

Włączyłem laptop, odwróciłem ekranem w jego stronę i nacisnąłem klawisz „play”. Miał obejrzeć ostatnie minuty życia Giny Prazzi.

Sądzę, że nie widział tego filmu, a mimo to oglądał go z kamienną twarzą. Gdy ekran pociemniał, rzucił krótki komentarz:

— Najzabawniejsze jest to, że ją kochał.

Kiedy zamykałem wieczko laptopa, van der Heuvel patrzył mi obojętnie w oczy.

— Zanim wziąłem się do pisania powieści, byłem gliną — wyjaśniłem. — Według mnie Henri przystąpił do zacierania śladów. Sprząta po sobie. Zabija ludzi, którzy wiedzą, kim jest. Panie van der Heuvel, niech mi pan pomoże go odnaleźć. Jestem pańską szansą na przeżycie.

Rozdział 117

Van der Heuvel siedział plecami do okien. Na stół padał długi cień jego sylwetki, popołudniowe słońce tworzyło aureolę wokół głowy.

Wyjął z szuflady biurka paczkę papierosów, poczęstował mnie, sam też zapalił.

— Gdybym wiedział, jak go znaleźć, nie byłoby problemu. Ale Benoit to geniusz zapadania się pod ziemię. Nie wiem, gdzie jest teraz. Nigdy nie wiedziałem, gdzie akurat przebywa.

— Popracujmy nad tym razem — zaproponowałem. — Niech pan rzuci parę sugestii. Musi pan wiedzieć o czymś, co mnie do niego doprowadzi. Wiem o jego pobycie w irackim więzieniu, ale Brewster-North to prywatna firma, niedostępna dla nikogo z zewnątrz jak dobrze strzeżony skarbiec. Wiem poza tym o jego kontaktach z bejruckim fałszerzem dokumentów, ale nie znam nazwiska tego człowieka...

— Och, nie, jak dla mnie wystarczy — przerwał mi van der Heuvel ze śmiechem, który mnie przeraził, gdyż gość wyglądał na szczerze rozbawionego. Mój wywód najwyraźniej wydał mu się komiczny.

— To psychopata — prychnął. — Pan chyba w ogóle nie rozumie tej postaci. On ma urojenia. Jest narcystyczny, ale przede wszystkim łże

i zmyśla. Henri nigdy nie był w Iraku. Nie zna żadnego innego fałszerza poza samym sobą. Niech pan oprzytomnieje, panie Hawkins. Henri przechwała się przed panem, historia jego życia, jaką panu sprzedaje, to wytwór chorego umysłu. Ciągnie pana na smyczy jak małego pieska...

— Hola! — wrzasnąłem, uderzając w stół i podrywając się z krzesła.
— Niech pan nie pieprzy, nie skołuje mnie pan. Mam gdzieś pana, Horsta Wenera i Raphaela dos Santosa, żalonych sukinsynów. Jeżeli mi pan nie pomoże, nie będę miał wyboru: pójdę na policję i powiem wszystko, co wiem.

Van der Heuvel znowu się zaśmiał, wskazał mi krzesło, prosząc, żebym się uspokoił. Rzeczywiście byłem wstrząśnięty tym, co mówił. Czy facet udzielił odpowiedzi na wciąż nurtujące mnie pytanie, dlaczego Henriemu tak zależy na książce? Czy naprawdę temu sukinsynowi chodzi o to, żeby zafascynować świat swoją osobą?

Holender otworzył laptop.

— Dwa dni temu Henri przesłał mi wiadomość. Pierwszą, jaką kiedykolwiek wysłał bezpośrednio do mnie. Chce mi sprzedać film. Wydaje mi się, że przed kilkoma minutami obejrzałem go za darmo. Pan mówi, że nasza grupa pana nie interesuje, czy dobrze zrozumiałem?

— Nie interesujecie mnie ani trochę. Chcę dostać Henriego. Zagroźa życiu mojemu i mojej rodziny.

— Być może mam coś, co panu pomoże w zabawie w detektywa. — Van der Heuvel przesuwając palcami po klawiaturze laptopa. — Trzydzieści lat temu, gdy miał sześć lat, udusił swoją małą siostrę leżącą w kołysce.

Widząc szok na mojej twarzy, van der Heuvel pokiwał głową, uśmiechnął się i strząsając popiół do popielniczki, zapewnił mnie, że mówi prawdę.

— Sprytny chłopczek. Pulchne policzki. Duże oczy. Morduje niemowlę. Zdiagnozowano go jako psychopatę z pełną gamą zaburzeń

osobowości, co jest rzadkim przypadkiem u tak małego dziecka. Został wysłany na leczenie psychiatryczne do Clinic du Lac w Genewie.

— Czy to informacja udokumentowana?

— Tak, tak, oczywiście. Przeprowadziłem dochodzenie na jego temat, kiedy po raz pierwszy się z nim zetknąłem. Zgodnie z tym, co mówił ordynator kliniki, doktor Carl Obst, dzieciak dużo się nauczył w ciągu dwunastu lat pobytu w domu wariatów. Przede wszystkim jak małpować innych. Podłapał garść zwrotów w kilku językach. Nauczył się fachu. Został drukarzem.

Czy van der Heuvel mówi prawdę? Jeżeli tak, łatwo wytłumaczyć, dlaczego Henri potrafi udawać kogoś innego, fałszować dokumenty i dzięki różnym sztuczkom wymykać się policji.

— Po opuszczeniu kliniki w wieku osiemnastu lat nasz chłopiec zaczął się pospolitymi kradzieżami, włamaniami, zdarzały się i zabójstwa. Kiedyś ukradł ferrari, to tak dla przykładu. Jednak odkąd poznał Ginę cztery lata temu, nie musiał dłużej zadowalać się byle czym.

Van der Heuvel powiedział mi, że Gina „upodobała sobie Henriego”, a on otworzył się przed nią i przyznał, że jest opętany seksem i ma na swoim koncie niejednen akt przemocy. Mówił też, że marzą mu się duże pieniądze. Stąd wziął się pomysł Giny, żeby Henri dostarczał rozrywki naszej małej grupie, a Horst przystał na plan zrobienia z niego małpy od seksu.

— I tu pojawia się pan.

— A tak. Gina poznała nas ze sobą.

— Henri mówił, że siedział pan w kącie i ich obserwował.

Van der Heuvel spojrzał na mnie jak na egzotycznego robaka, którego można albo rozgnieść, albo włożyć pod szkło.

— To kolejne kłamstwo, Hawkins. Dał mi dupy i piszczał jak dziewczynka. Mówię to panu po to, żeby mi pan wreszcie uwierzył. My nie zrobiliśmy z Henriego padalca, jakim jest. Dostarczaliśmy mu tylko strawy.

Rozdział 118

Palce van der Heuvla znowu przesunęły się po klawiaturze komputera.

— Teraz szybki przegląd, tylko dla pańskich oczu, kolejnych, coraz doskonalszych dokonań tego młodego człowieka. Rozwija się.

Gdy odwracał laptop ekranem w moją stronę, nie krył satysfakcji.

Patrzyłem na kolekcję kadrów z wielu filmów. Kobiety związane, torturowane, bez głów.

Z trudem przyswajałem kolejne sceny tego pokazu, a van der Heuvel zamykał i otwierał pliki, palił papierosa, opatrywał niefrasobliwymi komentarzami ten niewyobrażalny horror.

Zakręciło mi się w głowie, właściwie mnie zamroczyło. Wydawało mi się, że van der Heuvel i Henri to jedna i ta sama osoba. Jednakowo ich nienawidziłem. Zapragnąłem zabić van der Heuvla, tę kupę gówna, i nawet miałem pewność, że zostanie mi to wybaczone.

Niestety był osobą, która miała mnie doprowadzić do Henriego.

— Z początku nie sądziłem, że te morderstwa są prawdziwe — mówił. — Ale kiedy Henri zaczął odcinać głowy, wtedy, oczywiście, no cóż,

trudno było nie wierzyć... Przed rokiem zaczął pisać własne scenariusze. Upijał się swoją sławą mordercy. I stawał się coraz bardziej łakomy na pieniądze. Zagrażał i sobie, i nam. Znał przecież Ginę i mnie. Nie wiadomo było, jak z tym skończyć.

Van der Heuvel wypuścił z ust kłęb dymu i kontynuował:

— W zeszłym tygodniu Gina postanowiła rozliczyć się z nim ostatecznie, zapłacić nawet z góry, albo... jakoś go unieszkodliwić. Jak widać, nie doceniła go. Nie mówiła mi, jak się z nim skontaktowała i taka jest prawda, panie Hawkins. Nie mam pojęcia, gdzie jest Henri. Bladego pojęcia.

— Horst Werner podpisuje czek dla Henriego, tak? Niech mi pan powie, jak znaleźć Wernera.

Holender energicznie zgasił papierosa. Prysło jego zadowolenie z siebie. Popatrzył na mnie ze śmiertelną powagą i odezwał się, kładąc nacisk na każde słowo:

— Panie Hawkins, Horst Werner to z pewnością ostatnia osoba, jaką ktokolwiek życzyłby sobie poznać. A zwłaszcza pan. Bo nie spodobałaby mu się autobiografia Henriego. Niech pan mnie uważnie posłucha: nie wolno panu wypuścić z ręki niczego z materiałów do książki. Radzę wyczyścić komputer. Spalić taśmy: Nie wspominać nikomu o Przymierzu i jego członkach. Tej radzie będzie pan zawdzięczał życie.

Na wymazywanie czegokolwiek z pamięci komputera było za późno. Wysłałem już transkrypcję nagranych wywiadów z Henrim i szkic książki do Nowego Jorku do Zagamiego. Materiały zostały skopiowane i przekazane redaktorom i firmie prawniczej obsługującej wydawnictwo Raven-Wofford. Nazwiska członków Przymierza raz po raz pojawiały się w tekście.

Mimo to zaszarżowałem:

— Jeżeli Werner pomoże mnie, ja pomogę jemu.

— Panie Hawkins, zakuta głowo. Jeszcze raz niech mnie pan uważnie posłucha. Bardzo uważnie. Horst Werner to potęga, ma długie ręce i żelazne pięści. Znajdzie pana wszędzie. Czy pan mnie słucha, Hawkins? Niech pan się nie boi Henriego, to tylko nakręcana przez nas zabawka. Niech pan się boi Horsta Wenera.

Rozdział 119

Nagle van der Heuvel zakończył spotkanie, pożegnał mnie, mówiąc, że spiesz się na samolot.

A w mojej głowie wrzało, ciśnienie rosło jak w szybkowarze przed wybuchem. Stałem w obliczu podwójnego zagrożenia, miałem toczyć wojnę na dwóch frontach: nie napiszę książki, zabije mnie Henri, napiszę książkę, zabije mnie Werner.

Miałem wobec tego dwa zadania: odnaleźć mimo wszystko Henrie-
go i powstrzymać Holendra przed ujawnieniem Wernerowi tego, czego dowiedział się o książce i o mnie.

Z torby na komputer wydobyłem rugera i wycelowałem w van der Heuvela. Byłem ogarnięty niewyobrażalnym lękiem, ale i furją. Usłyszałem własny chrapliwy głos:

— Powiedziałem, że nie obchodzi mnie Przymierze i jego członkowie. Otóż zmieniłem zdanie. Bardzo mnie obchodzie.

Van der Heuvel spojrział na mnie z pogardą.

— Panie Hawkins, jeśli pan mnie zastrzeli, nie wyjdzie pan z więzienia do końca życia. A Henri będzie sobie krążył po świecie cały i zdrowy, i pływał się w luksusie.

— Zdejmuj marynarkę — rozkazałem — i całą resztę również.

— Do czego zmierzasz, Hawkins?

— Ja też lubię sobie popatrzeć — warknąłem. — Zamknij się i słuchaj. Zdejmij z siebie wszystko do gołej dupy. Koszulę, buty, kalesony, wszyscyuteńko.

— Naprawdę jesteś głupcem — westchnął, ale mnie posłuchał i zaczął się rozbierać. — Co masz na mnie? Trochę pornografii w moim komputerze? To jest Amsterdam. Nie jesteśmy tak pruderyjni, jak twoi rodacy w Stanach Zjednoczonych. Nie możesz mnie powiązać z żadnym z tych filmów. Czy widziałeś mnie na którymś? Nie sędzę.

Ścisnąłem rewolwer obydwiema rękami i cały czas mierzyłem w Holendra, a kiedy stanął nagi, kazałem mu oprzeć się rękami o ścianę. Przywaliłem mu kolbą w tył głowy, dokładnie tak, jak jakiś czas temu uderzył mnie Henri.

Gdy zwałił się nieprzytomny na podłogę, wyciągnąłem ze stosu ubrań, które odkładał na krzesło, jego krawat, i użyłem go do związania mu rąk na plecach.

Komputer wciąż był podłączony do sieci. Zacząłem wysyłać e-maile na swój adres, dodając pliki z filmami Henriego jako załączniki. Pracowałem szybko. Co dalej?

Na biurku zauważyłem niezmywalne pisaki i wrzuciłem jeden do kieszeni marynarki.

Odbyłem spacer po nieskalanie czystym, zajmującym całe piętro apartamencie Holendra. Na pewno się nim szczylił. Miał tu piękne rzeczy. Drogie książki. Obrazy. Artystyczne fotografie. Jego garderoba wyglądała jak ekskluzywny butik. Przewracały mi się wnętrzności, gdy myślałem, że taki padalec i nikczemnik żyje sobie beztrąsko w luksusie.

Poszedłem do kuchni, żywcem wyjętej z reklamy, i odkręciłem wszystkie kurki w kuchence gazowej.

Ułożyłem na ogniu ścierki do naczyń i krawaty Holendra, z których każdy nie mógł kosztować mniej niż dwieście dolarów. Gdy płomień sięgnęły wysoko, uruchomił się system zraszania.

Usłyszałem alarm na klatce schodowej i byłem pewien, że taki sam odezwał się w najbliższej jednostce straży pożarnej.

Woda zaczęła zalewać piękną drewnianą podłogę. Wróciłem do gabinetu, spakowałem do toreb komputery, swój i Holendra, i przewiesiłem obydwie torby przez ramię.

Podszedłem do van der Heuvla, trzasnąłem go w policzek, zawołałem po imieniu, a w końcu szarpnąłem faceta i postawiłem go na nogi.

— Wstawaj, ruszaj się, już! — darłem się bez opamiętania.

Zignorowałem jego pytania i skamłanie, gdy sprowadzałem go po schodach. Wypchnąłem go na ulicę. Dym buchał z okien na piątym piętrze i zgodnie z moimi oczekiwaniami, przed domem zaczął gromadzić się tłum. Mężczyźni i kobiety, starsi ludzie i dzieci z rowerami, które miasto udostępnia im bezpłatnie.

Posadziłem van der Heuvla na krawężniku i pisakiem zabranym z jego biurka wypisałem mu na czole „morderca”.

Krzyczał do ludzi przeraźliwie skrzekliwym głosem. O coś błagał, coś tłumaczył, ale jedyne słowo, jakie zrozumiałem, to „policja”. Ludzie powyciągali komórki i wystukiwali numer.

Wkrótce rozległy się syreny, miałem ochotę wycić im do wtóru. Ale przez cały czas trzymałem van der Heuvla na muszce i czekałem, aż z radiowozów wysypią się policjanci.

Kiedy pojawili się koło mnie, położyłem rewolwer Henriego na chodniku i wskazałem palcem czoło van der Heuvla.

Rozdział 120

Szwajcaria

Dwóch gliniarzy siedziało na przednich siedzeniach, ja na tylnym. Auto z dużą szybkością jechało do Wengen, alpejskiego miasteczka jak z bajki, położonego w cieniu majestatycznej góry Eiger.

Podczas jazdy krętą i oblodzoną szosą kurczowo trzymałem rękę na oparciu i z wysuniętą do przodu głową patrzyłem na drogę. Nie bałem się tego, że samochód wyleci za barierę, bałem się, że nie dotrzemy na czas do Horsta Wenera.

Z komputera van der Heuvla policja pobrała listę jego kontaktów, a do jego bogatego zbioru filmów ja dołączyłem transkrypcję wyznań Henriego, jakie poczynił na pustyni. Wyjaśniłem śledczym, co wiem o kontaktach Henriego Benoit, seryjnego mordercy, z ludźmi, którzy mu płacili.

Detektywi byli w euforii.

Tuziny straszliwych morderstw w Europie, Ameryce i Azji połączono w jeden szlak zbrodni dopiero po tragedii na Barbadosie. Szwajcarska policja miała nadzieję, że przycisnie Wenera i ten wyda Henriego.

My zmierzaliśmy w kierunku rezydencji Wenera, a inne ekipy śledcze zajęły się pozostałymi członkami Przymierza rozrzuconymi po

świecie. To powinny być godziny mojego triumfu, tymczasem byłem spanikowany.

Dzwoniłem do przyjaciół, oczywiście na próżno, gdyż tam, dokąd wysłałem Amandę, nie było telefonów. Nie wiedziałem, ile czasu minie — czy będą to godziny, czy dni — zanim dowiem się, że jest bezpieczna. Van der Heuvel nazwał wprawdzie Henriego mechaniczną zabawką, ale miałem dość dowodów na jego okrucieństwo, przedsiębiorczość i żądzę zemsty. Zrozumiałem wreszcie, do czego potrzebna mu była książka. Zaplanował sobie, że członkowie Przymierza, lalkarze pociągający go za sznurki jak kukłę, zostaną wyłapani przez policję, a wtedy uwolni się od nich i zacznie nowe życie na własny rachunek.

Nasze auto przyhamowało, koła zatańczyły na lodzie i żwirze, ciężki pojazd właściwie zsunął się w dół i zatrzymał przed kamiennym murem. Ten mur ogradzał rezydencję wbudowaną w stok wzgórza.

Otworzyły się i zamknęły z trzaskiem drzwi naszego policyjnego wana, zatrzeszczały radia. Otoczyły nas tuziny mężczyzn w kamizelkach kuloodpornych i z bronią automatyczną. Mieli nas osłaniać, a było to kilka jednostek wyposażonych w granatniki i najnowocześniejszy sprzęt, jakiego nie potrafiłbym nawet nazwać.

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła dochodzący z odległości mniej więcej pięćdziesięciu metrów. Wybito okno w narożnym pokoju willi. Padły strzały, z naszej strony odpowiedzią były granaty rozrywające się na terenie posesji.

Pod osłoną ognia dwunastu agentów zaatakowało warownię Wernera. Ze strome go wzniesienia za budynkiem odrywały się płaty zmrożonego śniegu. Słyszałem krzyki po niemiecku, wystrzały z broni ręcznej, nie wyobrażałem sobie innego finału tej akcji, jak scenę z ciałem Wernera dźwiganym na noszach.

Jeżeli Horst Werner zginie, jakim cudem odnajdziemy Henriego?

Wreszcie otworzyły się masywne frontowe drzwi. Mężczyźni oparli o mur przymierzyli się do strzałów.

I wtedy go zobaczyłem.

Horst Werner, którego van der Heuvel opisał mi jako człowieka o długich rękach i żelaznych pięściach, nazwał ostatnią osobą, którą ktokolwiek życzyłby sobie spotkać na swej drodze, wychodząc ze zdobytej fortecy. Miał potężny tors, kozią bródkę, na nosie okulary w złotych oprawkach, a na sobie granatowy płaszcz. Od faceta idącego z rękami założonymi z tyłu głowy biła pewność siebie, miał posturę wojskowego.

To był wynaturzony mózg Przymierza, szef Podglądaczy, morderca morderców, czarnoksiężnik ze straszliwej, perwersyjnej krainy Oz.

Był żywy i złapany.

Rozdział 121

Horst Werner został wepchnięty do opancerzonego vana, za nim wsiadli uzbrojeni szwajcarscy policjanci. Ja jechałem samochodem z dwoma agentami Interpolu. W godzinę dotarliśmy do komendy policji i rozpoczęło się przesłuchanie Wenera.

Pozwolono mi obserwować pokój przesłuchań przez lustro weneckie.

Werner czekał na prawnika z twarzą zlaną potem. Wiedziałem, że podkreślono ogrzewanie do maksimum, że jego krzesło ma nogi krótsze z przodu, ale na razie kapitan Voelker nie wyciągnął z niego dużo informacji.

Za mną stał młody funkcjonariusz, który tłumaczył mi z niemieckiego.

— Pan Werner mówi: „Nie znam Henriego Benoit. Nikogo nie zabiłem! Oglądałem filmy i to wszystko”.

Kapitan Voelker wyszedł na chwilę z pokoju przesłuchań i wrócił, trzymając w ręku płytę CD. Pokazywał ją Wernerowi, a młody funkcjonariusz wyjaśnił mi, że została znaleziona w odtwarzaczu DVD wraz z całą kolekcją innych płyt w skrytce w bibliotece Wenera. Twarz Wenera stężała, gdy Voelker włożył płytę do odtwarzacza.

Ustawilem krzeslo pod takim katem, zeby widziec ekran, i wstrzymalem oddech.

Na ekranie zobaczylem mezczyzna ze zgietym karkiem, tak ze widzialem tylko czubek jego glowy i kawalek podkoszulka. Podniosl na sekunde glowe, ale natychmiast odwrócił ją od kamery. Tylko mignęła mi przed oczami jego spuchnięta i zakrwawiona twarz.

W tym jednym błysku dostrzegłem, że facet ma więcej niż trzydzieści lat i przeciętną twarz.

Przesłuchanie nabrało dramatyzmu. Rosło i moje napięcie. Rozległ się głos kogoś spoza kadru: „Onnn-riiii, powiedz coś do kamery”.

Załomotało mi serce. Czy to on? Czy złapano Henriego?

Zakrwawiony więzień odezwał się: „Nie jestem Henri. Nazywam się Antoine Pascal. Złapaliście nie tego człowieka”. „Głos” odpowiedział szyderczo: „Jakieś trudności, Henri? Wypowiedz te słowa co zawsze, a może puścimy cię wolno”. „Nie jestem Henri Benoit. Dowód tożsamości mam w kieszeni. Sięgnijcie do mojego portfela”.

Na koniec przed kamerą pojawił się także prześladowca Henriego. Czarnowłosy dwudziestokilkuletni mężczyzna z pajakiem wytatuowanym na szyi i wykropkowaną siecią pajęczą sięgającą lewego policzka. Zmienił ustawienie obiektywu i teraz widoczne było puste pomieszczenie bez okien, piwnica oświetlona jedną żarówką. Ofiara była przywiązana do krzesła.

Mężczyzna z tatuażem mówił: „Dobrze, Antoine. Widzieliśmy twój paszport. Podziwiamy łatwość, z jaką wcielasz się w kogoś innego. Ale zaczynam mieć dość zabawy z tobą. Wypowiesz swoje zaklęcie albo nie wypowiesz, twoja sprawa. Liczę do trzech”.

Trzymał w ręku ząbkowany nóż i podczas odliczania uderzał nim o udo. A potem rzekł: „Nadszedł czas. Zdaje się, że to moment, na który

czekałeś z utęsknieniem. Chciałeś poznać ulotną chwilę między życiem i śmiercią. Zgadza się?”

Głos więźnia był mi znany. I spojrzenie jego jasnoszarych oczu. To był Henri. Nie miałem już żadnych wątpliwości.

Nagle zdałem sobie sprawę, jaki horror za chwilę zobaczę. Niemal chciałem krzyknąć do Henriego, ostrzec go pod wpływem impulsu, którego nie rozumiałem.

Była we mnie gotowość, żeby go zastrzelić, ale tu miało stać się coś strasznego.

Henri splunął w obiektyw. Facet z tatuażem złapał go za włosy, naciągając mu mięśnie szyi. „Powiedz te słowa!”, wrzasnął.

Nie doczekał się. Czterema zdecydowanymi cięciami noża oddzielił głowę więźnia od ciała.

Trysnęła krew. Na Henriego. Na jego zabójcę. Na obiektyw kamery. „Onnn-riiii. Henri, czy mnie słyszysz?”, zapytał kat i zbliżył odciętą głowę do kamery.

Odsunąłem się od szyby, ale nie mogłem oderwać wzroku od ekranu. Wydało mi się nagle, że Henri nawiązał ze mną przez monitor kontakt wzrokowy. Oczy miał szeroko otwarte... i w pewnym momencie do mnie mrugnął. Naprawdę to zrobił, zamrugał.

Wykonawca egzekucji skłonił się przed kamerą, z brody skapywały mu pot i krew. Z uśmiechem satysfakcji powiedział zamiast Henriego: „Czy wszyscy są szczęśliwi?”.

Rozdział 122

Zbierało mi się na wymioty, trząsałem się, zalewał mnie pot. Sądzę, że byłem zadowolony, iż Henri jest martwy, jednak w moim krwiobiegu coś krzyczało. Byłem pijany od oglądania scen, które nieuchronnie odcisnęły się trwałym piętnem w moim mózgu i pozostaną ze mną na zawsze, bo nie da się ich wymazać.

Przez cały czas odtwarzania filmu Werner siedział w pokoju przesłuchań z twarzą, na której nie pojawił się cień emocji. Ożywił się dopiero i uśmiechnął słodko, gdy drzwi się otworzyły i do środka wszedł mężczyzna w czarnym garniturze, który położył mu rękę na ramieniu.

Tłumacz potwierdził moje domysły: przybył prawnik Wernera.

Rozmowa między prawnikiem i kapitanem Voelkerem sprowadziła się do wygłoszonego *staccato* monologu tego pierwszego, zakończonego jednoznacznie konkluzją: nie ma wystarczających dowodów, żeby zatrzymać Wernera.

Obserwowałem zaszokowany, jak wojskowym krokiem wychodzi z pokoju przesłuchań z prawnikiem u boku. Jako wolny człowiek.

Po chwili dołączył do mnie i tłumacza kapitan Voelker. Oświadczył z emfazą, że to wcale nie koniec. Uzyskano już zezwolenia na sprawdzenie

kont bankowych Wernera i jego billingów. Przyciśnie się pozostałych członków Przymierza, którzy zostali zatrzymani, powiedział. Ponowne aresztowanie Wernera to tylko kwestia czasu, zapewnił. W sprawę zaangażowały się Interpol i FBI.

Wychodziłem z komendy policji na uginających się nogach, ale na świeże powietrze i w światło dnia. Czekало auto, żeby mnie odwieźć na lotnisko. Poprosiłem kierowcę, żeby jechał szybko. Włączył silnik, z szumem podniosła się dzieląca nas szyba. Samochód ruszył, jechał jednak według mnie z bardzo umiarkowaną szybkością.

W mojej głowie van der Heuvel mówił: „Niech się pan boi Horsta Wernera”. Rzeczywiście się bałem. Werner dowie się o zapisie wyznań Henriego. Będzie stanowił jeden z dowodów przeciwko niemu i Podglądaczom. Zrobiłem z Henriego świadka, który z za grobu oskarży Wernera i resztę o zbrodnie, za które grozi kilkakrotne dożywocie.

Moje myśli pofrunęły ponad oceanem na inny kontynent. Postukałem palcem w szklaną przegrodę i ponagliłem kierowcę:

— Szybciej, szybciej, na Boga!

Musiałem dotrzeć do Amandy — samolotem, potem helikopterem, na końcu wsiąść na muła. Musiałem ją zobaczyć, to było najważniejsze. Odgrodzimy się od świata i będziemy musieli pozostać w ukryciu nie wiadomo jak długo.

Zdawałem sobie sprawę, co może zrobić Werner, będąc na wolności. Dobrze wiedziałem.

I nie mogłem uwolnić się od natrętnie powracającej myśli: czy Henri naprawdę nie żyje?

Co widziałem na policji?

Mrugnął do mnie. Czy dawał mi znak? A może oglądałem film, który był jakimś montażem, jedną z jego nieprzewidywalnych sztuczek?

— Proszę jechać szybciej!

Posłowie Bena Hawkinsa

List do moich czytelników

Kiedy ukazała się niniejsza książka, wyniki sprzedaży zdecydowanie przekroczyły oczekiwania mojego wydawcy. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że znajdzie się w tysiącach księgarni na świecie, a w tym samym czasie ja będę mieszkał w prostej chacie na zboczu góry w kraju, który nie jest moją ojczyzną.

Jest takie powiedzenie: „Bacz, jakie życzenia wyrażasz, bo mogą się spełnić”. Odpowiedziałbym tak: „Mam to, czego pragnąłem, i to w większej obfitości, niż mogłem sobie wyobrazić”.

Jestem z Amandą, moją miłością. Szybko przystosowała się do uroków życia z dala od cywilizacji. Jako osobie dwujęzycznej poszło jej to może nawet łatwiej niż mnie, ale i ja uczę się od niej nowego języka i sztuki gotowania. Uprawiamy ogródek warzywny i robimy cotygodniowe wypadki w dolinę do urokliwej wioski, gdzie zaopatrujemy się w chleb i ser oraz inne niezbędne artykuły.

Wzięliśmy ślub w tej wiosce, w małym kościółku wzniesionym rękami parafian. Pobłogosławił nas kapłan, życzyli szczęścia mieszkańcy wioski, którzy przygarnęli nas do swych serc. Łobuziaczek zostanie tu

ochrzczony, kiedy przyjdzie na świat. Nie mogę się doczekać jego narodzin. Narodzin mojego syna.

Ale co go czeka? Co mogę mu obiecać i zapewnić?

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem pojazd skręcający z szosy w naszą drogę porytą koleinami, wiodącą przez dolinę, złapałem rewolwer, podałem broń żonie i kilka sztuk ułożyłem na stole pod oknem.

To był samochód prywatnego przewoźnika, którego wynajął mój wydawca, żeby przywiózł mi pocztę i nowiny. Po obszukaniu nieoczekiwanego gościa pozwoliłem mu odjechać i zabrałem się do czytania listów i gazet przysłanych mi przez Zagamiego. Dowiedziałem się, że Podglądacze zostali zgarnięci i każdego z nich czeka oskarżenie o morderstwo, nakłanianie do morderstwa i mniejsze zbrodnie. Będą siedzieli w więzieniu przez resztę życia.

Czasami prześladują mnie myśli o Wernerze, jego długich rękach, żelaznych pięściach i przeciągającym się procesie. Pocięsza mnie fakt, że przynajmniej wiem, iż facet siedzi w areszcie.

Wspominam też Henriego. Sceny ze spektaklu jego śmierci przewijają się w mojej głowie jak długi film wyświetlany na ekranie za pomocą starego kinowego projektora. Mam przed oczami jego egzekucję, lecz muszę przekonywać sam siebie, że on naprawdę nie żyje.

Bywa, że nie mogę oprzeć się przeświadczeniu, iż Henri nabrał wszystkich i żyje, jak ja teraz, pod zmienionym nazwiskiem. I któregoś dnia nas odnajdzie.

Dziękuję czytelnikom za listy, współczucie i modlitwy w intencji naszego bezpieczeństwa. Żyje nam się dobrze. Jestem szczęśliwy, chociaż nie całkiem, gdyż nie mogę uwolnić się od strachu przed psychopatycznym potworem, którego zbyt dobrze poznałem, i od żalu z powodu śmierci Levona, Barbary i Kim.

Spis treści

Podziękowania	7
Prolog	
Oto fakty	9
Część pierwsza	
Kamera ją kocha	15
Część druga	
Na skrzydłach nocy	39
Część trzecia	
Liczenie ofiar	187
Część czwarta	
Polowanie na grubego zwierza	279
Posłowie Bena Hawkinsa	365